FANTASY & SF

URSULA K. Le GUIN

GROBOWCE ATUANU

FANTOM PRESS

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Na wyspie Atuan wciąż rządzą Bezimienni, bogowie sprzed początków świata Ziemiomorza. Ich moc koncentruje się w grobowcach i podziemnym labiryncie. Gdzieś tam ukryta jest połówka pierścienia równowagi, której odnalezienie przywróci pokój i dobrobyt w Archipelagu. W poszukiwaniu pierścienia przybywa na wyspę największy z magów Ziemiomorza, zwany Krogulcem. Czeka go walka z wrogą i potężną mocą o przeżycie i o duszę dziewczynki, która służy Bezimiennym jako ich kapłanka.

- Ursula K. Le Guin
  - Prolog
  - 1. Pożarta
  - 2. Mur wokół Miejsca
  - 3. Więźniowie
  - 4. Sny i opowieści
  - 5. Światło pod wzgórzem
  - 6. Pułapka
  - 7. Wielki Skarbiec
  - 8. Imiona
  - 9. Pierścień Erreth-Akbego
  - 10. Gniew ciemności
  - 11. Zachodnie góry
  - 12. Podróż
  -

Ursula K. Le Guin
Grobowce Atuanu

Prolog

— Do domu, Tenar! Do domu!

Dolinę spowił półmrok; jabłonie miały wkrótce zakwitnąć. Tu i tam, w cieniu wśród gałęzi, błyszczał jak maleńka gwiazdka nazbyt wcześnie rozkwitły pąk, różowy i biały. Między drzewami, po świeżej, gęstej, wilgotnej trawie biegała mała dziewczynka. Biegła dla czystej radości biegu. Słysząc wołanie, nie zatrzymała się od razu, lecz szerokim łukiem zawróciła w stronę domu. Matka czekała w drzwiach chaty: ciemna sylwetka na de padającego z wnętrza blasku ognia. Przyglądała się podskakującej figurce, podobnej do puszka dmuchawca niesionego wiatrem ponad ciemniejącą wśród drzew trawą.

U węgła ojciec oskrobywał z ziemi zabłoconą motykę.

— Dlaczego tak kochasz to dziecko? — zapytał. — W przyszłym miesiącu przyjdą, żeby ją zabrać. Na dobre. Lepiej zapomniałabyś o niej i tyle. Co ci z tego, że tak lgniesz do kogoś, kogo i tak musisz stracić? Z niej nie będziemy mieli pożytku. Zęby chociaż zapłacili, to byłoby coś. Ale nie. Zabierają i koniec.

Kobieta milczała. Patrzyła na dziecko; zatrzymało się właśnie, by poprzez korony drzew spojrzeć w niebo. Ponad sadem, ponad szczytami gór, czystym blaskiem lśniła gwiazda wieczorna.

— Ona nie należy do nas. Nigdy nie należała, odkąd przyszli i powiedzieli, że ma być Kapłanką przy Grobowcach. Czemu nie chcesz tego zrozumieć? — glos mężczyzny był szorstki, pełen goryczy. — Masz jeszcze czworo. Zostaną z nami, a ona nie. Nie przywiązuj się do niej. Daj jej odejść.

— Gdy nadejdzie czas — odrzekła — pozwolę jej odejść. Dziewczynka podbiegła, stawiając małe, bose stopki na błotnistej ziemi. Matka schyliła się, by ją objąć, a kiedy wchodziły do chaty, pocałowała czarne włosy córki. Jej własne, w migocącym blasku ognia, były jasne.

Mężczyzna pozostał na zewnątrz. Czuł, jak marzną mu bose stopy; widział, jak ciemnieje nad nim czyste, wiosenne niebo. Jego twarz pełna była żalu — tak ślepego, tępego, złego żalu, że nie umiałby znaleźć słów, by go wypowiedzieć. W końcu wzruszył ramionami i wszedł za żoną do zalanej blaskiem ognia izby, gdzie rozbrzmiewały głosy dzieci.

1. Pożarta

Wysoki głos rogu przeszył powietrze i umilkł. Ciszę zakłócał tylko odgłos kroków stawianych w powolnym rytmie wybijanym przez bęben — w równym rytmie uderzeń serca. Poprzez szczeliny w dachu Sali Tronu, przez wyrwy między kolumnami, gdzie runęły całe odcinki muru, wpadały migotliwe, ukośne promienie słońca. Powietrze było nieruchome i mroźne. Szron pokrywał martwe liście chwastów, przeciskających się między płytami marmuru; trzeszczały cicho, czepiając się czarnych szat kapłanek.

Szły czwórkami przez ogromną salę, pomiędzy podwójnymi rzędami kolumn. Głucho rozbrzmiewał bęben. Nie było słychać niczyich głosów, niczyje oczy nie oglądały tej procesji. Płomienie pochodni w dłoniach dziewcząt okrytych czernią zdawały się czerwienieć w snopach słonecznego światła, by zaraz rozbłysnąć jasno w pasmach cienia między nimi. Na zewnątrz, na stopniach Sali Tronu, zostali mężczyźni — strażnicy, trębacze, dobosze. Wielkie wrota przekroczyły tylko kobiety — w ciemnych strojach, w kapturach, idące wolno, czwórkami, w kierunku pustego tronu.

Na przedzie szły dwie: wysokie, spowite w czerń; jedna wyprostowana i sztywna, druga ociężała, kołysząca się lekko. Między nimi maszerowała sześcioletnia dziewczynka w prostej białej tunice. Głowę, ramiona i nogi miała odsłonięte. Była bosa.

Dwie kobiety zatrzymały się u stopni wiodących do tronu i lekko pchnęły dziecko do przodu. Pozostałe czekały, ustawione w równe ciemne szeregi.

Zdawało się, że stojący na wysokim postumencie tron okrywają zasłony czerni, zwisające z ponurego półmroku pod stropem. Czy to rzeczywiście zasłony, czy tylko gęstniejące cienie, nie sposób było stwierdzić. Tron był także czarny; klejnoty i złocenia oparcia i poręczy rzucały posępne błyski. Tron był olbrzymi. Człowiek, który by na nim zasiadł, zdawałby się karłem — tron był ponad ludzkie wymiary.

Stał pusty. Zajmowały go tylko cienie.

Dziecko samotnie weszło na czwarty z siedmiu stopni z czerwono żyłkowanego marmuru. Byty tak szerokie i wysokie, że musiało na każdym postawić obie stopy, zanim wspięło się na następny. Na czwartym, środkowym, na wprost tronu, stał duży, nierówny, wyżłobiony u góry kloc drzewa. Dziewczynka uklękła i ułożyła głowę w zagłębieniu, przekręcając ją lekko w bok. W tej pozycji znieruchomiała.

Nagle z cienia po prawej stronie tronu wynurzyła się postać o zamaskowanej twarzy, okryta białą wełnianą togą. W ręku trzymała pięciostopowy miecz z polerowanej stali. W milczeniu, bez wahania,

podniosła go oburącz nad szyją dziewczynki. Bęben umilkł.

Ostrze zamarło na chwilę. Wtem z lewej strony tronu wyskoczyła postać w czerni, zbiegła w dół i chwyciła szczupłymi rękoma ramię ofiarnika. Miecz lśnił w półmroku. Przez chwilę biała postać i czarna, obie bez twarzy, jak tancerze balansowały nad nieruchomym dzieckiem, którego jasną szyję odsłaniały rozdzielone pasma czarnych włosów.

W absolutnej ciszy postacie odskoczyły od siebie i rozeszły się, znikając w ciemności za olbrzymim tronem. Jedna z kapłanek podeszła do stopni i wylała na nie czarę jakiegoś płynu, który w panującym półmroku wydawał się czarny.

Dziewczynka wstała i z trudem zeszła na dół, gdzie dwie wysokie kobiety odziały ją w czarną szatę i płaszcz z kapturem. Potem odwróciły ją, by spojrzała na stopnie, na ciemną plamę, na tron.

— Niech Bezimienni przyjmą ofiarowane im dziewczę, jedyne, jakie kiedykolwiek zrodziło się bezimiennym. Niech przyjmą jej życie, wszystkie lata aż do śmierci, która również do nich należy. Niech ją uznają za godną tej ofiary. Niech będzie pożarta!

Inne głosy, chrapliwe i przenikliwe jak głosy trąb, odpowiedziały:

— Została pożarta! Została pożarta!

Dziewczynka spojrzała spod czarnego kaptura w górę, na tron. Kurz pokrywał klejnoty na ciężkich poręczach zdobionych rzeźbionymi pazurami; z rzeźb oparcia zwisały pajęczyny; widać było białawe plamy sowich odchodów. Na trzech stopniach powyżej miejsca, gdzie klęczała, nie stanęła nigdy stopa śmiertelnika. Kurz zalegał na nich warstwą tak grubą, że wyglądały jak jedna ukośna płaszczyzna; żyłkowany marmur skrywała całkowicie nieporuszona, nietknięta pokrywa tylu już lat, tylu stuleci…

— Została pożarta! Została pożarta!

Znowu odezwał się bęben, tym razem w szybszym rytmie.

W ciszy, powoli, nowo uformowana procesja ruszyła na wschód, ku dalekiemu jasnemu kwadratowi wyjścia. Po obu stronach sali szerokie podwójne kolumny ginęły w mroku pod pułapem. Między kapłankami szła dziewczynka, teraz cała w czerni, jak one. Jej bose stopy deptały zamarznięte liście i lodowate kamienie; nie podnosiła wzroku, kiedy błyskały przed nią promienie słońca, przebijające zniszczony dach.

Strażnicy trzymali wrota szeroko otwarte. Czarna procesja wysunęła się na zewnątrz, na chłodny wiatr i blade światło poranka. Słońce oślepiało, płynąc nad bezmiarem pustki na wschodzie. Ku zachodowi góry stały w jego blasku i jaśniała fasada Sali Tronu. Inne budynki, niżej na wzgórzu, pogrążone były jeszcze w purpurowym cieniu. Tylko na niewielkim wzgórku za drogą błyszczał w glorii niedawno złocony dach Świątyni Boskich Braci. Czarna kolumna

kapłanek czwórkami rozpoczęła marsz w dół Wzgórza Grobowców. Idąc podjęły cichy śpiew. Prosta melodia składała się z trzech tylko tonów, a raz po raz powtarzane słowo było tak starożytne, że utraciło już znaczenie. Było jak kamień milowy tkwiący ciągle w miejscu, gdzie od dawna nie ma już drogi. Kobiety wciąż na nowo powtarzały to puste słowo. Ich cichy śpiew jak nie milknący, monotonny szum wypełniał cały ten dzień, Dzień Odrodzenia Kapłanki.

Dziewczynka przechodziła z sali do sali, ze świątyni do świątyni. W jednym miejscu kładziono jej sól na język; w innym klęczała twarzą ku zachodowi, gdy obcinano jej włosy i namaszczano olejkiem i octem winnym; w jeszcze innym leżała twarzą w dół na płycie z czarnego marmuru, a za ołtarzem przenikliwe głosy wyśpiewywały modlitwę za zmarłych. Przez cały dzień nie jadła nic i nie piła — ani ona, ani żadna z kapłanek.

Kiedy zapłonęła gwiazda wieczorna, dziewczynkę położono do łoża — nagą, okrytą owczymi skórami, w komnacie, gdzie nie była nigdy dotąd, w budynku, który przez całe lata stał zamknięty i dopiero dziś go otworzono. Bardzo wysoka komnata nie miała okien, a w powietrzu unosił się stęchły zapach. Tam, w ciemności, pozostawiły ją milczące kobiety.

Nie poruszała się. Z szeroko otwartymi oczami leżała w pozycji, w jakiej ułożyły ją kapłanki. Trwała tak bardzo długo.

Potem zobaczyła światło: nikły odblask na ścianie. Ktoś nadchodził cicho korytarzem. Osłaniał świecę, by dawała nie więcej blasku niż świetlik.

— Hej, Tenar, jesteś tam? — usłyszała ochrypły szept. Milczała.

Do wnętrza komnaty wsunęła się jakaś głowa — bezwłosa, o barwie żółtawej jak obrany ziemniak. Maleńkie brązowe oczy także przypominały oczka ziemniaka. Nos zdawał się karłowaty przy wielkich płaskich policzkach, usta przypominały pozbawioną warg szczelinę. Dziewczynka wpatrywała się w tę twarz wielkimi ciemnymi oczami.

— Więc jesteś, Tenar, mała pszczółko! — Głos był szorstki i wysoki, jakby kobiecy, lecz nie należał do kobiety. — Nie powinienem tu przychodzić, moje miejsce jest za drzwiami, na ganku; właśnie tam idę. Ale musiałem zobaczyć, jak się czuje moja mała Tenar po tym długim, ciężkim dniu. Tak, tak, jak tam moja biedna, mała pszczółka?

Bezszelestnie ruszył w jej stronę wyciągając rękę, jakby chciał ją pogłaskać.

— Nie jestem już Tenar — powiedziała dziewczynka patrząc wprost na niego.

Wyciągnięta ręka opadła; nie dotknął jej.

— Nie — szepnął po chwili. — Wiem, wiem. Teraz jesteś maleńką Pożartą. Aleja… Milczała.

— To był ciężki dzień dla mojej maleńkiej — powiedział w końcu mężczyzna. Odsunął się. Nikłe światełko migotało w jego szerokiej żółtej dłoni.

— Nie powinieneś przychodzić do tego Domu, Manan.

— Nie… Wiem, że nie. Nie powinno mnie być w tym miejscu. No cóż, dobrej nocy, maleńka… Dobrej nocy.

Dziecko milczało. Manan odwrócił się wolno i odszedł. Świetlne błyski znikły z wysokich ścian. Dziewczynka, której jedynym imieniem było teraz Arha, Pożarta, leżała na plecach i nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w ciemność.

2. Mur wokół Miejsca

Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale w miarę dorastania zapominała matkę. Przynależała tutaj, do Miejsca Grobowców; zawsze tu była. Tylko czasem, w długie sierpniowe wieczory, kiedy patrzyła na góry na zachodzie, wysuszone i płowe w blasku słońca, wspominała ogień, który dawno temu płonął na kominku, rzucając takie samo żółte światło. Wtedy wracała pamięć o tym, jak ją przytulano — niezwykła, gdyż tutaj mało kto jej dotykał. I wspomnienia przyjemnego zapachu, aromatu włosów świeżo umytych i płukanych w wodzie z szałwią — długich, jasnych włosów o barwie ognia i słońca tuż nad horyzontem. Tylko tyle jej pozostało.

Naturalnie, wiedziała więcej niż pamiętała, gdyż opowiedziano jej całą historię. Kiedy miała sześć czy siedem lat i zaczynała się zastanawiać, kim jest ta osoba, którą nazywają Arhą, poszła do swego opiekuna, dozorcy Manana.

— Opowiedz mi, jak zostałam wybrana, Manan — poprosiła.

— Przecież wiesz, maleńka.

Rzeczywiście wiedziała. Wysoka kapłanka Thar powtarzała jej to swym oschłym głosem, dopóki nie nauczyła się słów na pamięć.

— Wiem — przyznała i zaczęta recytować: — Po śmierci Jedynej Kapłanki Grobowców Atuanu, ceremonie pogrzebu i oczyszczenia kończą się z upływem jednego miesiąca kalendarza księżycowego. Potem wybrane Kapłanki i Strażnicy Miejsca Grobowców ruszają przez pustynię do miasteczek i wiosek Atuanu, by szukać i rozpytywać. Poszukują dziewczynki urodzonej w noc śmierci Kapłanki. Kiedy ją znajdą, czekają i obserwują. Dziecko musi być zdrowe na ciele i umyśle, a rosnąc nie może chorować na krzywicę czy ospę, ani zdradzać żadnych deformacji, ani oślepnąć. Kiedy bez skazy osiągnie wiek pięciu lat, wtedy wiadomo, że istotnie jest ono nowym wcieleniem Kapłanki, która umarła. Wieść o tym zanosi się do Boga-Króla w Awabath, a ją samą przewozi do Świątyni, gdzie przez rok pobiera nauki. A kiedy ten rok dobiegnie końca, prowadzi sieją do Sali Tronu, a jej imię oddane zostaje na powrót tym, którzy są jej Władcami, Bezimiennym, jako że sama jest bezimienną, Kapłanką Wiecznie Odradzaną.

Tak mówiła jej Thar, słowo w słowo, a ona nigdy nie ośmieliła się prosić o więcej. Chuda kapłanka nie była okrutna, tylko zimna od życia w żelaznej dyscyplinie. Arha bała się jej. Za to Manana nie bała się ani trochę i mogła mu rozkazywać.

— A teraz opowiedz, jak zostałam wybrana! Wiedziała, że znowu ustąpi.

— Wyruszyliśmy stąd na północ i zachód, trzeciego dnia

pierwszej kwadry, gdyż Arha-która-była umarła trzeciego dnia ostatniego księżyca. Najpierw udaliśmy się do Tenacbach, które jest wielkim miastem, choć wobec Awabath jest niczym pchła przy krowie. Tak przynajmniej mówią ci, którzy widzieli je oba. Ale dla mnie jest wystarczająco duże: stoi tam chyba z tysiąc domów. I sprawdziliśmy w Gar. Ale nikt w tych dwóch miastach nie miał dziecka-dziewczynki, urodzonej trzeciego dnia księżyca zeszłego miesiąca. Znaleźliśmy kilku chłopców, ale chłopcy się nie nadają. Ruszyliśmy więc w góry, na północ od Gar, do miasteczek i wiosek. To moja kraina. Nie urodziłem się na tej pustyni, ale tam, gdzie płyną potoki i ziemia jest zielona. — Matowy głos Manana zawsze wtedy brzmiał dziwnie, a jego małe oczka kryły się zupełnie; przerywał na chwilę, nim zaczynał opowiadać dalej. — Odszukaliśmy i rozmawialiśmy ze wszystkimi, którzy byli rodzicami dzieci urodzonych w ostatnich miesiącach. Niektórzy próbowali kłamać: „Tak, oczywiście, nasza córka urodziła się trzeciego dnia księżyca!" Ci biedni ludzie, musisz wiedzieć, często są zadowoleni, gdy mogą się pozbyć córek. Byli też inni, ubodzy i mieszkający w samotnych chatach, w dolinach wśród gór, którzy nie liczyli czasu i rzadko potrafili rozróżnić dni, więc nie umieli określić z całą pewnością, w jakim wieku są ich dzieci. Ale pytając dostatecznie długo, zawsze potrafiliśmy dojść do prawdy. Wreszcie znaleźliśmy: w wiosce liczącej dziesięć chatek, w dolinie sadów na zachód od Entat. Dziewczynka miała osiem miesięcy. Tak długo trwały nasze poszukiwania. Ale urodziła się tej nocy, gdy zmarła Kapłanka Grobowców, w godzinie jej śmierci. Piękne to było dziecko. Siedziała na kolanach matki i patrzyła na nas błyszczącymi oczkami, kiedy jak nietoperze do jaskini wciskaliśmy się do jedynej izby domu. Jej ojciec był biednym człowiekiem. Doglądał jabłoni w sadzie bogacza i nie miał nic własnego prócz pięciorga dzieci i kozy. Nawet chata nie należała do niego. Tam więc stanęliśmy wszyscy i po tym, jak kapłanki patrzyły na małą i szeptały między sobą, można było poznać, że ich zdaniem znalazły wreszcie Odrodzoną. Matka też to poznała. Tuliła dziecko i nie odzywała się ani słowem. No więc wróciliśmy następnego dnia. I proszę: dziecko leży w wiklinowym łóżeczku, krzyczy i płacze, a na całym ciele ma pręgi i czerwone plamy z gorączki. A matka płacze jeszcze głośniej: „Och! Och! Moją malutką złapały Palce Wiedźmy! " Tak właśnie mówiła. Miała na myśli ospę. W mojej wsi też mówiliśmy na nią Palce Wiedźmy Ale Kossil, która jest teraz Najwyższą Kapłanką Boga-Króla, podeszła do kołyski i wyjęła dziecko. Wszyscy inni cofnęli się, a ja razem z nimi; nie cenię swego życia zbyt wysoko, ale kto wchodzi do domu, gdzie jest ospa? Lecz Kossil nie bała się ani trochę… Nie, nie ona. Wzięła dziecko i mówi: „Ona nie ma gorączki". Potem pośliniła palec i potarła czerwone plamy, a one zniknęły. To był tylko sok z jagód. Biedna, głupia matka

myślała, że nas oszuka i zatrzyma dziecko! — Manan śmiał się z tego serdecznie; żółta twarz prawie się nie zmieniała, ale brzuch trząsł mu się mocno. — No więc mąż ją zbił, bo bał się gniewu kapłanek. Niedługo potem wróciliśmy na pustynię, ale co roku jeden z ludzi Miejsca wracał do wioski wśród jabłkowych sadów i sprawdzał, jak dziewczynka dorasta. Tak minęło pięć lat, a wtedy Kossil i Thar ruszyły w podróż ze strażą Świątyni i żołnierzami w czerwonych hełmach, przysłanych przez Boga-Króla jako eskorta. Przywieźli tu dziecko, ponieważ była to w istocie Kapłanka Grobowców odrodzona, i tu powinna się znaleźć. A kto był tym dzieckiem, maleńka? No kto?

— Ja — odpowiadała Arha patrząc w dal, jakby chciała zobaczyć coś, czego nie mogła dostrzec, co zginęło poza widnokręgiem.

— A co zrobiła… matka, kiedy przyszli zabrać jej córkę? — spytała kiedyś.

Tego Manan nie wiedział; nie pojechał z kapłankami na ostatnią wyprawę.

A ona nie pamiętała. Zresztą, po co pamiętać? Co przeszło, minęło. Przybyła tu, gdzie musiała przybyć. Z całego świata znała tylko jedno miejsce: Grobowce Atuanu.

Przez pierwszy rok sypiała w dużej sali razem z innymi nowicjuszkami, dziewczętami w wieku od czterech do czternastu lat. Już wtedy jednak Manan został wybrany spośród Dziesięciu Dozorców na jej osobistego opiekuna. Jej łóżko stało w maleńkiej alkowie, częściowo odgrodzone od długiej, nisko sklepionej sali Wielkiego Domu, gdzie dziewczęta chichotały między sobą i szeptały, zanim zasnęły, a w szarym blasku poranka ziewając zaplatały sobie włosy. Kiedy odebrano jej imię i stała się Arhą, spała samotnie w Małym Domu, w łóżku i pokoju, które miały być jej łóżkiem i pokojem przez resztę życia. Ten dom należał do niej, był Domem Jedynej Kapłanki i nikt nie miał prawa tu wejść bez jej pozwolenia. Gdy była jeszcze mała, bawiło ją, gdy ludzie stukali pokornie do drzwi, a ona mówiła: „Możesz wejść”. Irytowało ją też, że obie Najwyższe Kapłanki, Kossil i Thar, uznawały jej pozwolenie za rzecz naturalną i wchodziły bez pukania.

Mijały dni i lata, wszystkie podobne do siebie. Dziewczęta w Miejscu Grobowców spędzały czas na lekcjach i ćwiczeniach. Nie bawiły się. Nie miały czasu na zabawę. Uczyły się świętych pieśni i świętych tańców, historii Wysp Kargadu i sekretów bogów, którym służyły: Boga-Króla, panującego w Awabath, albo Boskich Braci, Atwaha i Wuluaha. Z nich wszystkich jedynie Arha poznawała rytuały Bezimiennych, nauczana przez Thar, Najwyższą Kapłankę Bliźniaczych Bóstw. To zmuszało ją do rozstawania się z innymi na godzinę lub więcej dziennie, lecz resztę czasu, podobnie jak pozostałe dziewczęta, poświęcała na proste zajęcia. Uczyły się zwijać i tkać wełnę, sadzić,

zbierać, szykować posiłki, jakie same jadały: soczewicę, kukurydzę mieloną grubo na płatki i drobno na mąkę do pieczenia chleba, cebulę, kapustę, kozi ser, jabłka i miód.

Najlepsze, co mogło się przydarzyć, to wyprawa na ryby nad mętną zieloną rzekę płynącą przez pustkowie o pół mili na północny wschód od Miejsca. Brała ze sobą jabłko albo kawałek chleba jako drugie śniadanie, a potem siedziała w słońcu wśród trzcin, wpatrując się w powolny ruch wody albo cienie chmur, zmieniające swe kształty na zboczach gór. A kiedy piszczała z radości patrząc, jak napina się linka i w chwilę później płaska, migotliwa ryba podskakuje na brzegu i topi się w powietrzu, Mebbeth syczała jak żmija:

— Uspokój się, wrzaskliwa idiotko!

Mebbeth, która służyła w świątyni Boga-Króla, była smagłą kobietą, młodą jeszcze, lecz twardą i ostrą jak obsydian. Łowienie było jej pasją. Arha musiała uważać i siedzieć cichuteńko, inaczej Mebbeth nigdy już nie wzięłaby jej ze sobą na ryby. A wtedy Arha nie mogłaby chodzić nad rzekę, najwyżej po wodę latem, kiedy wysychały studnie. To nie było przyjemne: brnąć pół mili przez palący żar, napełniać dwa wiadra na nosidłach, potem jak najszybciej wracać pod górę, do Miejsca. Pierwsze pięćdziesiąt sążni byto łatwe, ale potem wiadra stawały się coraz cięższe, nosidła parzyły ramiona jak rozpalone żelazo, a każdy krok był męką. W końcu docierała do cienia na tyłach Wielkiego Domu, obok grządki jarzyn, i z pluskiem wylewała wodę do wielkiej cysterny. Tylko po to, by zawrócić i pokonywać tę drogę znowu, i znowu, i znowu.

W obrębie Miejsca — nie potrzebowało i nie miało innej nazwy, gdyż było najświętszym i najstarszym ze wszystkich miejsc Czterech Wysp Imperium Kargadu — mieszkało kilkuset ludzi i stały liczne budynki: trzy świątynie, Wielki i Mały Dom, kwatery dozorców eunuchów, a zaraz za murem koszary straży i chaty niewolników, magazyny, budynki gospodarcze, zagrody owiec i kóz. Z daleka przypominało małe miasteczko. Z daleka, to znaczy z suchych pagórków na zachodzie, gdzie rosła tylko szałwia, kępki trawy i pustynne zioła. Ale nawet z odległych równin na wschodzie można było dostrzec złoty dach Świątyni Bliźniaczych Bóstw, połyskujący niczym kawałek miki w skale.

Sama świątynia była kamiennym sześcianem otynkowanym na biało, bez okien, z gankiem przed niskimi drzwiami. Bardziej efektowna i o całe wieki młodsza była stojąca trochę niżej Świątynia Boga-Króla z wysokim portalem i rzędem grubych białych kolumn z wymalowanymi symbolami. Kolumny zrobiono z wielkich cedrowych pni, sprowadzonych statkiem z Hur-at-Hur, gdzie rosły lasy. Dwudziestu niewolników z wysiłkiem przeciągało je po nagich równinach aż do Miejsca. Podróżny zbliżający się ze wschodu widział

złoty dach i białe kolumny o wiele wcześniej, nim dostrzegał stojącą wyżej na wzgórzu najstarszą świątynię: zniszczoną i brązową jak sama pustynia, ogromną, niską Salę Tronu o łatanych ścianach, z płaską, sypiącą się kopułą.

Za Salą ciągnął się otaczający cały szczyt wzgórza masywny mur, wzniesiony bez zaprawy, z kamieni, które w wielu miejscach już wypadły. W jego kręgu niby olbrzymie palce sterczało z ziemi kilka czarnych głazów, wysokich na osiemnaście czy dwadzieścia stóp. Kto raz je zobaczył, stale wracał do nich myślą. Stały pełne niewysłowionych znaczeń. Było ich dziewięć. Jeden trzymał się prosto, inne pochylały się mniej lub bardziej, dwa były przewrócone. Porastał je szary i pomarańczowy mech, podobny do plam farby: wszystkie prócz jednego, czarnego i lśniącego matowo. Byt gładki w dotyku, lecz na innych można było zobaczyć albo wyczuć palcami pod pokrywą mchu niewyraźne rzeźbienia — jakieś kształty czy znaki. Te kamienie były Grobowcami Atuanu. Stały tu, jak powiadano, od czasu pierwszych ludzi, od kiedy powstało Ziemiomorze. Ustawiono je w ciemnościach, gdy ziemie wynurzyły się z głębin oceanu. Starsze były o wiele od Bogów-Królów Kargadu, starsze niż Bliźniacze Bóstwa, starsze niż światło. Były grobowcami władców świata sprzed czasu ludzi — władców, którym nie nadawano imion. Ta, która im służyła, także nie miała imienia.

Nieczęsto wchodziła między Kamienie. Nikt inny nie śmiałby dotknąć stopą gruntu, z którego wyrastały na szczycie, wewnątrz kamiennego muru za Salą Tronu. Dwa razy do roku, o pełni księżyca najbliższej wiosennemu i jesiennemu zrównaniu dnia z nocą, przed Tronem składano ofiarę. Arha wychodziła wtedy przez niskie drzwiczki z tyłu Sali, niosąc wielką misę pełną dymiącej krwi koźlęcia. Połowę jej musiała wylać u stóp pionowego czarnego głazu, połowę na jeden z leżących kamieni, pogrążonych w skalistej ziemi, ze śladami krwi ofiarowywanej tu od wieków.

Czasami wczesnym rankiem przychodziła tu sama. Spacerowała wśród Kamieni, próbując rozpoznać niewyraźne rzeźbienia, lepiej widoczne w świetle nisko stojącego słońca. Albo siedziała tylko, spoglądając na góry po zachodniej stronie, lub w dół, na dachy i mury Miejsca, na pierwsze oznaki krzątaniny wokół Wielkiego Domu i baraków straży, na stada kóz i owiec podążające ku skąpym pastwiskom nad rzeką. Między Kamieniami nigdy nie było nic do roboty. Przychodziła tu tylko dlatego, że było jej wolno i że nic tu nie zakłócało samotności. Było to posępne miejsce. Chłód panował nawet w upalne letnie południa. Czasem wiatr gwizdał między dwoma Kamieniami stojącymi najbliżej siebie i pochylonymi tak, jakby powierzały sobie jakieś tajemnice. Ale żadna tajemnica nie została wypowiedziana.

Z Murem Grobowców łączył się inny, niższy, zataczający nieregularne półkole wokół wzgórza i ciągnący się dalej na północ, ku rzece. Nie tyle chronił on Miejsce, co rozcinał je na dwie części: po jednej stronie świątynie, domy kapłanek i dozorców, po drugiej kwatery straży i niewolników, którzy uprawiali ziemię, paśli owce i kozy, zdobywali żywność dla Miejsca. Żaden z nich nigdy nie przekraczał muru. Jedynie podczas niektórych, najważniejszych świąt strażnicy, dobosze i trębacze towarzyszyli procesjom kapłanek. Nie wchodzili jednak do świątyń. Żaden inny mężczyzna nie miał prawa postawić stopy wewnątrz Miejsca. Kiedyś docierały tu pielgrzymki, kiedyś królowie i wodzowie z Czterech Wysp przybywali pokłonić się bogom; półtora wieku temu przybył pierwszy Bóg-Król, by ustanowić ceremonie w swej własnej świątyni. Ale nawet on nie mógł wejść pomiędzy Kamienie Grobowców, nawet on musiał jeść i spać po zewnętrznej stronie muru otaczającego Miejsce.

Wejście na mur nie było trudne — palce łatwo znajdowały szczeliny między kamieniami. Pewnego wiosennego popołudnia Pożarta i dziewczynka zwana Penthe siedziały na jego szczycie. Obie miały po dwanaście lat. Powinny być w Wielkim Domu, w ogromnej kamiennej sali tkalni; powinny stać przy krosnach, zawsze załadowanych szorstką czarną wełną, i tkać materiał na szaty. Wymknęły się, by łyknąć wody ze studni na dziedzińcu, a potem Arha powiedziała „Chodźmy!" i poprowadziła towarzyszkę do muru — dołem, by nie widziano ich z Wielkiego Domu. Teraz siedziały na szczycie, dziesięć stóp nad ziemią, spoglądając na nagie równiny, ciągnące się bez końca od wschodu i północy.

— Chciałabym zobaczyć morze — powiedziała Penthe.

— Po co? — zdziwiła się Arha. Żuta gorzką łodygę jakiejś rośliny, którą znalazła między kamieniami.

Dobiegał właśnie końca czas kwitnienia na tej jałowej ziemi. Wszystkie pustynne kwiatki, żółte, różowe i białe, skarlałe i szybko przekwitające, zaczynały wysiew, rozrzucając na wiatr białe jak popiół piórka i parasolki, upuszczając zbrojne w haczyki nasiona. Ziemię pod jabłoniami w sadzie okrywał biało-różowy dywan. Gałęzie były zielone — jedyne zielone drzewa w promieniu wielu mil od Miejsca. Wszystko inne, od horyzontu po horyzont, miało matowe, wypłowiałe barwy pustyni — z wyjątkiem srebrzyste błękitnych gór, gdzie pojawiły się pierwsze pączki szałwi.

— Och, nie wiem, po co. Po prostu chciałabym zobaczyć coś innego. Tu jest zawsze tak samo. Nic się nie dzieje.

— Wszystko, co dzieje się gdziekolwiek, tutaj ma swój początek — oświadczyła Arha.

— Wiem… Ale chciałabym widzieć, jak się dzieje. Penthe

uśmiechnęła się. Była pulchną, miłą dziewczyną. Potarła podeszwami stóp rozgrzane słońcem kamienie.

— Widzisz… — mówiła dalej. — Kiedy byłam mała, mieszkałam nad morzem. Nasza wioska stała zaraz za pasem wydm i czasem bawiliśmy się na plaży. Raz, pamiętam, zobaczyliśmy daleko od brzegu całą flotę statków. Pobiegliśmy powiedzieć o tym w wiosce i wszyscy przyszli popatrzeć. Statki wyglądały jak smoki z czerwonymi skrzydłami. Niektóre miały prawdziwe szyje ze smoczymi łbami. Przepływały w pobliżu Atuanu, ale to nie byty kargijskie statki. Przybyły z zachodu, z Wewnętrznych Krain. Tak mówił wójt. Wszyscy poszli, żeby popatrzeć. Chyba się bali, że wylądują. Ale one przepłynęły i nikt nie wiedział, dokąd zmierzają. Może napaść na Karego-At. Ale pomyśl tylko, naprawdę przybyły z wysp czarodziejów, gdzie wszyscy ludzie są koloru ziemi i mogą rzucić na ciebie czar równie łatwo jak mrugnąć.

— Nie na mnie — oświadczyła z gniewem Arha. — Ja bym nie patrzyła na ich statki. To źli, przeklęci czarownicy. Jak śmieli przepływać tak blisko Świętej Ziemi?

— Wiesz, przypuszczam, że Bóg-Król podbije ich kiedyś i zrobi z nich niewolników. Ale chciałabym znowu zobaczyć morze. W kałużach na plaży znajdowaliśmy małe ośmiornice, a jak się na nie krzyknęło „Buu!", to robiły się zupełnie białe. O, tam idzie stary Manan. Pewnie cię szuka.

Opiekun i sługa Arhy zbliżał się wolno wzdłuż muru. Pochylił się, by zerwać dziką cebulę, której zebrał już cały pęczek, potem wyprostował się i rozejrzał. Przytył z wiekiem, a jego żółta skóra błyszczała w słońcu.

— Schowamy się po stronie mężczyzn — syknęła Arha. Dziewczynki zsunęły się zwinnie jak jaszczurki i przylgnęły do muru tuż pod jego szczytem, niewidoczne od wewnętrznej strony. Słyszały coraz bliższe kroki Manana.

— Hej! Hej, ziemniaczana głowo! — Kpiący głos Arhy byt cichy jak wiatr wśród traw.

Ciężkie kroki ucichły.

— Jest tam kto? — odezwał się niepewnie Manan. — Maleńka? Arha? Cisza. Manan ruszył dalej.

— Hej! Ziemniaczana głowo!

— Hej, ziemniaczany brzuchu! — naśladowała Arhę Penthe i aż jęknęła, usiłując stłumić chichot.

— Jest tam kto? Cisza.

— Dobrze, dobrze, dobrze — westchnął eunuch i odszedł powoli. Kiedy zniknął za wzgórzem, dziewczęta wspięty się z powrotem na mur: Penthe zaczerwieniona i spocona ze śmiechu, ale Arha wściekła.

— Stary tryk, łazi za mną wszędzie!

— Musi — zauważyła rozsądnie Penthe. — To jego praca. Ma cię pilnować.

— Pilnują mnie ci, którym służę. Dla nich się staram i dla nikogo więcej nie muszę. Te stare kobiety i pół-mężczyźni powinni mnie zostawić w spokoju. Jestem Jedyną Kapłanką!

Penthe spojrzała na nią zaskoczona.

— Wiem — powiedziała drżącym głosem. — Wiem, że jesteś, Arho…

— Więc powinni dać mi spokój, a nie rozkazywać przez cały czas!

Penthe westchnęła ciężko. Machała pulchnymi nogami, wpatrzona w pustą, piaszczystą ziemię i daleki, wysoki horyzont.

— Niedługo sama będziesz wydawać rozkazy — odezwała się w końcu cichym głosem. — Za dwa lata przestaniemy być dziećmi. Skończymy czternaście lat. Ja odejdę do świątyni Boga-Króla i pewnie nic się dla mnie nie zmieni. Ale ty naprawdę staniesz się Najwyższą Kapłanką. Nawet Kossil i Thar będą musiały cię słuchać.

Pożarta nie odpowiedziała. Na jej zawziętej twarzy pod czarnymi brwiami migotały oczy, odbijając blask jasnego nieba.

— Powinnyśmy już wracać — stwierdziła Penthe.

— Nie.

— Ale dozorczyni tkalni może się poskarżyć Thar. Niedługo już pora na Dziewięć Psalmów.

— Zostaję tutaj. I ty też.

— Ciebie nie ukarzą; mnie tak — poskarżyła się Penthe, choć bez wyrzutu.

Arha milczała. Penthe westchnęła i została przy niej. Słońce zapadało w mgiełkę ponad równiną. Z daleka słychać było dzwonki owiec i beczenie jagniąt. Podmuchy suchego, wiosennego wiatru niosły słodkie zapachy.

Kiedy dziewczęta wróciły do Wielkiego Domu, Dziewięć Psalmów prawie się kończyło. Mebbeth zobaczyła, że siedzą na Murze Mężczyzn i doniosła o tym swojej zwierzchniczce, Kossil, Najwyższej Kapłance Boga-Króla.

Ciężko zbudowana Kossil przemówiła do dziewcząt bez śladu emocji ani na twarzy, ani w głosie. Nakazała im iść za sobą. Poprowadziła je korytarzami Wielkiego Domu, przez frontowe drzwi, w górę do świątyni Atwaha i Wuluaha. Tam opowiedziała o wszystkim Najwyższej Kapłance tej świątyni, Thar, wysokiej, suchej i chudej jak kość.

— Zdejmij szatę — poleciła Kossil Penthe.

Potem wychłostała dziewczynkę trzcinową rózgą, lekko nacinającą skórę. Penthe zniosła to w milczeniu, połykając łzy. Została odesłana do tkalni bez kolacji, wiedząc, że następnego dnia także nie dostanie nic do jedzenia.

— Jeśli jeszcze raz zostaniesz przyłapana na Murze Mężczyzn, czeka cię coś o wiele gorszego. Zrozumiałaś? — Gtos Kossil był cichy, lecz wcale nie łagodny.

Penthe odpowiedziała: „Tak” i wyszła, drżąc i kuląc się, gdy ciężka szata ocierała rany na plecach.

Arha stała obok Thar obserwując chłostę. Teraz przyglądała się, jak Kossil płucze trzcinową rózgę.

— Nie uchodzi, by widziano cię wspinającą się i biegającą z innymi dziewczętami. Jesteś Arha.

Arha spuściła ponuro głowę i milczała.

— Lepiej, żebyś robiła tylko to, co robić powinnaś. Jesteś Arha. Dziewczynka na chwilę podniosła wzrok, spoglądając w twarz Thar, potem Kossil. W jej spojrzeniu była nienawiść albo wściekłość tak głęboka, że aż straszna. Lecz chuda kapłanka nie przejęła się tym; raczej podrażniła ją jeszcze bardziej, pochylając się, by rzucić szeptem:

— Jesteś Arha! Nic już nie pozostało. Wszystko jest pożarte.

— Wszystko jest pożarte — powtórzyła dziewczynka tak, jak powtarzała codziennie, przez wszystkie dni życia, odkąd ukończyła sześć lat.

Thar pochyliła głowę; Kossil także, odkładając na bok rózgę. Dziewczynka odwróciła się z pokorą i wyszła.

Po kolacji złożonej z ziemniaków i zielonej cebuli, które zjadła w wąskim, ciemnym refektarzu, po odśpiewaniu wieczornych hymnów i umieszczeniu świętych znaków na drzwiach, po krótkim Rytuale Niewypowiedzianego, praca wyznaczona na ten dzień została wykonana. Dziewczęta mogły teraz iść do sypialni i bawić się kośćmi lub patyczkami, póki nie wypali się świeca z trzcinowym knotem. Potem, leżąc już w łóżkach, mogły szeptać do siebie w ciemności. Arha, jak to czyniła co wieczór, ruszyła przez podwórza i dróżki Miejsca do Małego Domu, gdzie spała samotnie.

Wiosenny wiatr niósł słodkie zapachy. Gwiazdy błyszczały jasno jak pęki stokrotek na wiosennej łące, jak światła na morzu w kwietniu. Lecz dziewczynka nie pamiętała łąk ani morza. Nie patrzyła w górę.

— Hej, maleńka!

— Manan… — rzuciła obojętnie.

Wielki cień zrównał się z nią. Gwiazdy odbijały się w bezwłosej czaszce eunucha.

— Ukarały cię?

— Nie można mnie karać.

— Nie… To prawda…

— Nie mogły mnie ukarać. Nie ośmieliły się.

Stał ze zwieszonymi rękami, tęgi i słabo widoczny w mroku.

Czuła zapach dzikiej cebuli, woń potu i szatwii wydzielaną przez jego starą czarną szatę, rozdartą na skraju i za krótką na niego.

— Nie mogą mnie dotknąć. Jestem Arhą — oświadczyła piskliwie i wyzywająco. A potem się rozpłakała.

Wielkie dłonie uniosły się i przytuliły ją, ściskały delikatnie i gładziły jej splecione włosy.

— Już dobrze, dobrze, mała pszczółko, moja malutka.

Usłyszała chrapliwy pomruk w głębi jego piersi i przylgnęła do niego. Łzy wyschły szybko, lecz nie wypuszczała go, jakby nie potrafiła ustać samodzielnie.

— Biedna maleńka — szepnął, biorąc dziecko na ręce. Zaniósł je aż do drzwi domu, gdzie spało samotnie. Tam postawił na ziemi.

— Już dobrze, maleńka?

Kiwnęła głową, odwróciła się od niego i weszła do ciemnego wnętrza.

3. Więźniowie

— Równe i ciężkie kroki Kossil odbijały się echem w korytarzu Małego Domu. Jej wysoka, tęga sylwetka przesłoniła otwór drzwi, zmalała, gdy kapłanka pokłoniła się, przyklękając na jedno kolano, urosła na powrót, kiedy się wyprostowała.

— Pani…

— O co chodzi, Kossil?

— Doglądanie niektórych spraw dotyczących Dziedziny Bezimiennych do dziś dnia było moim obowiązkiem. Jeśli sobie życzysz, to nadszedł właśnie czas, byś się przyjrzała, nauczyła i przejęła ode mnie zadania, jakich w tym życiu jeszcze nie poznałaś.

Dziewczynka siedziała w pozbawionym okien pokoju. Powinna medytować, lecz właściwie nie robiła nic i nic prawie nie myślała. Chwila minęła, nim jej twarz straciła chłodny, wyniosły i obojętny wyraz. Straciła go jednak, choć starała się to ukryć.

— Labirynt? — spytała z pozorną niedbałością.

— Nie wejdziesz do Labiryntu. Konieczne jest jednak przejście przez Podgrobie.

W głosie Kossil zabrzmiał dziwny ton, jakby lęk, prawdziwy lub może udawany, by przerazić Arhę. Dziewczynka wstała bez pośpiechu.

— Dobrze — rzuciła obojętnie. Lecz podążając za wysoką, tęgą kapłanką Boga-Króla krzyczała w duchu z radości: Nareszcie! Nareszcie! Zobaczę w końcu moją własną dziedzinę!

Miała piętnaście lat. Minął ponad rok odkąd stała się kobietą i równocześnie osiągnęła pełnię władzy jako Jedyna Kapłanka Grobowców Atuanu, najwyższa ze wszystkich kapłanek Wysp Kargadu, której nawet sam Bóg-Król nie ma prawa rozkazywać. Wszyscy teraz zginali przed nią kolano, nawet posępne Kossil i Thar. Wszyscy odzywali się z wyuczonym szacunkiem. Ale poza tym nic się nie zmieniło. Nic się nie stało. Kiedy dobiegły końca ceremonie konsekracji, dni mijały tak jak dotąd. Trzeba było zwijać wełnę, tkać czarny materiał, mielić mąkę, dopełniać rytuałów; co wieczór musiała odśpiewać Dziewięć Psalmów, pobłogosławić drzwi, dwa razy w roku nakarmić Kamienie krwią koźlęcia, wykonać przed Pustym Tronem taniec nowiu księżyca. Tak przeminął rok, taki sam jak wszystkie poprzednie. Czy tak ma minąć całe jej życie?

Nuda wzbierała w niej tak mocno, że czasem odczuwała ją jak grozę: dławiła w gardle. Jakiś czas temu poczuła, że musi komuś o tym opowiedzieć. Inaczej popadłaby w obłęd. Mogła rozmawiać tylko z Mananem. Duma nie pozwalała jej zwierzać się innym dziewczętom, a ostrożność — starszym kobietom. Lecz Manan był nikim, tylko wiernym głupcem. Nie miało znaczenia, co mu powie. Ku jej

zdziwieniu, zawsze miał dla niej odpowiedź.

— Dawno temu — powiedział kiedyś — wiesz, maleńka, zanim cztery nasze wyspy połączyły się w jedno imperium, zanim Bóg-Król zapanował nad nami wszystkimi, rządziło tu wielu pomniejszych królów, książąt i wodzów. Zawsze kłócili się między sobą. I przychodzili tutaj, by rozstrzygnąć swoje spory. Tak właśnie było; przybywali z naszego Atuanu, z Karego-At i Atnini, nawet z Hur-at-Hur: wszyscy ci książęta i wodzowie ze swoją służbą i wojskiem. I pytali cię, co mają robić. A ty stawałaś przed Pustym Tronem, a potem przekazywałaś im rady Bezimiennych. Tak było dawno temu. Po pewnym czasie Królowie-Kapłani zaczęli rządzić Atuanem, a teraz, od czterech czy pięciu pokoleń, Bogowie-Królowie władają wszystkimi czterema wyspami, z których stworzyli imperium. Wiele się zmieniło. Bóg-Król potrafi poskromić niepokornych wodzów i sam rozwiązuje ich spory. A że jest bogiem, rozumiesz, nie musi tak często radzić się Bezimiennych.

Arha zastanowiła się nad tym. Czas niewiele znaczyt w tej pustynnej krainie, pod niezmiennymi Kamieniami, w życiu płynącym tak samo od początku świata. Nie potrafiła się pogodzić z myślą o zmianie, o upadku dawnych obyczajów i powstawaniu nowych. Nie podobał się jej taki punkt widzenia.

— Moc Boga-Króla jest o wiele mniejsza od mocy Tych, którym ja służę — stwierdziła marszcząc brwi.

— Z pewnością… Ale trudno to powiedzieć bogu, mała pszczółko. Albo jego kapłance.

Patrząc w małe brązowe oczka Manana pomyślała o Kossil, Najwyższej Kapłance Boga-Króla, której bała się od samego początku, odkąd przybyła do Miejsca. Wiedziała, o czym mówi eunuch.

— Ale Bóg-Król i jego lud zaniedbują wiarę Grobowców. Nikt już tu nie przychodzi.

— No cóż, przysyłają więźniów na ofiary. Tego nie zaniedbują. Nie zapominają też o darach należnych Bezimiennym.

— Dary! Świątynię Boga-Króla malują co roku, cetnar złota leży na ołtarzu, w lampach palą różanym olejkiem! A spójrz na Salę Tronu: dziurawy dach, popękana kopuła, w ścianach żyją myszy, sowy i nietoperze… ale i tak przetrwa wszystkich Bogów-Królów i wszystkie ich świątynie. Istniała przed nimi, a kiedy odejdą, nadal będzie tu stała. To jest środek wszechrzeczy.

— To jest środek wszechrzeczy.

— Są tam bogactwa; Thar opowiada czasem o nich. Dość, by dziesięciokrotnie zasypać świątynię Boga-Króla. Złoto i klejnoty ofiarowane całe wieki, setki pokoleń temu… Kto wie, jak dawno. Wszystko leży zamknięte w grotach i skarbcach, pod ziemią. Nie chcą mnie jeszcze tam zabrać; każą mi czekać i czekać. Ale wiem, jak tam

jest. Pod wzgórzem są komnaty, pod całym Miejscem: tu, gdzie teraz stoimy. Tam jest ogromna sieć korytarzy. Labirynt, jak wielkie, ciemne, podziemne miasto. Pełne złota, mieczy dawnych bohaterów, starych koron i kości, i lat, i ciszy.

Mówiła jak w transie. Manan przyglądał się jej z niepokojem. Jego tłusta twarz nigdy nie wyrażała niczego prócz smutku. Teraz była smutniejsza niż zwykle.

— Tak. A ty jesteś panią tego wszystkiego — powiedział. — Ciszy i ciemności.

— Jestem. A one nie chcą mi nic pokazać, tylko pomieszczenia na powierzchni ziemi, za Tronem. Nie pokazały mi nawet wejścia do podziemi; mamroczą tylko czasem na ten temat. Nie wpuszczają mnie do mojej dziedziny! Dlaczego każą mi czekać i czekać?

— Jesteś młoda — odparł chrapliwym altem Manan. — A może… może po prostu się boją, maleńka. Przecież to nie ich dziedzina. Twoja. Kiedy tam wchodzą, grozi im niebezpieczeństwo. Każdy śmiertelnik lęka się Bezimiennych.

Arha milczała, lecz oczy jej rozbłysły. Jeszcze raz Manan ukazał jej nowy sposób widzenia pewnych spraw. Tak wspaniałe, zimne, potężne wydawały jej się zawsze Thar i Kossil, że nie wyobrażała sobie, by mogły się czegoś bać. Lecz 'eunuch miał rację. Lękały się tamtych miejsc i sił, których Arha była częścią, do których należała. Baty się wejść w ciemność, by nie zostały pożarte.

A teraz, gdy schodziła wraz z Kossil schodami od drzwi Małego Domu, a potem wspinała się stromą ścieżką w stronę Sali Tronu, wspominała tamtą rozmowę z Mananem i czuła radość. Nieważne, gdzie ją zabiorą i co pokażą, nie przestraszy się. Będzie wiedziała, co robić.

— Jednym z zadań, jakie wykonywałam w imieniu mojej pani, jak jej wiadomo — odezwała się Kossil, idąca nieco z tyłu — było składanie w ofierze więźniów, przestępców szlachetnie urodzonych, którzy świętokradztwem lub zdradą zgrzeszyli przeciw naszemu panu, Bogu-Królowi.

— Albo przeciwko Bezimiennym — dodała Arha.

— W istocie. Nie jest właściwe, by Pożarta spełniała te obowiązki, będąc jeszcze dzieckiem. Lecz pani moja już dzieckiem nie jest. Więźniowie czekają w Komnacie Łańcuchów, przystani tu z łaski pana naszego, Boga-Króla, z jego miasta Awabath.

— Nikt mi nie mówił, że przybyli więźniowie. Dlaczego?

— Więźniów sprowadza się nocą, sekretnie, na sposób nakazany pradawnym rytuałem Grobowców. To tajemna droga, na którą pani moja wkroczy, gdy wejdzie na ścieżkę biegnącą obok muru.

Arha skręciła wzdłuż wysokiego muru otaczającego Grobowce. Kamienie, z których go zbudowano, byty masywne; najmniejszy

cięższy byt od człowieka, największe miaty wielkość wozu. Choć bezkształtne, zostały starannie ułożone i dopasowane. Mimo to w niektórych miejscach mur rozsypywał się, a odłamki leżały stosami na ziemi. Jedynie czas mógł tego dokonać, całe wieki gorących dni i mroźnych nocy, ruchy gruntu mierzone w tysiącleciach.

— Nietrudno się wspiąć na Mur Grobowców — zauważyła Arha.

— Nie mamy dość ludzi, by go odbudować — odparła Kossil.

— Ale dość, by go strzegli.

— To tylko niewolnicy. Nie można im ufać.

— Można, jeśli będą się bali. Niech kara dla nich będzie taka sama, jak dla obcego, który postawi stopę na świętej ziemi za murem.

— Jaka to kara? — Kossil pytała nie po to, by się dowiedzieć. Dawno temu sama nauczyła Arhę odpowiedzi na to pytanie.

— Ścięcie głowy przed Tronem.

— Czy pani moja pragnie, by postawiono straże przy Murze Grobowców?

— Tak — potwierdziła dziewczyna.

Zaciskała w podnieceniu ukryte w długich rękawach palce. Wiedziała, że Kossil nie chce marnować niewolników na pilnowanie muru. I rzeczywiście, wcale nie było to potrzebne, gdyż jacy obcy tu przybywali? Nie wierzyła, by ktokolwiek niezauważony, przypadkiem lub celowo, znalazł się w promieniu mili od Miejsca. A już na pewno nie dostałby się w pobliże Grobowców. Ale straż sprawi, że będą uhonorowane, a Kossil nie może spierać się z nią w tym względzie. Musi być posłuszna.

— To tutaj — odezwał się zimny głos kapłanki.

Arha zatrzymała się. Często spacerowała ścieżką pod Murem Grobowców i znała ją, jak znała każdy skrawek Miejsca, każdy kamień, cierń i oset. Wysoki na trzech ludzi potężny mur wznosił się po jej lewej ręce. Po prawej zbocze opadało w płytką, jałową dolinę. Kawałek dalej teren wznosił się znowu ku wzgórzom na zachodzie. Rozejrzała się uważnie, lecz nie zobaczyła niczego, czego nie widziałaby już przedtem.

— Pod czerwoną skałą, pani.

Kilka sążni poniżej ścieżki język czerwonej lawy tworzył stopień czy maleńkie urwisko. Zeszła tam i stojąc twarzą do skał spostrzegła, że tworzą jakby bramę, wysoką na cztery stopy.

— Co trzeba uczynić?

Już dawno nauczyła się, że w świętych miejscach nie należy otwierać drzwi, póki się nie wie, jak należy to robić.

— Pani moja posiada wszystkie klucze do miejsc ciemności. Od rytuału dojrzałości Arha nosiła u pasa żelazne kółko, na którym wisiał mały sztylet i trzynaście kluczy: niektóre długie i ciężkie, inne małe jak haczyki na ryby.

— To ten — wskazała Kossil, po czym przytknęła swój gruby palec do szczeliny między dwoma nierównymi powierzchniami czerwonego kamienia.

Długi klucz z dwoma ozdobnymi piórami wsunął się między skały. Arha chwyciła go oburącz i przekręciła gładko, choć z trudem.

— Co teraz?

— Razem…

Wspólnie naparły na kamienną powierzchnię na lewo od dziurki od klucza. Powoli, lecz ptynnie i prawie bez hałasu nierówna płyta czerwonej skaty odsunęła się, odsłaniając wąską szczelinę. Wewnątrz panowała ciemność.

Arha pochyliła się i zagłębiła w mrok.

Kossil, tęga kobieta w grubych szatach, musiała się przeciskać przez wąskie przejście. Gdy tylko znalazła się wewnątrz, oparła plecy o kamienne odrzwia i zamknęła je z wysiłkiem.

Nic tu nie rozpraszało absolutnego mroku. Niby mokry filc zdawał się przylegać do otwartych oczu.

Kossil i Arha zginały się niemal w pół, gdyż korytarz nie miał nawet czterech stóp wysokości, a był tak wąski, że Arha wyciągniętymi rękami dotykała szorstkiej skały po lewej i po prawej stronie równocześnie.

— Przyniosłaś światło?

Zapytała szeptem, tak jak się mówi w ciemności.

— Nie — odparta z tyłu Kossil. Mówiła głosem zniżonym, lecz brzmiącym dziwnie — jak gdyby się uśmiechała. A przecież Kossil nigdy się nie uśmiechała. Serce Arhy podskoczyło gwałtownie, czuła uderzenia krwi w krtani. Z uporem powtarzała sobie: to mój teren, tutaj jest moje miejsce, nie będę się bała!

Na głos nie powiedziała ani słowa. Ruszyła przed siebie; była tylko jedna droga. Prowadziła do wnętrza wzgórza i w dół.

Kossil szła za nią oddychając z wysiłkiem. Jej szaty szeleściły czepiając się skał i piachu.

Nagle sklepienie uniosło się; Arha mogła już stanąć wyprostowana, a wyciągnąwszy ręce na boki nie sięgała ścian. Stęchłe dotąd i pachnące ziemią powietrze teraz muskało jej twarz wilgotnym chłodem, a jego drobne poruszenia wywoływały wrażenie rozległej przestrzeni. Arha ostrożnie postąpiła kilka kroków w absolutną ciemność. Spod jej sandałów wyśliznął się kamyk, uderzył w inny i cichy stuk zbudził echo… wiele ech, delikatnych, dalekich, jeszcze dalszych. Grota musiała być ogromna, wysoka i szeroka, lecz nie pusta. Coś w mroku, powierzchnie niewidocznych obiektów lub ścian, rozbijały echa na tysiące fragmentów.

— Musimy być teraz pod Kamieniami — szepnęła, a jej głos

pomknął w czarną pustkę, rozdzielony na pajęcze nici odbić, długo jeszcze lgnące do uszu.

— Tak, to Podgrobie. Idźmy. Ja nie mogę tu zostać. Trzymaj się ściany po lewej ręce, aż miniesz trzy przejścia.

Kossil syczała raczej niż szeptała, a delikatne echa syczały wraz z nią. Nie czuła się dobrze tutaj, wśród Bezimiennych, w ich grobowcach, ich grotach, w ciemności. Nie tu było jej miejsce, nie do niego należała.

— Przyjdę tu z pochodnią — oznajmiła Arha, dotykając palcami ściany, która ją prowadziła.

Zdumiewały ją niezwykłe kształty, jakie wyczuwała: wgłębienia i wybrzuszenia, delikatne krzywe krawędzie, tu szorstkie jak koronki, ówdzie gładkie jak mosiądz. Na pewno zostały wyrzeźbione. Może cała ta grota była dziełem rzeźbiarzy z dawnych dni…

— Światło w tym miejscu jest zakazane — odparła ostro Kossil. Nim jeszcze to powiedziała, Arha pojęła, że tak właśnie być musi. Znalazła się w domu ciemności, w najgłębszym ośrodku nocy.

Trzy razy palce Arhy pokonały pustkę rozwierającą się w kamiennej czerni. Za czwartym razem jej ręce odkryły przejście. Weszła, a Kossil podążała za nią.

W tunelu, wznoszącym się lekko w górę, minęły otwór korytarza po lewej stronie. Potem, przy rozwidleniu, skręciły w prawo; wszystko na dotyk. Niczym ślepe wymacywały drogę w ciszy panującej we wnętrzu ziemi. W takim tunelu trzeba było niemal bez przerwy dotykać ścian, by nie pominąć jakiegoś korytarza, którego wylot miał być policzony. Dotyk był jedynym przewodnikiem. Idący nie widział drogi, lecz trzymał ją w dłoniach.

— Czy to Labirynt?

— Nie. To mniejsza sieć, pod Tronem.

— A gdzie jest wejście do Labiryntu? — Dziewczynie podobała się ta wędrówka przez ciemność, ale pragnęła stanąć wobec większej zagadki.

— Drugi korytarz, jaki minęłyśmy w Podgrobiu. Szukaj teraz drzwi po prawej stronie. Drewnianych drzwi. Może już zaszłyśmyza daleko.

Arha słyszała, jak Kossil nerwowo obmacuje ścianę, skrobiąc o kamienie. Sama lekko muskała je czubkami palców i po chwili wyczuła gładką powierzchnię drewna. Pchnęła. Drzwi zgrzytnęły i otworzyły się bez oporu. Znieruchomiała na moment, oślepiona blaskiem.

Po chwili obie weszły do dużego, niskiego, wykutego w skale pomieszczenia, oświetlonego zwisającą na łańcuchu pojedynczą pochodnią. Cuchnęło tu dymem, który nie miał ujścia. Oczy Arhy piekły i łzawiły.

— Gdzie są więźniowie?

— Tam.

Wtedy zrozumiała, że trzy niewyraźne wzgórki po drugiej stronie komory to ludzie.

— Drzwi nie były zamknięte? Nie ma straży?

— Nie ma potrzeby.

Weszła dalej, niepewnie wytężając wzrok w zadymionej przestrzeni. Więźniowie byli przykuci za obie kostki i jedną rękę do wielkich, wbitych w skałę pierścieni. Gdyby któryś chciał się położyć, jego ręka zwisałaby na łańcuchu podniesiona w górę. Cienie i splątane w jedną masę brody i włosy więźniów skrywały ich twarze. Jeden z nich na wpół leżał, dwaj pozostali siedzieli, a może raczej kucali. Byli nadzy. Odór ich ciał przebijał się nawet przez zapach dymu.

Zdawało się jej, że jeden z nich patrzy na nią; dostrzegła chyba błysk oczu, lecz nie była pewna. Pozostali nie poruszyli się ani nie podnieśli głów.

Odwróciła się.

— Nie są już ludźmi — stwierdziła.

— Nigdy nie byli ludźmi. To demony, bestie spiskujące przeciw błogosławionemu życiu Boga-Króla! — Oczy Kossil płonęły czerwonym blaskiem pochodni.

— Arha spojrzała na więźniów, zalękniona i ciekawa.

— Jak człowiek może atakować boga? Ty powiedz: jak śmiałeś podnieść rękę na żywego boga?

Jeden z mężczyzn spojrzał na nią przez czarną plątaninę włosów, lecz milczał.

— Przed odjazdem z Awabath wyrwano im języki — wyjaśniła Kossil. — Nie mów do nich, pani. To robactwo. Należą do ciebie, ale nie po to, byś z nimi rozmawiała, patrzyła na nich czy o nich myślała. Należą do ciebie, byś oddała ich Bezimiennym.

— Jak ma się to dokonać?

Arha nie patrzyła na więźniów. Wpatrywała się w Kossil, czerpiąc siłę z jej chłodu, z widoku jej masywnego ciała. Kręciło jej się w głowie, a smród dymu i brudu przyprawiał o mdłości. Mimo to Kossil zdawała się zachowywać absolutny spokój. Czy wiele razy robiła już coś takiego?

— Kapłanka Grobowców wie najlepiej, jaki rodzaj śmierci zadowoli jej Władców. Sama powinna wybrać. Jest wiele sposobów.

— Niech Gobar, kapitan straży, odrąbie im głowy. A krew zostanie wylana przed Tronem.

— Jakby byli kozłami ofiarnymi? — Miała wrażenie, że Kossil naśmiewa się z jej braku wyobraźni. Milczała oszołomiona, a kapłanka mówiła dalej: — Poza tym Gobar jest mężczyzną. Mężczyzna nie może wejść w Mroczne Obszary Grobowców. Z pewnością pani moja

pamięta o tym? Jeśli tu wejdzie, nie może wyjść…

— A kto ich tu przyprowadził? Kto ich karmi?

— Dozorcy, słudzy mojej świątyni, Duby i Uahto. Są eunuchami i mogą tu wejść w służbie Bezimiennych, jak i ja mogę. Żołnierze Boga-Króla zostawili więźniów związanych pod murem, a ja i dozorcy przenieśliśmy ich przez Wrota Więźniów, te drzwi w czerwonej skale. Tak jest zawsze. Wodę i pożywienie spuszcza się im przez klapę w jednej z komnat za Tronem.

Arha obejrzała się i obok łańcucha, na którym wisiała pochodnia, dostrzegła drewnianą klapę wpasowaną w kamienny strop. Była o wiele za mała, by człowiek zdołał przecisnąć się przez otwór, lecz spuszczona tamtędy lina opadłaby akurat w zasięgu rąk środkowego więźnia. Szybko odwróciła wzrok.

— Niech zatem nie dają im więcej jedzenia i wody. Niech wypali się pochodnia.

Kossil skłoniła głowę.

— A co z ciałami, gdy już umrą?

— Niech Duby i Uahto zakopią je w wielkiej grocie, przez którą przechodziłyśmy. W Podgrobiu — mówiła szybko i piskliwie. — Moi Władcy je pożrą.

— Tak się stanie.

— Dobrze zrobiłam, Kossil?

— Dobrze, pani.

— Chodźmy więc.

Arha odwróciła się i ruszyła do drzwi, by jak najszybciej wyjść z Komnaty Łańcuchów i znaleźć się w mroku korytarza. Wydawał się teraz słodki i spokojny jak bezgwiezdna noc, cichy, bez światła, bez życia. Rzuciła się w czystą ciemność, rozgarniając ją jak pływak wodę. Kossil spieszyła za nią zdyszana i zmęczona, coraz bardziej zostając z tyłu. Arha bez wahania mijała wyloty jednych korytarzy i skręcała w inne, powtarzając przebytą drogę. Przebiegła skrajem ogromnego, pełnego ech Podgrobia, weszła w długi tunel wiodący do zamkniętych drzwi w skale. Znalazła je, lecz nie potrafiła odszukać dziurki od klucza. W niewidocznej skalnej płycie nie zajaśniał żaden świetlny punkcik. Obmacywała kamień szukając zamka, rygla czy klamki. Bez skutku. Gdzie włożyć klucz? Jak można się stąd wydostać?

— Pani!

Wzmocniony echem głos Kossil huczał za plecami.

— Pani, te drzwi nie otwierają się od wewnątrz. Nie ma wyjścia. Nie można wrócić.

Arha przykucnęła obok skały. Milczała.

— Arho!

— Tu jestem.

— Chodź!

Ruszyła, pełzając na czworakach jak pies do spódnic Kossil.

— Na prawo! Szybko! Nie wolno mi zwlekać. To nie jest moje miejsce. Idź za mną.

Arha wstała, trzymając się szaty Kossil. Bardzo długo szły szybko wzdłuż rzeźbionej ściany groty po prawej ręce. Potem skręciły w pustkę wśród czerni. Teraz posuwały się w górę, najpierw tunelem, później schodami. Dziewczyna nie wypuszczała z ręki szat kobiety. Oczy miała zamknięte.

Pojawiło się światło, czerwone poprzez zamknięte powieki. Myślała, że to blask pochodni w tamtej zadymionej grocie i nie otwierała oczu. Lecz powietrze pachniało słodkawo: suche, lekko stęchłe, znajome. Stąpała po stopniach stromych jak drabina. Puściła Kossil i spojrzała. Nad głową dostrzegła otwartą klapę. Przecisnęła się za kapłanką do pokoju, który znała: małej kamiennej komórki, w której stało kilka skrzyń i żelaznych szkatułek. Była w jednym z pomieszczeń na tyłach Sali Tronu. W korytarzu za drzwiami jaśniało szare światło dnia.

— Tamte drzwi, Wrota Więźniów, prowadzą jedynie do tuneli. Nie prowadzą na zewnątrz. To jest jedyne wyjście. Jeśli istnieje inne, to ja o nim nie wiem. Thar także nie. Jeśli je znajdziesz, sama musisz o nim pamiętać. Ale nie wierzę, by takie było. — Kossil nadal mówiła szeptem, w którym jednak brzmiała złośliwość. Pod czarnym kapturem jej otyła twarz była blada i mokra od potu.

— Nie pamiętam, gdzie trzeba skręcić, by tu dojść.

— Powiem ci. Raz. Potem musisz pamiętać. Nigdy więcej z tobą nie pójdę. To nie jest moje miejsce. Musisz chodzić sama.

Dziewczyna skinęła głową. Spojrzała na kapłankę myśląc, jak dziwnie wygląda jej twarz: blada, z wyrazem ledwie skrywanego strachu, a jednak tryumfująca — jak gdyby Kossil cieszyła się jej słabością.

— Będę chodziła sama — powiedziała Arha i odwracając się poczuła, że uginają się pod nią nogi, że pokój wiruje dookoła. Zemdlała i jak mały czarny wzgórek legła u stóp kapłanki.

— Nauczysz się — mruknęła Kossil. Stała nieruchomo i dyszała ciężko. — Nauczysz.

4. Sny i opowieści

Przez kilka dni Arha nie czuła się dobrze. Miała gorączkę. Leżała w łóżku albo odpoczywała na ganku Małego Domu, grzejąc się w łagodnym jesiennym słońcu i spoglądając na zachodnie wzgórza. Była słaba i oszołomiona. Wciąż na nowo nawiedzały ją te same myśli. Wstydziła się swojego omdlenia.

Nie ustawiono straży wzdłuż Muru Grobowców, lecz teraz już nie ośmieli się prosić o to Kossil. Nie chciała jej więcej widzieć. Nigdy. A to dlatego, że było jej wstyd.

Często za dnia planowała, jak się zachowa, gdy znów wejdzie w ciemność pod wzgórzem. I wiele razy zastanawiała się, jaką śmierć powinna wyznaczyć następnej grupie więźniów: bardziej wymyślną, lepiej odpowiadającą rytuałom Pustego Tronu.

Każdej nocy budziła się w ciemnościach z krzykiem:

— Jeszcze nie umarli! Oni wciąż umierają!

Wiele śniła. Śniła o tym, że musi gotować jedzenie: wielkie kotły pełne pożywnej owsianki, które wylewała do dziury w ziemi. Śniła, że musi nieść pełen dzban wody: głęboki, mosiężny dzban dla kogoś, kto był spragniony. Nigdy do niego nie docierała. Budziła się i sama czuła pragnienie, ale nie wstawała, by się napić. Leżała rozbudzona, z otwartymi szeroko oczami, w pokoju bez okien.

Pewnego ranka Penthe przyszła się z nią zobaczyć. Arha widziała z ganku, jak zbliża się do Małego Domu: na pozór niedbale i obojętnie, jak gdyby znalazła się tutaj zupełnie przypadkowo.

Gdyby Arha się nie odezwała, poszłaby dalej. Ale Arha czuła się samotna i przemówiła.

Penthe skłoniła się głęboko, jak każdy, kto podchodził do Kapłanki Grobowców, po czym energicznie usiadła na schodach, wydając z siebie dźwięk brzmiący jak Fiuf! Była wysoka i pulchna; czerwieniła się przy najmniejszym wysiłku. Teraz też była zarumieniona po spacerze.

— Słyszałam, że jesteś chora. Przyniosłam ci parę jabłek. — Gdzieś spod obszernej czarnej szaty wyjęła wiklinowy koszyk, w którym leżało sześć czy osiem doskonale żółtych owoców. Penthe została konsekrowana do służby Bogu-Królowi i teraz pod komendą Kossil pomagała w jego świątyni. Nie była jeszcze kapłanką, więc uczyła się i pracowała razem z nowicjuszkami. — W tym roku z Poppe przebierałyśmy jabłka, więc schowałam te najlepsze. Zawsze je suszą. Oczywiście, w ten sposób się nie psują, ale jednak szkoda. Czy nie są śliczne?

Arha dotknęła bladozłotych aksamitnych skórek, spojrzała na ogonki, których jeszcze trzymały się liście.

— Tak, są śliczne.

— Zjedz jedno — zachęciła Penthe.

— Nie teraz. Ale ty zjedz.

Penthe z grzeczności wybrała najmniejsze i zjadła je w dziesięciu soczystych, umiejętnych, smakowitych kęsach.

— Mogłabym jeść cały dzień — wyznała. — Nigdy nie mam dość. Szkoda, że nie jestem kucharką. Gotowałabym lepiej niż ta chuda Nathabba, a poza tym mogłabym wylizywać garnki. Słyszałaś o Munith? Miała wypolerować te mosiężne dzbanki, w których trzymają olejek różany, no wiesz, te wysokie i wąskie, z korkami. A ona myślała, że od środka też maje wyczyścić, więc wsadziła rękę ze szmatką, wiesz, i potem nie mogła wyjąć. Ciągnęła z całej siły, aż spuchł jej nadgarstek, wiesz, tak że naprawdę wpadła. Biegała po wszystkich sypialniach i wrzeszczała: „Nie mogę wyciągnąć ręki! Nie mogę wyciągnąć ręki!" A Punti jest głuchy i myślał, że to pożar, więc zaczął poganiać innych dozorców, żeby ratowali nowicjuszki. Uahto był akurat przy dojeniu, wyleciał z zagrody i zostawił otwartą bramę, więc wszystkie kozy wybiegły i wpadły na dziedziniec, prosto na Punti, dozorców i te małe. A Munith ciągle wymachiwała dzbankiem na ręce i dostała histerii. Wszyscy biegali w kółko, a Kossil akurat wychodziła ze świątyni. No i pyta: „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?"

Jasna, okrągła buzia Penthe przybrała odpychający wyraz, wcale niepodobny do lodowatej miny Kossil, lecz jednocześnie tak przypominający kapłankę, że Arha parsknęła śmiechem, niemal przestraszona.

— „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?" pyta Kossil, i wtedy… wtedy ta brązowa koza… ubodła ją! — Penthe śmiała się tak, że łzy stanęły jej w oczach. — A M-Munith walnęła tę… tę kozę d-d-dzbankiem…

Dziewczęta kołysały się w spazmatycznym chichocie, obejmowały kolana ramionami i krztusiły się ze śmiechu.

— A Kossil odwróciła się i powiedziała „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?" do… do… do… kozy… — Zakończenie historii utonęło w wybuchach śmiechu. Wreszcie Penthe wytarła oczy i nos, po czym z roztargnieniem wyjęła z koszyka następne jabłko.

Śmiech sprawił, że Arha drżała jeszcze przez chwilę.

— Jak tu trafiłaś, Penthe? — spytała po chwili, gdy się wreszcie uspokoiła.

— Och, byłam szóstą dziewczynką, jaką mieli moja mama i tato. Po prostu nie mogli wychować nas tylu i powydawać za mąż. Więc kiedy skończyłam siedem lat, zaprowadzili mnie do świątyni i poświęcili Bogu-Królowi. To było w Ossawie. Mieli tam chyba za dużo nowicjuszek, bo wkrótce potem przysłali mnie tutaj. A może myśleli,

że będę wyjątkowo dobrą kapłanką albo co… Ale pomylili się. — Penthe z zabawnie żałosną miną ugryzła jabłko.

— Wolałabyś nie być kapłanką?

— Czy bym wolała? Oczywiście. Wolałabym raczej wyjść za świniopasa i mieszkać w chlewie, niż do końca swoich dni tkwić pogrzebana za życia z tą kupą kobiet na pustyni, gdzie nikt nigdy nie przyjeżdża. Ale co mi z tego, że bym wolała, kiedy zostałam konsekrowana i wpadłam na dobre. Mam tylko nadzieję, że w następnym życiu będę tancerką w Awabath. Zasłużyłam na to.

Arha patrzyła na nią posępnie. Nie rozumiała. Miała wrażenie, że nigdy dotąd nie widziała Penthe, nigdy się jej nie przyglądała, nie dostrzegała jej, tak soczystej i pełnej życia jak jedno z tych złotych jabłek, na które przyjemnie było spojrzeć.

— Czy Świątynia nic dla ciebie nie znaczy? — zapytała dość szorstkim tonem.

Zawsze pokorna i łatwa do zastraszenia Penthe tym razem nie straciła rezonu.

— Och, wiem, że twoi Władcy są dla ciebie ważni — odparła z obojętnością, która Arhę zaszokowała. — To oczywiste, skoro jesteś ich jedyną, wyjątkową służką. Nie byłaś zwyczajnie konsekrowana, ale specjalnie po to się urodziłaś. Ale spójrz na mnie. Czy mam odczuwać lęk, szacunek i tak dalej dla Boga-Króla? W końcu to tylko człowiek, nawet jeśli mieszka w Awabath, w pałacu na dziesięć mil dookoła i ze złotymi dachami. Ma jakieś pięćdziesiąt lat i jest łysy. Widać to na wszystkich jego posągach. Założę się, że tak jak wszyscy musi sobie obcinać paznokcie. Wiem dobrze, że jest też bogiem. Ale moim zdaniem po śmierci nabierze dużo więcej boskości.

Arha przyznawała Penthe rację, gdyż w głębi duszy sama uważała samozwańczych Świątobliwych Imperatorów Kargadu za oszustów, fałszywych bogów próbujących odebrać cześć należną prawdziwym i wiecznym Potęgom. W słowach dziewczyny pobrzmiewało jednak coś takiego, z czym nie mogła się pogodzić, coś całkowicie obcego, budzącego lęk. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ludzie różnią się od siebie, w jak różny sposób patrzą na życie. Miała uczucie, że spostrzegła całkiem nową planetę, wielką i zaludnioną, która nagle zawisła tuż za oknem: zupełnie obcy świat, w którym bogowie nie mają znaczenia. Siła niewiary Penthe przeraziła ją. A przerażona Arha zaatakowała.

— To prawda. Moi Władcy są martwi od bardzo dawna. I nigdy nie byli ludźmi… Wiesz, Penthe, mogłabym cię powołać do służby Grobowcom… — Mówiła uprzejmie, jakby proponowała przyjaciółce przysługę.

Rumieniec zniknął z policzków Penthe.

— Tak — odparła. — Mogłabyś. Ale ja… Ja nie służyłabym dobrze.

— Dlaczego?

— Boję się ciemności — szepnęła Penthe.

Arha prychnęła z pogardą, była jednak zadowolona. Udowodniła swój punkt widzenia. Penthe mogła nie wierzyć w bogów, ale bala się nie nazwanych sit ciemności — tak samo jak wszyscy śmiertelni.

— Wiesz, że nie zrobiłabym tego, gdybyś sama nie chciała — zapewniła.

Milczały przez długą chwilę.

— Coraz bardziej przypominasz Thar — odezwała się wreszcie Penthe w zamyśleniu. — Dzięki bogom, nie robisz się podobna do Kossil. Ale jesteś silna. Chciałabym być taka silna. A ja tylko lubię jeść…

— Nie krępuj się — zachęciła ją Arha, po czym z poczuciem wyższości i z rozbawieniem obserwowała, jak Penthe powoli zjada trzecie jabłko.

Kilka dni później nie kończące się obowiązki rytuałów Miejsca wyrwały Arhę z odosobnienia. Jedna z kóz urodziła parę młodych poza sezonem i obyczaj nakazywał ofiarować je Bliźniaczym Boskim Braciom — ważna ceremonia, na której Pierwsza Kapłanka musiała być obecna. Potem wypadła pora nowiu i trzeba było dopełnić rytuału ciemności przed Pustym Tronem. Arha wdychała oszałamiające opary ziół płonących w płaskich misach z brązu i tańczyła samotnie u stóp Tronu. Tańczyła dla niewidzialnych duchów umarłych i nie narodzonych, i w miarę tańca te duchy zbierały się w powietrzu wokół niej, powtarzając skręty i przesunięcia stóp, wolne i pewne ruchy ramion. Śpiewała pieśń, której słów żaden człowiek nie rozumiał, a której sylaba po sylabie nauczyła się od Thar. Chór kapłanek ukrytych w mroku za podwójnym szeregiem kolumn recytował za nią obce słowa, a powietrze w ogromnej, zrujnowanej sali rozbrzmiewało głosami, jak gdyby stłoczone wokół duchy także powtarzały pieśń, znowu i znowu.

Bóg-Król w Awabath nie przysyłał do Miejsca kolejnych więźniów i Arha przestała śnić o tamtych trzech, teraz już dawno martwych i pogrzebanych w płytkich mogiłach w wielkiej grocie pod Kamieniami.

Musiała przywołać na pomoc całą swoją odwagę, by wrócić do tej groty. Musiała wrócić — Kapłanka Grobowców nie mogła się lękać wejścia do swej dziedziny.

Pierwsze zejście przez klapę było trudne, lecz nie tak trudne, jak się obawiała. Przygotowała się dobrze i czuła taką determinację, by wkroczyć tam i nie tracić spokoju, że kiedy to nastąpiło, była niemal rozczarowana, że nie ma się czego bać. Byty tam groby, ale nie widziała ich; nie widziała niczego. Panowała ciemność. I cisza. Nic

więcej.

Dzień po dniu zstępowała pod ziemię, zawsze przez klapę w pokoju za Tronem, aż poznała przedziwnie rzeźbione ściany groty tak dokładnie, jak można poznać to, czego się nie da zobaczyć. Nigdy nie odstępowała tych ścian, gdyż ruszając na przełaj przez wielką pustkę, wśród czerni łatwo mogła stracić poczucie kierunku i dotknąwszy w końcu ściany nie wiedzieć, gdzie się znajduje. Już za pierwszym razem nauczyła się bowiem, że najważniejsza w ciemności jest wiedza, które korytarze i rozwidlenia już minęła, a jakie są jeszcze przed nią. W tym celu musiała je liczyć, gdyż w dotyku wszystkie zdawały się identyczne. Wyćwiczona pamięć bez trudu opanowała taki sposób odnajdowania drogi: z pomocą rąk i numeracji, zamiast wzroku i orientacji w terenie. Wkrótce poznała wszystkie przejścia otwierające się do Podgrobia, mniejszego obszaru pod Salą Tronu i szczytem wzgórza. Tylko do jednego korytarza nie weszła nigdy: drugiego po lewej stronie, licząc od wejścia przez bramę w czerwonej skale. Gdyby tam skręciła, biorąc go za jeden z poznanych już tuneli, mogłaby nigdy nie znaleźć drogi powrotnej. Lecz coraz bardziej narastało w niej pragnienie, by go zbadać, by wejść do Labiryntu. Powstrzymywała się do chwili, gdy dowie się wszystkiego, czego mogła się dowiedzieć na powierzchni ziemi.

Thar nie wiedziała zbyt wiele. Jedynie nazwy niektórych komnat i listę wskazań, w które korytarze skręcać i które omijać, by się tam dostać. Powtarzała je na prośbę Arhy, lecz nigdy nie chciała wyrysować drogi na piasku ani nawet opisać jej gestem ręki. Nigdy nie była w Labiryncie, nigdy nie przeszła tych dróg. Gdy jednak Arha pytała Jak dojść od stojących otworem żelaznych wrót do Malowanej Komnaty?" albo Jak biegnie droga z Komnaty Kości do tunelu przy rzece?", Thar milkła na chwilę, po czym recytowała wskazówki, których nauczyła się od Arhy-która-odeszła: minąć tyle a tyle korytarzy, tyle a tyle razy skręcić i tak dalej i tak dalej. Instrukcji tych Arha uczyła się na pamięć, jak dawniej Thar, i często znała je już po pierwszym wysłuchaniu. Nocą, leżąc w łóżku, powtarzała je w myślach, próbując wyobrazić sobie te miejsca, komnaty i rozwidlenia.

Thar pokazała jej wiele otworów, przez które można było zajrzeć do podziemi. Były wszędzie, w każdym budynku i świątyni, a nawet na dworze, pod kamieniami. Pajęcza sieć kamiennych tuneli oplatała całe Miejsce, sięgając nawet poza mury; na dole, w ciemnościach, korytarze ciągnęły się całymi milami. Nikt prócz niej, dwóch Najwyższych Kapłanek i ich wybranych sług — eunuchów Manana, Duby'ego i Uahto — nie miał pojęcia o istnieniu Labiryntu, nad którym zamieszkiwali. Krążyły tylko plotki; wszyscy wiedzieli o grotach czy jakichś komnatach pod Kamieniami Grobowymi. Nikt jednak nie interesował się przesadnie tym, co miało związek z

Bezimiennymi i ich świętymi miejscami. Chyba uważano, że im mniej się wie, tym lepiej. Arha, naturalnie, była bardzo ciekawa; wiedząc, że istnieją, wszędzie szukała wizjerów pozwalających zajrzeć do Labiryntu. Były jednak dobrze ukryte. Dopóki Tharjej nie pokazała, nie znalazła nawet tego, który znajdował się wjej własnym Małym Domu.

Pewnej nocy wczesną wiosną wzięła latarnię i zeszła w dół. Nie zapalając światła minęła Podgrobie i skręciła w drugi korytarz w lewo, licząc od bramy w czerwonej skale.

Po trzydziestu krokach minęła umocowaną w skale żelazną ramę wrót, do tego dnia najdalszą granicę jej wypraw. Za żelaznymi wrotami ruszyła tunelem, a kiedy zaczął skręcać w prawo, zapaliła świecę w latarni i rozejrzała się dookoła. Tutaj światło było dozwolone. Opuściła Podgrobie. Znalazła się w miejscu może nie tak świętym, lecz chyba straszniejszym: w Labiryncie.

Surowe nagie ściany, strop i skała pod nogami otaczały ją w niewielkiej sferze rozjaśnionej światłem latarni. Powietrze zdawało się martwe. Przed nią i z tyłu korytarz ginął w ciemności.

Wszystkie tunele były podobne, krzyżowały się i rozwidlały. Liczyła starannie zakręty i ominięte wyloty, wciąż powtarzając sobie w pamięci wskazówki Thar, mimo że znała je doskonale. Nie byłoby dobrze zgubić się w Labiryncie. W Podgrobiu i krótkich korytarzach wokół niego Kossil lub Thar potrafiłyby ją odnaleźć; mógłby przyjść Manan, gdyż kilka razy zabrała go ze sobą. Lecz tego miejsca nie odwiedziło nigdy żadne z nich; tylko ona. Niewiele by pomogło, gdyby zeszli do Podgrobia i wołali ją, zagubioną w jakimś krętym tunelu o pół mili od nich. Wyobraziła sobie, że słyszy echo ich krzyków odbijające się we wszystkich przejściach, i siebie, jak stara się znaleźć drogę i gubi ją coraz bardziej. Widziała wszystko tak wyraźnie, że stanęła w miejscu — zdawało jej się, że słyszy dalekie wołanie. Ale to było złudzenie. Ona nie mogła się zgubić. Uważała bardzo, a tu było jej miejsce, jej domena. Moce ciemności, Bezimienni, pokierują jej krokami, tak jak doprowadzą do zguby każdego innego śmiertelnika, który ośmieli się wejść do Labiryntu Grobowców.

Za pierwszym razem nie doszła zbyt daleko, wystarczająco jednak, by wzmocniło się dziwne, gorzkie, lecz przyjemne wrażenie, że jest tutaj całkowicie samotna i niezależna od nikogo. To uczucie kazało jej wracać tu znowu i znowu, za każdym razem dalej. Dotarła do Malowanej Komnaty, do Sześciu Dróg, przeszła długim Najdalszym Tunelem i pokonała splątane korytarze wiodące do Komnaty Kości.

— Kiedy powstał Labirynt? — spytała kiedyś Thar, a chuda, surowa kapłanka odpowiedziała:

— Nie wiem, pani. Nikt tego nie wie.

— W jakim celu go zbudowano?

— By ukryć skarby Grobowców i by karać tych, którzy chcą te skarby ukraść.

— Wszystkie skarby, jakie widziałam, schowane są w pomieszczeniach za Tronem i w piwnicach pod nim. Co jest w Labiryncie?

— Daleko większy i starszy skarb. Czy chcesz go zobaczyć?

— Tak.

— Nikt prócz ciebie nie ma prawa wejść do Skarbca Grobowców. Możesz zabierać swe sługi do Labiryntu, ale nigdy do Skarbca. Choćby to był tylko Manan, zbudzi gniew ciemności i nie zdoła opuścić Labiryntu żywy. Musisz chodzić zawsze sama. Wiem, gdzie leży Wielki Skarb. Nauczyłaś mnie tej drogi piętnaście lat temu, zanim umarłaś, bym pamiętała i powtórzyła ci po powrocie. Wytłumaczę ci, jaką drogą masz iść przez Labirynt poza Malowaną Komnatą. Klucz do Skarbca to ten srebrny w twoim pęku, z symbolem smoka na piórze. Ale musisz iść sama. — Powiedz, jak wiedzie droga.

Thar powiedziała, a Arha zapamiętała, jak pamiętała wszystko, co jej mówiono. Ale nie poszła popatrzeć na Wielki Skarb Grobowców. Powstrzymało ją przeczucie, że jej wola lub wiedza nie sąjeszcze dostateczne. A może chciała po prostu zachować coś w rezerwie: coś, na co mogłaby się cieszyć, wędrując w mroku przez nieskończoną sieć tuneli, kończących się zawsze ślepą ścianą lub pustą, zakurzoną komorą. Postanowiła zaczekać z oglądaniem swych skarbów.

W końcu, czyż nie widziała ich przedtem?

Wciąż czuła pewien niepokój, gdy Kossil i Thar mówiły jej o tym, co zobaczyła lub powiedziała, zanim umarła. Wiedziała, że naprawdę umarła i odrodziła się w nowym ciele, w godzinę śmierci starego. Nie tylko raz, piętnaście lat temu, lecz także pięćdziesiąt lat temu, i przedtem, i jeszcze przedtem, dziesiątki i setki lat wcześniej, pokolenie przed pokoleniem aż do początków czasu, kiedy wykopano Labirynt i ustawiono Kamienie, a Pierwsza Kapłanka Bezimiennych zamieszkała w tym Miejscu i tańczyła przed Pustym Tronem. Były jedną istotą, one wszystkie i ona, Pierwsza Kapłanka. Wszyscy ludzie się odradzają, ale tylko Arha zawsze odradzała się we własnej postaci. Setki razy poznawała rozwidlenia i zakręty Labiryntu, by dojść wreszcie do tajemnej komory.

Czasem zdawało jej się, że pamięta. Mroczne miejsca pod wzgórzem wydawały się tak znajome, jakby były nie tylko jej dziedziną, ale domem. Kiedy wdychała oszałamiające opary, by tańczyć o nowiu księżyca, głowa stawała się lekka, a ciało nie należało już do niej; tańczyła wtedy poprzez wieki, bosa, w czarnych szatach, wiedząc, że ten taniec nigdy nie ustawał.

Mimo to dziwnie się czuła, gdy Thar mówiła: „Powiedziałaś mi, zanim umarłaś…”

— Kim byli ludzie, którzy chcieli okraść Grobowce? — spytała kiedyś. — Czy w ogóle ktoś tego próbował?

Myśl o złodziejach uznała za podniecającą, lecz mało prawdopodobną. Jak ktokolwiek mógł w tajemnicy zbliżyć się do Miejsca? Pielgrzymi przybywali rzadko, rzadziej nawet niż więźniowie. Od czasu do czasu z pomniejszych świątyń Czterech Wysp przysyłano nowicjuszki lub niewolników, czasem zjawiała się niewielka grupa ludzi, by złożyć w ofierze złoto lub cenne kadzidło. To wszystko. Nikt nie przybywał przypadkiem ani by coś sprzedać lub kupić, ani oglądać, ani kraść. Zjawiali się tylko ci, którym rozkazano. Arha nie wiedziała nawet, jak daleko jest do najbliższego miasteczka: dwadzieścia mil czy więcej. A najbliższe miasteczko było bardzo małe. Pustka i samotność strzegły Miejsca. Ktokolwiek próbowałby przekroczyć otaczającą je pustynię, byłby widoczny jak czarna owca na śniegu.

Tego dnia była z Thar i Kossil, z którymi spędzała większość czasu, gdy nie przebywała w Małym Domu ani pod wzgórzem. Kwietniowa noc była burzliwa i zimna. Siedziały przy ogniu płonącym na kominku w pokoju za świątynią Boga-Króla, pokoju Kossil. Za drzwiami Manan i Duby grali w patyczki i kamienie: podrzucali do góry pęk patyczków tak, by jak najwięcej złapać na grzbiet dłoni. Manan i Arha często grali w tajemnicy w tę grę na wewnętrznym dziedzińcu Małego Domu. Gdy trzy kapłanki milkły, słychać było jedynie stuk spadających patyczków, pomruki graczy i cichy trzask ognia. Za ścianami trwała głęboka cisza pustynnej nocy. Od czasu do czasu dobiegał szum krótkotrwałego, rzęsistego deszczu.

— Dawno temu wielu tu przybywało, by okraść Grobowce. Nikomu jednak się to nie udało — rzekła Thar. Choć milkliwa, lubiła czasem opowiedzieć jakąś historię i traktowała to jako naukę dla Arhy. Tej nocy sprawiała wrażenie, że da się namówić.

— Jak ktoś mógł się ośmielić?

— Oni mieli dość śmiałości — odparta Kossil. — To czarownicy, magowie z Wewnętrznych Krain. Działo się to, zanim Bóg-Król objął władzę na Wyspach Kargadu; wtedy nie byliśmy jeszcze tak potężni. Magowie przypływali z zachodu do Karego-At i Atuanu, by plądrować nasze nadbrzeżne miasta i napadać na farmy: podchodzili nawet pod mury Świętego Miasta Awabath. Twierdzili, że przybywają zabijać smoki, ale zostawali rabować wioski i świątynie.

— A ich bohaterowie przypływali, by wypróbować tu swoje miecze — wtrąciła Thar. — I rzucać bezbożne zaklęcia. Jeden z nich, potężny czarownik i pan smoków, największy ze wszystkich, poniósł tu klęskę. Działo się to dawno, bardzo dawno temu, ale ta historia nie poszła w zapomnienie i to nie tylko tutaj. Czarownik nazywał się Erreth-Akbe. Był królem i magiem na Zachodzie. Zjawił się na naszej

ziemi, by w Awabath połączyć się z pewnymi zbuntowanymi kargijskimi książętami. Tam walczył o władzę nad miastem z Najwyższym Kapłanem Wewnętrznej Świątyni Bliźniaczych Bóstw. Długo walczyli, czary obcego przeciw błyskawicom bogów, a świątynia wokół nich została zupełnie zniszczona. W końcu Najwyższy Kapłan złamał magiczną laskę czarownika, przełamał na pół amulet jego mocy i pokonał go. Tamten uciekł z miasta, z Wysp Kargadu, uciekał przez cale Ziemiomorze aż na najdalszy zachód, i tam zabił go smok, gdyż czarownik utracił swą siłę. Od owego dnia potęga i moc Wewnętrznych Krain wciąż maleje. Najwyższy Kapłan zaś, imieniem Intathin, był pierwszym z rodu Tarb, który… gdy wypełniły się przepowiednie i stulecia… wydał Królów-Kapłanów Karego-At, od których pochodzą Bogowie-Królowie całego Kargadu. Tak więc od dni Intathina wciąż rośnie potęga i moc kargijskich wysp. Ci, którzy próbowali okraść Grobowce, byli czarownikami, raz po raz próbującymi odzyskać połówkę amuletu Erreth-Akbego. Ale on ciągle leży tam, gdzie ukrył go Najwyższy Kapłan. Tam, gdzie ich kości… — Thar wskazała ziemię pod swymi stopami. — A druga połowa zaginęła na zawsze.

— Jak zaginęła? — spytała Arha.

— Jedna połowa została w ręku Intathina, który ofiarował ją Skarbcowi Grobowców, gdzie winna spoczywać bezpieczna przez wieczność. Drugą wydarł czarownik, lecz zanim uciekł, podarował ją drobnemu władcy, jednemu z buntowników, zwanemu Thoregiem z Hupun. Nie wiem, czemu to zrobił.

— By doprowadzić do zamieszek, by wzbudzić w Thoregu pychę — oświadczyła Kossil. — I osiągnął swój cel. Następcy Thorega zbuntowali się znowu, gdy władał ród Tarb. Jeszcze raz chwycili za broń przeciw pierwszemu Bogu-Królowi, gdyż nie chcieli uznać go ani za boga, ani za króla. Byli przeklętym, zaklętym rodem. Żaden z nich już nie żyje.

Thar kiwnęła głową.

— Ojciec naszego obecnego Boga-Króla, Władca-Co-Powstał, zmiażdżył rodzinę Hupun i zburzył ich pałace. Gdy tego dokonał, zaginęła połówka amuletu, którą przechowywali od dni Erreth-Akbego i Intathina. Nikt nie wie, co się z nią stało. A działo się to w młodości minionego pokolenia.

— Na pewno wyrzucono ją jak śmieć — oświadczyła Kossil. — Mówią, że ten Pierścień Erreth-Akbego robił wrażenie całkiem bezwartościowego. Niech będzie przeklęty on i wszystkie *rzeczy* tego ludu magików! — Kossil splunęła w ogień.

— Oglądałaś kiedyś tę połowę, co leży tutaj? — Arha zwróciła się do Thar.

Kobieta pokręciła głową.

— Jest w Skarbcu, gdzie nie może wejść nikt prócz Jedynej Kapłanki. Być może jest najwspanialszym skarbem tam złożonym. Nie wiem. Myślę, że tak. Od setek lat Wewnętrzne Krainy przysyłają tu złodziei i magów, by próbowali go odzyskać, a oni przechodzą obojętnie obok otwartych skrzyń pełnych złota. Szukają tylko jednego. Wiele czasu minęło od dni Erreth-Akbego i Intathina, lecz tę opowieść znają i powtarzają tutaj i na Zachodzie. Większość rzeczy starzeje się i znika w miarę jak płyną wieki. Niewiele cennych przedmiotów pozostaje cennymi i niewiele historii się pamięta.

Arha zadumała się.

— Musieli być bardzo odważni — odezwała się po chwili. — Albobardzo głupi, by wkroczyć na teren Grobowców. Czy nie znają potęgi Bezimiennych?

— Nie — odparła swym zimnym głosem Kossil. — Nie mają bogów. Czynią czary i uważają, że sami są bogami. Ale to nieprawda. Kiedy umierają, nie odradzają się znowu. Rozsypują się ich kości, a duchy rozpaczają przez krótki czas, nim nie rozwieje ich wiatr. Nie mają duszy nieśmiertelnej.

— A jak działają te ich czary? — spytała zasłuchana Arha. Nie pamiętała już, jak kiedyś zapewniała, że nawet by nie popatrzyła na statki z Wewnętrznych Krain. — Jak oni to robią? I jak to działa?

— Sztuczki, oszustwa i kuglarstwo — orzekła Kossil.

— Coś więcej — zaprotestowała Thar. — Jeśli dawne opowieści są choć w części prawdziwe. Magowie Zachodu potrafią zbudzić lub uciszyć wiatr, lub każą mu wiać gdzie zapragną. To potwierdzają wszyscy i wszyscy powtarzają te opowieści. Dlatego właśnie czarownicy są tak wspaniałymi żeglarzami. Potrafią wypełnić żagle czarodziejskim wiatrem, płynąć gdzie zechcą, uciszać sztormy. Mówi się też, że umieją stworzyć światło i ciemność, zmieniać kamienie w diamenty i ołów w złoto; że w jednej chwili mogą zbudować wielki pałac, a nawet całe miasto, przynajmniej na pozór; że mogą się zmieniać w niedźwiedzie, ryby, smoki… w co tylko zechcą.

— Nie wierzę — oświadczyła Kossil. — Są niebezpieczni, pełni subtelnych sztuczek, śliscy jak węgorze… To owszem. Ale mówią, że kiedy zabrać czarownikowi jego drewnianą laskę, traci swoją moc. Zapewne na tych laskach wyryte są straszne runy.

Thar znowu pokręciła głową.

— Istotnie mają laski, ale to tylko narzędzia mocy, którą noszą w sobie.

— A skąd się bierze ta moc? — spytała Arha. — Skąd pochodzi?

— Z kłamstwa — odparła Kossil.

— Ze stów — wyjaśniła Thar. — Tak opowiadał mi ktoś, kto widział wielkiego czarownika z Wewnętrznych Krain, Maga, jak ichnazywają. Przywieźli go jako jeńca z wyprawy na Zachód. Pokazał

im suchy kij, wyrzekł słowo i nagle kij rozkwitł. Wyrzekł inne słowo i kij zrodził czerwone jabłka. Potem wyrzekł jeszcze jedno słowo i kij, kwiaty, jabłka, wszystko zniknęło, a razem z nimi czarownik. Z jednym słowem rozpłynął się jak tęcza, jak błysk, bez śladu. Nigdy go nie znaleźli na tej wyspie. Czy to zwykłe kuglarstwo?

— Łatwo jest ogłupić głupców — stwierdziła Kossil. Thar zamilkła, by uniknąć kłótni. Arha jednak nie chciała porzucać tematu.

— Jak wygląda ten lud czarowników? — zapytała. — Czy naprawdę są cali czarni i mają białe oczy?

— Są czarni i ohydni. Nigdy żadnego nie widziałam — oświadczyła z satysfakcją Kossil. Pochyliła swe ciężkie ciało, wyciągając dłonie do ognia.

— Niech Boscy Bracia trzymają ich z dala od nas — szepnęła Thar.

— Nigdy więcej nie przyjdą — rzekła Kossil. Trzasnęły płomienie, zastukały o dach krople deszczu, a w mrocznym korytarzu Manan krzyknął przenikliwie: „Ha! Połowa dla mnie! Połowa!”

5. Światło pod wzgórzem

Kolejny rok chylił się ku zimie. Umarła Thar. Latem zapadła na jakąś chorobę: zawsze chuda, teraz przypominała szkielet; posępna, teraz przestała się odzywać. Tylko z Arhą rozmawiała czasem, gdy były same. Potem zaprzestała nawet tego i w milczeniu odeszła w ciemność. Arha tęskniła za nią bardzo. Thar była wprawdzie surowa, lecz nigdy okrutna. Uczyła Arhę dumy, nie strachu.

Teraz pozostała tylko Kossil.

Wiosną miała przybyć z Awabath nowa Najwyższa Kapłanka Świątyni Bliźniaczych Bóstw, a do tego czasu Arha i Kossil wspólnie zarządzały Miejscem. Kobieta zwracała się do dziewczyny: „Pani" i była posłuszna jej rozkazom. Lecz Arha nauczyła się, by rozkazów nie wydawać. Miała do tego prawo, ale brakowało jej siły, a potrzebowałaby wiele sił, by sprzeciwić się Kossil i jej zazdrości o wyższą godność, jej nienawiści do wszystkiego, czego nie mogła kontrolować.

Odkąd — dzięki pokornej Penthe — Arha poznała niewiarę i pogodziła się z jej istnieniem, potrafiła spokojnie i ze zrozumieniem przyglądać się Kossil. W głębi serca Kossil nie żywiła czci ani dla Bezimiennych, ani dla bogów. Niczego nie poważała prócz władzy. Tę władzę dzierżył Imperator Wysp Kargadu, był więc w jej oczach prawdziwym Bogiem-Królem i służyła mu dobrze. Lecz świątynie były dla niej jedynie czymś na pokaz, Kamienie Grobowe odłamkami skały. Grobowce Atuanu ciemnymi dziurami w ziemi — strasznymi, lecz pustymi. Gdyby mogła, zakazałaby składania hołdów przed Pustym Tronem. Gdyby się odważyła, pozbyłaby się pierwszej Kapłanki.

Nawet to Arha przyjmowała ze spokojem. Może dzięki Thar, choć ta nigdy niczego nie powiedziała wprost. W pierwszym stadium swej choroby, zanim umilkła ostatecznie, prosiła Arhę, by odwiedzała ją co kilka dni. Rozmawiały wtedy, a Thar mówiła o czynach Boga-Króla i jego poprzedników, o życiu w Awabath — o rzeczach, które Arha powinna wiedzieć jako wysoko postawiona kapłanka, lecz które rzadko były pochlebne dla Boga-Króla i jego dworu. Opowiadała też o własnym życiu i o tym, jak wyglądała i co robiła Arha przed śmiercią. Czasem wspominała też o sprawach mogących jej zagrażać lub sprawiać trudności w obecnym życiu. Ani razu nie wymieniła imienia Kossil. Arha jednak była uczennicą Thar od jedenastu lat i wystarczyło jej napomknienie czy zmiana tonu, by zrozumiała i zapamiętała.

Kiedy dobiegły końca posępne ceremonie żałoby, Arha starała się unikać Kossil. Po wykonaniu codziennych obowiązków i dopełnieniu rytuałów wracała do swej samotnej siedziby. Gdy tylko pozwalał jej czas, szła do komory za Tronem, otwierała klapę w podłodze i

schodziła w ciemność. Dniem czy nocą — na dole nie było między nimi różnicy — prowadziła systematyczne badania swej domeny. Do Podgrobia, świętego miejsca, mogły wchodzić jedynie kapłanki i ich najbardziej zaufani słudzy. Każdy inny mężczyzna czy kobieta, którzy by tu trafili, zginęliby z pewnością rażeni gniewem Bezimiennych. Lecz wśród reguł, które poznała, żadna nie zakazywała wkraczania do Labiryntu. Nie było potrzeby. Można było tam wejść jedynie przez Podgrobie; zresztą, czy muchy potrzebują prawa, które by im zakazywało wlatywać w pajęczą sieć?

W bliskie rejony Labiryntu często zabierała Manana, by poznał ważniejsze drogi. Szedł bez entuzjazmu, ale nie protestował. Arha upewniła się też, że słudzy Kossil, Duby i Uahto, wiedzą jakdotrzeć do Komnaty Łańcuchów i potrafią wyjść z Podgrobia. Nic więcej. Nigdy nie brała ich do Labiryntu. Nie chciała, by ktokolwiek poza całkowicie jej oddanym Mananem poznał te tajemne korytarze. Należały bowiem do niej i tylko do niej, na zawsze. Zaczęła dokładne badania Labiryntu. Wiele jesiennych dni spędziła chodząc po nie mających końca tunelach, a wciąż istniały regiony, do których nigdy nie dotarła. Była zmęczona śledzeniem ogromnej, bezsensownej pajęczyny dróg; nogi ją bolały i znużenie ogarniało umysł, wciąż zajęty liczeniem zakrętów i wylotów, które ominęła i które miała przed sobą. Labirynt był cudem: wytyczony w skale jak wielkie miasto, stworzony jednak, by męczyć i nużyć chodzących po nim śmiertelników. Nawet jego kapłanka musiała wyczuwać, że nie jest on niczym innym jak tylko wielką pułapką.

Tak więc, w miarę jak upływała zima, zajęła się dokładnym badaniem samej Sali, ołtarzy, komór za i pod ołtarzami, pokoi pełnych skrzyń i puzder, zawartości tych skrzyń i puzder, przejść i schowków, pełnych kurzu miejsc pod kopułą, gdzie gnieździły się setki nietoperzy, piwnic i podpiwniczeń będących przedpokojami korytarzy ciemności.

Z dłońmi i rękawami uperfumowanymi suchą słodyczą mchu, który rozsypał się w pył, nie ruszany od ośmiu stuleci, z czołem umazanym lepkim brudem pajęczyn, klęczała czasem godzinami studiując rzeźby na pięknym, nadgryzionym zębem czasu kufrze z cedrowego drewna — darze dla Bezimiennych Mocy Grobowców od jakiegoś króla sprzed wieków. Przedstawiono tam samego króla: maleńką, wyprostowaną postać z wielkim nosem, i Salę Tronu ze spłaszczoną kopułą i kolumnami przed bramą, wszystko wyryte delikatnie przez artystę od setek lat będącego tylko pyłem. Na płaskorzeźbie widziała Jedyną Kapłankę, jak wdycha oszałamiające opary z brązowych mis i przepowiada albo doradza królowi, którego nos odłamał się na tym fragmencie wieka. Twarz Kapłanki była zbyt mała, by rozróżnić rysy, lecz Arha wyobrażała sobie, że to jej własne

oblicze. Zastanawiała się, co powiedziała wtedy królowi i czy byt jej wdzięczny.

Miała w Sali Tronu swoje ulubione miejsca, jak inne dziecko mogłoby je mieć w domu zalanym słońcem. Często wracała na maty stryszek ponad jedną z komnat służących za garderoby w tylnej części Sali. Złożono tu dawne szaty i kostiumy, pozostałe z czasów, gdy wielcy królowie i książęta przybywali składać hołdy w Miejscu Grobowców Atuanu, uznając potęgę większą niż ich własna i jakiegokolwiek śmiertelnika. Czasami ich córki, księżniczki, wkładały te białe jedwabie zdobione topazami i ciemnymi ametystami, by tańczyć z Kapłanką Grobowców. Znalazła małe, malowane stoliki z kości słoniowej, gdzie przedstawiono taki taniec, a także książąt i królów czekających przed bramą, gdyż ani wtedy, ani teraz żaden mężczyzna nie mógł postawić stopy na ziemi Grobowców. Jednak dziewice, odziane w biały jedwab, mogły wejść i tańczyć z Kapłanką. Sama Kapłanka zawsze, wtedy i teraz, nosiła szorstką, czarną, ręcznie tkaną szatę. Arha lubiła jednak przychodzić tu i dotykać miękkiego, przegniłego już materiału i klejnotów odrywających się od tkaniny pod własnym niewielkim ciężarem. Z tych skrzyń unosił się zapach różny od woni mchu i kadzidła świątyń, bardziej świeży i delikatny — aromat młodości.

W skarbcach spędzała czasem całą noc, klejnot po klejnocie poznając zawartość jakiejś skrzyni, przerdzewiałą zbroję, połamany pióropusz hełmu, klamry, szpile i brosze z brązu, kutego srebra lub litego złota.

Nie przestraszone jej obecnością sowy siedziały na krokwiach, mrużąc swe żółte oczy. Światło gwiazd wślizgiwało się przez dachówki; często sypał śnieg, delikatny i zimny jak te stare jedwabie, rozpadające się w nicość pod dotknięciem ręki.

Pewnej nocy stwierdziła, że w Sali jest zbyt zimno. Poszła do klapy, podniosła, zsunęła się na stopnie i zamknęła ją nad sobą. Potem ruszyła wśród ciszy dobrze już poznaną drogą: korytarzemdo Podgrobia. Tam, naturalnie, nigdy nie paliła światła. Jeśli miała latarnię, czy to idąc do Labiryntu, czy też aby nocą nie potykać się na drodze nad ziemią, gasiła ją, zanim zbliżyła się do wielkiej groty. Nigdy jej nie oglądała, nigdy, przez wszystkie generacje swego kapłaństwa. Teraz także zdmuchnęła świecę i nie zwalniając kroku szła przez czerń, zwinna jak ryba w ciemnych wodach. Tutaj, zimą czy latem, nie istniało zimno ni gorąco; niezmiennie panował ten sam chłód i lekka wilgoć. Na górze lodowate wichry dmuchały śniegiem przez pustynię. Tu nie było wiatru, nie było pór roku. Grota trwała zamknięta, nieruchoma, bezpieczna.

Arha zmierzała do Malowanej Komnaty. Od czasu do czasu lubiła tam chodzić i przyglądać się niezwykłym ściennym malowidłom, które

blask lampy wydobywał z ciemności. Przedstawiały ludzi z wielkimi skrzydłami, poważnych i smutnych. Nikt nie mógł jej wyjaśnić, kim byli, gdyż nigdzie indziej w Miejscu nie było takich obrazów. Sądziła jednak, że to duchy przeklętych, którzy nie mogą się odrodzić. Malowana Komnata leżała w głębi Labiryntu, więc Arha musiała najpierw przejść przez wielką grotę pod Kamieniami Grobowymi. A kiedy zbliżała się do niej opadającym w dół korytarzem, dostrzegła nagle, że w mroku rozkwita delikatna szarość, jakby wspomnienie blasku, echo echa odległego światła.

Sądziła, że to złudzenie, częste w absolutnej ciemności. Zamknęła oczy i poblask zniknął. Otworzyła — i pojawił się znowu.

Zatrzymała się i stanęła nieruchomo. Szarość, nie czerń… Siad światła tam, gdzie nic nie mogło być widoczne, gdzie mogła istnieć tylko ciemność.

Postąpiła kilka kroków przed siebie i wysunęła rękę za skręt ściany tunelu. Niewyraźnie i nieskończenie delikatnie, widziała jednak kontury swej dłoni.

Szła dalej. Rzecz była tak niezwykła, że nie budziła lęku — ów wykwit światła tam, gdzie nigdy go nie było, w najgłębszym grobowcu ciemności. Szła bezgłośnie, bosa, w czarnej szacie. Zatrzymała się przed ostatnim zakrętem, potem wolno zrobiła jeszcze jeden krok… Spojrzała i zobaczyła.

Zobaczyła to, czego nie widziała nigdy, choć żyta już tysiące razy: wielką, sklepioną grotę pod Kamieniami Grobowymi, nie ludzką ręką stworzoną, lecz mocami Ziemi. Zdobiły ją klejnoty kryształów i ornamenty stalaktytów, koronki siarki tam, gdzie całe epoki temu działała woda. Była olbrzymia. Strop i ściany migotały, skrzyły się delikatnymi, zawiłymi wzorami; pałac diamentów, dom ametystów i kryształu, z którego gloria blasku przegnała pradawną ciemność.

Światło, które zdziałało ten cud, nie było zbyt jasne, oślepiało jednak przyzwyczajone do mroku źrenice. Było delikatnym lśnieniem, błędnym ognikiem płynącym wolno przez grotę, budzącym tysięczne rozbłyski w klejnotach sklepienia, poruszającym na ścianach tysiące fantastycznych cieni.

Światło płonęło na czubku drewnianej laski — bez dymu, nie spalając drewna. Laska tkwiła w ludzkiej dłoni. Arha dostrzegła twarz tego człowieka… ciemną twarz… twarz mężczyzny.

Nie poruszyła się.

Człowiek bardzo długo spacerował tam i z powrotem, jak gdyby czegoś szukał. Zaglądał za koronkowe katarakty kamieni, przyglądał się wylotom kilku korytarzy. Nie wchodził w nie jednak. A Kapłanka Grobowców nadal stała bez ruchu w ciemnym kącie tunelu. Czekała.

Najtrudniej było uświadomić sobie, że patrzy na obcego. Bardzo rzadko widywała obcych. Zdawało jej się, że to jeden z dozorców…

nie, któryś z mężczyzn zza muru, pastuch czy strażnik, niewolnik Miejsca. I że przyszedł odkryć tajemnice Bezimiennych, może okraść Grobowce…

Ukraść coś. Obrabować Moce Ciemności. Świętokradztwo — słowo to z wolna pojawiło się w myślach Arhy. Byt mężczyzną, a żaden mężczyzna nie mógł dotykać ziemi Świętego Miejsca. A jednak ten wszedł tutaj, do groty będącej sercem Grobowców. Wkroczył do wnętrza. Zapalił światło tam, gdzie było zakazane, gdzie nie istniało od początku świata. Dlaczego Bezimienni go nie porazili?

Stał teraz i patrzył na nierówne, kamieniste podłoże. Widać było wyraźnie, że kopano tutaj, a dół zasypano na powrót. Nie udeptano wszystkich grud ziemi, wydobytych na wierzch przy kopaniu grobów.

Władcy pożarli tamtych trzech. Dlaczego nie pożerają tego? Na co czekają?

Na ręce, by działały… Na język, by przemówił…

— Idź! Odejdź! Przepadnij! — krzyknęła nagle jak mogła najgłośniej.

Echa zahuczały przenikliwie i zdawało się jej, że drżenie zamazuje rysy tej smagłej twarzy, zwróconej z zaskoczeniem w jej stronę. Przez jedną chwilę intruz spoglądał poprzez poruszoną dźwiękiem wspaniałość groty… i zobaczył ją. Wtedy zgasło światło. Znik-nęło oszałamiające piękno. Pozostała jedynie ciemność. I cisza.

Znów potrafiła myśleć. Złamała czar blasku.

Musiał tu wejść przez drzwi w czerwonej skale, Bramę Więźniów, i pewnie tamtędy spróbuje uciekać. Szybka i cicha, jak miękkoskrzydła sowa przebiegła połowę obwodu groty do tunelu, prowadzącego do tamtych wrót, otwierających się tylko z zewnątrz. Nie czuła żadnego powiewu, więc nie zostawił bramy otwartej. Zamknęła się za nim i teraz, jeśli tylko wszedł do tunelu, znalazł się w pułapce.

Ale nie wszedł. Była tego pewna. Tak blisko, w tak ciasnym korytarzu, słyszałaby jego oddech, czuła ciepło, puls jego życia. Nie było nikogo. Stała wyprostowana i nasłuchiwała. Gdzie poszedł?

Ciemność napierała na oczy jak bandaż. Widok Podgrobia wytrącił ją z równowagi; nie potrafiła skupić myśli. Znała tę grotę wyłącznie jako obszar określany słuchem, dotykiem palców, powiewem chłodnego powietrza w mroku; jako przestrzeń, tajemnicę nie przeznaczoną do oglądania. Zobaczyła ją i sekret ustąpił miejsca nie grozie, ale pięknu, tajemnicy głębszej jeszcze niż ciemność.

Wolno, niepewnie ruszyła przed siebie. Dotykając ściany poszła w lewo, do drugiego korytarza, który prowadził do Labiryntu. Tu zatrzymała się nasłuchując.

Uszy mówiły jej niewiele więcej niż oczy. Lecz kiedy tak stała, dotykając rękoma obu ścian kamiennego łuku, wyczuła słabą,

delikatną wibrację skaty, a w chłodnym, zastałym powietrzu ślad zapachu, który nie należał do tego miejsca: woń dzikiej szałwii, rosnącej na pagórkach pustyni, nad głową, pod otwartym niebem.

Powoli i w ciszy przesuwała się wzdłuż tunelu, podążając za węchem.

Przeszła może sto kroków, gdy go usłyszała. Był niemal równie cichy jak ona, lecz nie poruszał się w ciemności tak pewnie. Dobiegło do niej ledwie słyszalne szurnięcie, jak gdyby potknął się na nierównej powierzchni i natychmiast odzyskał równowagę. Nic więcej. Odczekała chwilę, nim ruszyła dalej, powoli, muskając ścianę palcami prawej dłoni. W końcu wyczuła pod nimi okrągły metalowy pręt. Zatrzymała się, przesunęła rękę do góry i wysoko, prawie na granicy możliwości, dotknęła wystającej żelaznej dźwigni. Wtedy chwyciła ją i pociągnęła z całej siły.

Rozległ się przeraźliwy zgrzyt i huk, strzelił deszcz błękitnych iskier. Za jej plecami w korytarzu powoli i opornie cichły echa. Wyciągnęła ręce i o kilka cali przed twarzą natrafiła na powgniataną powierzchnię żelaznych wrót.

Odetchnęła wolno.

Potem wróciła tunelem do Podgrobia i idąc tak, by ściana znajdowała się po jej prawej ręce, dotarła do klapy w Sali Tronu. Nie spieszyła się i zachowywała ciszę, choć nie było to już potrzebne. Schwytała swego złodzieja. Wrota, przez które przeszedł, były jedynym wejściem i wyjściem z Labiryntu. I dawały się otworzyć tylko z zewnątrz.

Został teraz uwięziony w ciemności podziemi, by nigdy już nie wrócić na powierzchnię.

Powoli i statecznie przeszła obok Tronu do długiej, ozdobionej kolumnami sali. W miejscu, gdzie na brązowym trójnogu stała pojedyncza waza wypełniona po brzegi czerwonym żarem węgla drzewnego, zawróciła i zbliżyła się do siedmiu prowadzących do Tronu stopni.

Przyklęknęła na najniższym z nich i pochyliła czoło dotykając zimnego, zakurzonego głazu, zasypanego kośćmi myszy, zrzucanych tu przez żerujące sowy.

— Wybaczcie mi, że widziałam zmącony spokój Waszego mroku — szepnęła, nie wypowiadając tych słów na głos. — Wybaczcie, że widziałam Wasze groby pogwałcone. Będziecie pomszczeni. Władcy moi, śmierć wyda go w Wasze ręce, by nigdy się nie odrodził.

Lecz nawet w chwili modlitwy widziała oczyma duszy migotliwy blask rozjaśnionej groty, życie w miejscu należnym tylko śmierci. I zamiast odczuwać lęk przed świętokradztwem i wściekłość na złodzieja, myślała tylko, jak niezwykłe było to wszystko, jakie

dziwne…

— Co powinnam powiedzieć Kossil? — pytała samą siebie, gdy wyszła już z Sali i otuliła się płaszczem, a zimowy wicher uderzył w nią z całą siłą. — Nic. Jeszcze nie. To ja jestem panią Labiryntu. Bóg-Król nie ma tu nic do powiedzenia. Powiem jej może, gdy złodziej będzie już martwy. Jak mam go zabić? Powinnam sprowadzić Kossil, by patrzyła, jak umiera. Ona lubi śmierć. Czego mógł tu szukać? Na pewno jest szalony. Jak się tam dostał? Tylko Kossil i ja mamy klucze do wrót w czerwonej skale i do klapy. Musiał przejść przez czerwoną skałę. Tylko czarownik mógłby otworzyć te drzwi. Czarownik…

Stanęła nagle, choć wiatr niemal ją przewrócił.

— On jest czarownikiem, magiem z Wewnętrznych Krain! Szuka amuletu Erreth-Akbe!

Ta myśl była równocześnie odrażająca i wspaniała, aż Arha poczuła, że wśród lodowatego wichru ogarniają ciepło. Zaśmiała się głośno. Miejsce i otaczającą je pustynię okrywała czerń i cisza, zakłócana tylko wyciem wichury. Żadne światło nie świeciło w Wielkim Domu. Dookoła fruwały niesione wichrem drobne, niewidoczne płatki śniegu.

— Jeśli czarami otworzył wrota w czerwonej skale, to może otworzyć inne. Może uciec.

Ta myśl wzbudziła w niej nagły dreszcz, lecz na chwilę tylko. Nie wierzyła w tę możliwość. Bezimienni pozwolili mu wejść. Dlaczego nie? Nie mógł wyrządzić szkody. Jak może zaszkodzić złodziej, który nie zdoła opuścić miejsca kradzieży? Na pewno wspomagają go zaklęcia i złe moce, bez wątpienia potężne, skoro dotarł tak daleko; ale dalej już mu się nie uda. Żaden czar rzucony przez śmiertelnika nie może być silniejszy od woli Bezimiennych, obecnych w Grobowcach… Woli Królów, których Tron stoi pusty.

Przyspieszyła kroku, by się o tym upewnić. Tuż za drzwiami Małego Domu spał Manan, owinięty w płaszcz i wyleniało futro będące jego zimowym łożem. Weszła cicho, by go nie obudzić. Nie zapalała lampy. Otworzyła zamknięte na zamek drzwi do małego pokoiku, zwykłej komórki na końcu korytarza. Tam skrzesała iskrę uderzając o krzemień tak, by znaleźć pewien punkt na podłodze. Potem uklękła i podważyła jeden kafelek. Pod nim leżał skrawek grubego, brudnego materiału. Odsunęła go na bok. I cofnęła się zaskoczona, gdyż z dołu wystrzelił jej prosto w twarz promień światła.

Po chwili bardzo ostrożnie zajrzała do otworu. Zapomniała, że na końcu swej laski złodziej niósł magiczne światło. Sądziła, że w najlepszym razie usłyszy go tylko w ciemności. Zapomniała o świetle. Ale złodziej był tam, gdzie się go spodziewała: dokładnie pod wizjerem, przy żelaznych wrotach blokujących mu drogę ucieczki z Labiryntu.

Stat tam z ręką wspartą na biodrze. W drugiej trzymał wysoką jak on sam laskę, do czubka której przylgnął delikatny błędny ognik. Głowę, którą oglądała z wysokości sześciu stóp, pochylił lekko w bok. Ubrany był jak każdy wędrujący lub pielgrzymujący podczas zimy: krótki, ciężki płaszcz, skórzana tunika, wełniane spodnie i sznurowane sandały. Na plecach niósł lekki pakunek z przyczepioną manierką, za pasem nóż. Stał nieruchomy jak posąg, rozluźniony i zamyślony.

Po chwili oderwał laskę od ziemi i wysunął jej płonący koniec przed siebie, w stronę wrót, których przez wąski otwór Arha nie mogła zobaczyć. Lśnienie zmieniło się, stało bardziej skoncentrowane i jaskrawe, wreszcie rozbłysło intensywnym blaskiem. Złodziej przemówił. Arha nie znała języka, którego użył, lecz bardziej od słów zdziwił ją głos: głęboki i dźwięczny.

Światło laski pojaśniało, zamigotało, przygasło. Na chwilę zapadła ciemność.

Potem bladofioletowy błędny ognik zapłonął znowu i zobaczyła, jak złodziej odwraca się od drzwi. Jego czar otwierania zawiódł. Moc, która tkwiła w zamku tych wrót, była silniejsza od jego magii.

Rozejrzał się wokół siebie jakby myśląc: co teraz?

Tunel czy korytarz, w którym się znalazł, miał jakieś pięć stóp szerokości. Sklepienie wznosiło się od dwunastu do piętnastu stóp powyżej nierównego skalnego podłoża. Ściany zbudowano z kamieni nie spojonych zaprawą, lecz tak ściśle dopasowanych, że z trudem dało się wcisnąć między nie czubek noża. Te ściany pochylały się ku sobie, tworząc łuk.

Nie było tu nic więcej.

Ruszył przed siebie. Jeden krok wystarczył, by Arha straciła go z oczu. Światło zgasło. Już miała umieścić na miejscu skrawek tkaniny i kafelek, gdy raz jeszcze z otworu błysnął świetlny promień. Złodziej wracał do wrót. Pewnie zdał sobie sprawę, że gdy je opuści i wkroczy w labirynt korytarzy, nie zdoła ich już odnaleźć.

Cichym głosem wymówił tylko jedno słowo.

— *Emmen* — powiedział, a potem jeszcze raz, głośniej. — *Emmen!*

Żelazne wrota zadygotały na zawiasach, a niskie echo dudniło w tunelu jak grom. Arha miała wrażenie, że zadrżała podłoga.

Ale drzwi pozostały zamknięte.

Wtedy roześmiał się krótko, jak człowiek, który myśli: „Ależ durnia z siebie zrobiłem!” Raz jeszcze przyjrzał się ścianom, a kiedy podniósł głowę, Arha dostrzegła uśmiech na jego smagłej twarzy. Potem usiadł, zdjął worek z pleców, wyjął kawałek suchego chleba i zaczął jeść. Odkorkował skórzaną manierkę, potrząsnął nią. Wydawała się lekka, jakby prawie pusta. Zatkał ją, nie pijąc. Wsadził worek pod głowę jak poduszkę, otulił się płaszczem i położył. Wciąż trzymał laskę w prawej dłoni. Kiedy leżał, mały ognik czy kulka światła spłynęła z

laski i zawisła za jego głową, parę stóp nad ziemią. Lewą dłoń położył na piersi, zaciskając w palcach coś, co zwisało mu z szyi na grubym łańcuchu. Leżał tam całkiem wygodnie, z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Przewędrował spojrzeniem po stropie, koło otworu. Westchnął i zamknął oczy. Światełko przygasało powoli. Zasnął.

Zaciśnięte palce lewej dłoni rozprostowały się i ręka zsunęła z piersi na ziemię. Wtedy Arha zobaczyła, jaki amulet nosi na łańcuchu: kawałek metalu w kształcie półksiężyca. Tak jej się wydawało.

Delikatny blask jego magii zniknął. Obcy leżał w ciszy i mroku.

Arha umieściła na miejscu materiał i kafelek, po czym cichutko prześliznęła się do swojego pokoju. Długo nie mogła zasnąć w ciemności pełnej wycia wichury. Wciąż widziała przed sobą kryształową jasność błyszczącą w domu śmierci, delikatny chłodny płomyk, kamienne ściany tunelu i spokojną twarz śpiącego mężczyzny.

6. Pułapka

Następnego dnia, gdy tylko wykonała swoje obowiązki w różnych świątyniach i skończyła lekcję świętych tańców dla nowicjuszek, przemknęła do Małego Domu i zaciemniwszy pokój odsłoniła otwór w podłodze. Zajrzała. Na dole nie było światła. Złodziej odszedł. Nie wierzyła, by został tak długo pod opornymi drzwiami, ale było to jedyne miejsce, w którym mogła go szukać. Jak go teraz znajdzie, gdy zniknął?

Tunele Labiryntu, według szacunków Thar i jej własnych doświadczeń, ciągnęły się ponad dwadzieścia mil: pełne zakrętów, rozgałęzień, spiral i ślepych zaułków. Długi, ślepy korytarz, leżący najdalej od Grobowców, oddalony był od nich może o milę w linii prostej. Ale pod ziemią nic nie biegło prosto. Wszystkie tunele dzieliły się, łączyły, rozwidlały, krzyżowały, zataczały kręgi, przebiegały po skomplikowanych krzywych, by wrócić do punktu, gdzie się zaczęły. Można było iść, iść i iść, nigdzie nie dochodząc, ponieważ nie było gdzie dojść. Nie istniało centrum, serce Labiryntu.

A po zamknięciu wrót nie istniał też koniec. Żaden kierunek nie był prawidłowy.

Arha pamiętała dobrze wszystkie drogi i trasy do różnych komnat, ale nawet ona zabierała na swe wyprawy kłębek cienkiej włóczki. Rozwijała go za sobą i zwijała wracając. Wystarczyło bowiem, by przeoczyła choć jeden zakręt, który miała policzyć, a ona także mogłaby zgubić drogę. Światło nie pomagało, ponieważ nie było żadnych znaków orientacyjnych. Wszystkie korytarze, przejścia i wyloty były do siebie podobne.

Złodziej mógł wędrować całe mile, a mimo to nie oddalić się więcej niż czterdzieści stóp od wrót, przez które tu wszedł.

Pobiegła do Sali Tronu, do świątyni Bliźniaczych Bóstw i do kuchennej piwnicy. Gdy tylko zostawała sama, zaglądała przez wizjery w chłodną, gęstą ciemność. Kiedy nadeszła lodowata, lśniąca gwiazdami noc, odwiedzała pewne miejsca na wzgórzu, podnosiła niektóre kamienie, zmiatała ziemię i zaglądała znowu w bezgwiezdną ciemność podziemi.

Był tam. Musiał być. A jednak jej uciekł. Umrze z pragnienia, zanim go odnajdzie. Gdy tylko zyska pewność, że nie żyje, będzie musiała posłać do Labiryntu Manana, by go odszukał. Nie mogła znieść tej myśli. Klęczała w świetle gwiazd na twardym zboczu wzgórza i czuła pod powiekami łzy bezsilnej złości.

Wróciła do ścieżki biegnącej w dół zbocza do Świątyni Boga-Króla. W blasku gwiazd rzeźbione kolumny lśniły bielą szronu niczym filary z kości. Zastukała do tylnych drzwi i Kossil wpuściła ją do

środka.

— Co sprowadza moją panią? — spytała zimno i nieufnie.

— Kapłanko, w Labiryncie jest mężczyzna.

Te słowa zaskoczyły Kossil zupełnie. Choć raz zdarzyło się coś, czego nie oczekiwała. Stała bez ruchu, wytrzeszczając oczy. Arha pomyślała, że wygląda całkiem jak Penthe udająca Kossil i poczuła, że wzbiera w niej histeryczny śmiech. Stłumiła go z wysiłkiem.

— Mężczyzna? W Labiryncie?

— Mężczyzna. Obcy. — A kiedy Kossil nadal wpatrywała się w nią z niedowierzaniem, dodała: — Potrafię rozpoznać mężczyznę, choć nie widziałam ich wielu.

Kossil nie zwróciła uwagi na ironię.

— Jak on się tam dostał?

— Sądzę, że z pomocą czarów. Ma ciemną skórę. Może pochodzić z Wewnętrznych Krain. Przybył, by okraść Grobowce. Spotkałam go w Podgrobiu, pod samymi Kamieniami. Kiedy mnie zauważył, uciekł do Labiryntu… Zupełnie jakby znał drogę. Zamknęłam za nim żelazne wrota. Rzucał zaklęcia, ale nie zdołał ich otworzyć. Rankiem wszedł w głąb Labiryntu. Nie mogę go znaleźć.

— Czy miał światło?

— Tak.

— Wodę?

— Małą manierkę, niepełną.

— Świeca na pewno już mu się wypaliła — zastanawiała się Kossil. — Jeszcze cztery, pięć dni. Może sześć. Potem możesz posłać moje sługi. Wyciągną ciało. Trzeba wylać jego krew przed Tronem, a jego…

— Nie. — Arha przerwała jej z nieoczekiwaną stanowczością. — Chcę go odszukać żywego.

Kapłanka spojrzała na nią z wysokości swego wzrostu.

— Dlaczego?

— Zęby… żeby umierał dłużej. Popełnił świętokradztwo wobec Bezimiennych. Światłem skalał Podgrobie. Przybył, by skraść Grobowcom ich skarby. Samotna śmierć w tunelu to zbyt mało.

— Tak… — Kossil zastanowiła się. — Ale jak go schwytasz, pani? To ryzykowne. A w moim planie nie ma ryzyka. Czy nie trafiłaś w Labiryncie na komnatę pełną kości… kości ludzi, którzy tam weszli i nigdy już nie wyszli? Niech Bóstwa Ciemności ukarzą go po swojemu, na swój sposób. Śmierć z pragnienia jest okrutna.

— Wiem — odparła dziewczyna. Odwróciła się i wyszła w noc, naciągając na głowę kaptur dla ochrony przed świszczącym, lodowatym wiatrem. Czyż nie wiedziała?

Przychodząc do Kossil postąpiła głupio i po dziecinnemu. Nie

mogła liczyć na jej pomoc. Kossil sama nic nie wiedziała, znała tylko zimne wyczekiwanie i w końcu śmierć. Nie rozumiała. Nie pojmowała, dlaczego trzeba koniecznie odszukać tego mężczyznę. On nie może skończyć jak tamci. Arha po raz drugi już tego nie wytrzyma. Skoro on musi zginąć, niech jego śmierć będzie szybka, w świetle dnia. Tak, to właściwe, by ten złodziej zginął od miecza. Jako pierwszy od wieków miał dość odwagi, by podjąć próbę obrabowania Grobowców. Przecież nie ma nawet duszy nieśmiertelnej i już się nie odrodzi. Jego duch będzie przez wieki jęczał w korytarzach. Nie można pozwolić, by umarł z pragnienia, samotny, w mroku.

Tej nocy Arha prawie nie spała. Następnego dnia czekało ją wiele obowiązków, wiele ceremonii, w których musiała uczestniczyć. Noc spędziła wędrując od jednego otworu do drugiego we wszystkich ciemnych budowlach Miejsca i na smaganym wiatrem wzgórzu. Wróciła do Małego Domu i położyła się dwie, może trzy godziny przed świtem. Długo nie mogła zasnąć. Późnym popołudniem trzeciego dnia wyszła na pustynię i skierowała się ku niemal wyschniętej zimą rzece. W trzcinach trzeszczał lód. Przypomniała sobie, że kiedyś, jesienią, dotarła do bardzo dalekich tuneli, za Poszóstne Skrzyżowanie, i wzdłuż całej drogi długim, wygiętym w łuk korytarzem słyszała za ścianą płynącą wodę. Gdyby trafił tam człowiek cierpiący z pragnienia, czy nie pozostałby w tym miejscu? Tam także były wizjery, musiała tylko je odszukać. W zeszłym roku Thar pokazała jej wszystkie, więc nie miała większych problemów. Pamiętała ich położenie jak ślepiec: wyczuwała raczej drogę do kolejnych ukrytych otworów, niż rozglądała się za nimi. W drugim z kolei, gdy naciągnęła kaptur, by zasłonić światło, i przysunęła oko do dziury wywierconej w płaskim kamieniu, dostrzegła słabe migotanie magicznego ognika.

Złodziej tam był, częściowo tylko widoczny. Wizjer ukazywał sam koniec ślepego tunelu. Widziała plecy obcego, zgięty kark i prawe ramię. Siedział w rogu i dłubał między kamieniami swym nożem, krótkim stalowym sztyletem z wysadzaną klejnotami rękojeścią. Ostrze pękło, odłamany koniec leżał wprost pod wizjerem. Skruszył je, gdy próbował podważyć kamienie ścian tunelu, by dostać się do wody, której plusk słyszał cicho, lecz wyraźnie w martwej ciszy podziemia, po drugiej stronie niedostępnego muru.

Poruszał się apatycznie. Po trzech nocach i dniach był całkiem inny niż tamten człowiek, który stał spokojnie u żelaznych wrót i śmiał się z własnej porażki. Jego upór nie zniknął, lecz utracił moc. Nie umiał rzucić zaklęcia, by rozsunęło te kamienie. Musiał używać złamanego noża. Nawet magiczny płomyk był słaby i przyćmiony. Zamigotał nagle, a mężczyzna drgnął i upuścił sztylet. Po chwili jednak zmęczonym ruchem podniósł go i dalej próbował wcisnąć między głazy pęknięte ostrze.

Leżąc między skutymi lodem trzcinami na brzegu, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, gdzie jest i co robi, Arha przycisnęła usta do zimnej skały i osłoniła je dłońmi.

— Magu! — zawołała. Jej głos spłynął przez kamienny lejek i chłodnym szeptem odbił się w podziemnym tunelu.

Mężczyzna drgnął i zerwał się na nogi, opuszczając przy tym jej pole widzenia, bo nie zobaczyła go, kiedy spojrzała znowu. Raz jeszcze przysunęła wargi do otworu.

— Wróć tunelem wzdłuż rzeki do drugiego zakrętu — powiedziała. — Najpierw skręć w lewo. Omiń dwa z prawej, wejdź w trzeci. Omiń jeden z prawej, wejdź w drugi. Potem w lewo; potem w prawo. Dojdziesz do Malowanej Komnaty. Zostań tam.

Odsuwając się musiała wpuścić do tunelu promień światła, gdyż zobaczyła złodzieja pod sobą. Podniósł głowę i patrzył prosto w otwór. Wyraźnie widziała jego twarz, poznaczoną bliznami, podnieconą i pełną napięcia. Wargi miał czarne i spękane, oczy błyszczały jasno. Cofnęła się przestraszona, przykryła wizjer kamieniem i zasypała ziemią. Szybkim krokiem wróciła do Miejsca. Ręce jej drżał}', czuła zawroty głowy. Nie wiedziała, co powinna zrobić.

Jeśli posłucha wskazówek, jakich mu udzieliła, ruszy w stronę żelaznych wrót i dojdzie do komory z obrazami. Nic tam nie znajdzie, nie było powodu, by go tam kierować. W sklepieniu Malowanej Komnaty był wizjer, wygodny, w skarbcu Świątyni Bliźniaczych Bóstw; może właśnie dlatego przyszła jej do głowy ta grota. Nie wiedziała. Dlaczego w ogóle się do niego odezwała?

Może spuścić przez któryś wizjer trochę wody, a potem go tam przywołać. To pozwoli mu przeżyć trochę dłużej. Tak długo, jak będzie miała ochotę — gdyby od czasu do czasu podrzucała mu wodę i trochę jedzenia, mówiąc przy tym, gdzie może je znaleźć. Czasem informowałaby go fałszywie, by chodził na próżno. Zawsze jednak musiałby iść. To by go nauczyło, że nie wolno kpić z Bezimiennych, pysznić się swoją głupią męskością w miejscach spoczynku Nieśmiertelnych Martwych!

Tyle że póki on tam jest, sama nie będzie mogła wejść do Labiryntu. Dlaczego nie? — zapytała samą siebie i odpowiedziała: Ponieważ mógłby uciec przez żelazne wrota, które musiałabym zostawiać za sobą otwarte… Jednak mógłby uciec najwyżej do Podgrobia. Rzecz w tym, że bała się stanąć z nim twarzą w twarz. Lękała się jego mocy, sztuki, której użył, by wejść w podziemia, magii płonącej na końcu laski. Czy jednak było się czego obawiać? Władające ciemnością Potęgi stały po jej stronie. W dziedzinie Bezimiennych on wyraźnie nie potrafił zbyt wiele. Nie otworzył żelaznych wrót; nie sprowadził magicznego pożywienia ani nie ściągnął przez ścianę wody; nie przywołał też żadnego straszliwego

demona, który zburzyłby mury, choć bała się, że jest do tego zdolny. Po trzech dniach błądzenia nie znalazł nawet drogi do Wielkiego Skarbca, a przecież z pewnością jej szukał. Sama Arha nigdy jeszcze nie skorzystała ze wskazówek Thar, opisujących drogę do tej komnaty. Wciąż odkładała wyprawę, powodowana lękiem, niewyjaśnionym oporem, świadomością, że czas jeszcze nie nadszedł.

Właściwie, pomyślała, czemu nie pozwolić, by pokonał tę drogę zamiast niej? Niech do woli ogląda skarby Grobowców. Dużo mu z tego przyjdzie! A ona będzie kpić z niego, doradzać, by jadł złoto i pił diamenty. Z nerwowym, gorączkowym pośpiechem, który dręczył ją od trzech dni, pobiegła do świątyni Bliźniaczych Bóstw. Otworzyła drzwi do niewielkiego skarbca i odsłoniła dobrze ukryty otwór w podłodze.

Malowana Komnata leżała pod nią w absolutnej ciemności. Mężczyzna szedł okrężną drogą, dłuższą może o całe mile… Zapomniała o tym. W dodatku był osłabiony i posuwał się wolno. Może źle zapamiętał jej wskazówki i skręcił w złą stronę. A może nawet nie znał jej języka. Jeśli tak, to niech błądzi, dopóki nie padnie, ten dureń, cudzoziemiec, niedowiarek. Niech jego duch jęczy na kamiennych drogach Grobowców Atuanu, póki ciemność nie pożre i jego…

Następnego ranka, bardzo wcześnie, po krótkim śnie pełnym koszmarów, Arha wróciła do wizjera w niewielkiej świątyni. Spojrzała w dół i nie zobaczyła niczego. Tylko czerń. Na łańcuchu opuściła świecę w małej blaszanej latarence. Złodziej był tam, w Malowanej Komnacie. W blasku świecy zobaczyła jego nogi i zwisającą bezwładnie rękę. Zawołała do otworu, tutaj dużego, wielkości kafelka mozaiki:

— Magu!

Nie ruszał się. Czyżby nie żył? Czy tylko tyle było w nim mocy? Prychnęła pogardliwie, lecz serce biło jej mocno.

— Magu! — krzyknęła, a jej głos dudnił w pustej, podziemnej komorze. Drgnął, usiadł powoli i w oszołomieniu rozejrzał się dookoła. Po chwili podniósł głowę, mrugając w świetle zwisającej ze stropu maleńkiej latarni. Jego twarz wyglądała okropnie, napuchnięta i ciemna jak twarz mumii.

Dotknął dłonią leżącej przy nim laski, lecz drewno nie rozkwitło płomieniem. Moc obcego była wyczerpana.

— Chcesz zobaczyć skarby Grobowców Atuanu, magu? Spojrzał w górę, mrużąc oczy przed blaskiem świecy. Tylko tę świecę widział. Po chwili, z grymasem, który mógł być uśmiechem, kiwnął głową.

— Wyjdź z tej komnaty i idź w lewo. Wejdź w pierwszy korytarz po lewej… — Bez zatrzymania wyrecytowała długą serię instrukcji. Na końcu dodała: — Tam odnajdziesz skarb, po który tu przybyłeś. I

tam, być może, znajdziesz wodę. Co byś wybrał, magu?

Wstał, opierając się na lasce. Spojrzał w górę i choć nie mógł jej zobaczyć, wyraźnie próbował coś powiedzieć. Jednak wyschnięta krtań nie potrafiła wydać głosu. Wzruszył więc ramionami i wyszedł z Malowanej Komnaty.

Postanowiła nie dawać mu wody. Zresztą i tak nigdy nie znajdzie drogi do skarbca. Ciąg instrukcji byt zbyt długi, by zdołał go zapamiętać. Była też Otchłań, gdyby dotarł tak daleko. Nie miał już światła. Na pewno zgubi drogę, a w końcu przewróci się i umrze gdzieś w wąskich, pustych, suchych korytarzach. I to będzie koniec. Arha z całej siły chwyciła oburącz pokrywę wizjera, a jej skulone ciało kołysało się tam i z powrotem, tam i z powrotem. Zagryzała wargi, jak gdyby walczyła z potwornym bólem. Nie da mu wody. Nie da mu wody. Da mu tylko śmierć, śmierć, śmierć, śmierć, śmierć.

W tej mrocznej godzinie przyszła do niej Kossil. Ciężko wkroczyła do małego skarbczyka: tęga w czarnej, zimowej szacie.

— Czy mężczyzna już umarł?

Arha podniosła głowę. W jej oczach nie było łez, nie. miała czego ukrywać.

— Chyba tak — odparła wstając. Otrzepała spódnicę.

— Może udawać. Ci bezduszni bywają sprytni.

— Poczekam jeszcze dzień, dla pewności.

— Tak, albo nawet dwa dni. Potem Duby może zejść na dół i go wyciągnąć. Jest silniejszy niż stary Manan.

— Ale Manan jest w służbie Bezimiennych, a Duby nie. Są w Labiryncie miejsca, gdzie Duby nie powinien chodzić. Złodziej znajduje się w jednym z nich.

— Skoro już zostało skalane…

— Jego śmierć je oczyści — oznajmiła Arha. Mina Kossil świadczyła wyraźnie, że jej własna twarz zdradza coś niezwykłego. — To moja dziedzina, kapłanko. Muszę jej pilnować tak, jak nakazują mi moi Władcy. Nie musisz już uczyć mnie śmierci.

Twarz Kossil wsunęła się w kaptur niby pustynny żółw do skorupy: powolny, zimny i wrogi.

— Jak chcesz, pani.

Rozstały się przed ołtarzem Boskich Braci. Już bez pośpiechu Arha odeszła do Małego Domu. Przywołała Manana, by jej towarzyszył. Od rozmowy z Kossil wiedziała, co musi uczynić.

Wraz z Mananem weszli na wzgórze, do Sali, i dalej w dół, do Podgrobia. Razem napierając na długą dźwignię otworzyli żelazne wrota Labiryntu. Zapalili latarnię i wkroczyli do jego wnętrza. Arha poprowadziła eunucha do Malowanej Komnaty i stąd ruszyła w stronę Wielkiego Skarbca.

Złodziej nie dotarł daleko. Nie przeszli nawet pięciuset kroków,

gdy na niego trafili. Leżał w wąskim tunelu jak stos bezładnie rzuconych szmat. Zanim upadł, zgubił swoją laskę — leżała w pewnej odległości od niego. Wargi miał pokrwawione, oczy przymknięte.

— Żyje… — Manan przyklęknął przy obcym. Swą wielką, żółtą dłoń przyłożył mu do szyi, szukając pulsu. — Mam go udusić, panienko?

— Nie. Potrzebny mi jest żywy. Podnieś go i chodź za mną.

— Żywy? — zdumiał się Manan. — Po co, panienko?

— By został niewolnikiem Grobowców! Nie gadaj, tylko rób, co ci każę.

Twarz Manana stała się jeszcze bardziej melancholijna niż zwykle. Posłuchał jednak, bez wysiłku podciągnął młodego człowieka i niczym długi pakunek zarzucił sobie na ramię. Tak obciążony, niepewnym krokiem ruszył za Arha. W drodze powrotnej zatrzymywali się z dziesięć razy, by eunuch chwilę odpoczął. Korytarz zawsze wyglądał tak samo: szarożółte, dopasowane do siebie kamienie ścian połączonych w górze łukowym sklepieniem, nierówne podłoże, stęchłe powietrze; Manan stękał i oddychał z trudem, obcy leżał nieruchomo, dwie latarnie rzucały krąg mętnego światła, niknącego w mroku po obu stronach. Na każdym postoju Arha wlewała w usta mężczyzny kilka kropli wody z manierki, którą wzięła ze sobą — po trochu, by nie zabiło go gwałtownie powracające życie.

— Do Komnaty Łańcuchów? — spytał Manan, gdy szli korytarzem prowadzącym do żelaznych wrót.

Wtedy po raz pierwszy Arha zastanowiła się, gdzie powinna umieścić jeńca. Nie miała pomysłu.

— Nie, tam nie — odparła, czując mdłości na samo wspomnienie dymu, smrodu, splątanych włosów, milczących ust i niewidzących oczu. Poza tym do Komnaty Łańcuchów mogła trafić Kossil. — On… On musi zostać w Labiryncie, by nie odzyskał swej magicznej mocy. Gdzie jest takie pomieszczenie…

— W Malowanej Komnacie są drzwi, zamek i wizjer, panienko. O ile drzwi go powstrzymają.

— W Labiryncie nie ma żadnej mocy. Zabierz go tam. Manan ruszył z powrotem, zbyt zmęczony i zdyszany, by protestować. Gdy wreszcie dotarli do Malowanej Komnaty, Arha rzuciła na ziemię swój długi, ciężki, wełniany zimowy płaszcz.

— Połóż go na tym — poleciła.

Manan patrzył na nią z konsternacją. Pociągnął nosem.

— Panienko…

— Chcę, żeby ten człowiek żył, Manan. Umrze z zimna. Spójrz, jak się trzęsie.

— Ale twój strój zostanie skalany. Strój Kapłanki. To przecież niewierny. I mężczyzna — wyrzucił z siebie Manan, mrugając małymi

oczkami, jakby coś go bolało.

— No więc spalę ten płaszcz i utkam sobie drugi! No już, Manan!

Schylił się posłusznie i pozwolił, by mężczyzna zsunął mu się z pleców na czarną tkaninę. Obcy leżał nieruchomy jak śmierć, lecz jego puls bił wyraźnie, widoczny na tętnicach krtani. Od czasu do czasu dygotał spazmatycznie.

— Powinno się go przykuć — mruknął eunuch.

— Czy wygląda na groźnego? — Arha skrzywiła się pogardliwie. Lecz kiedy niewolnik pokazał jej wbitą w ścianę żelazną klamrę, do której można było przykuć więźnia, pozwoliła mu przynieść kajdany z Komnaty Łańcuchów. Poczłapał korytarzem, szeptem przypominając sobie drogę; chodził już do Malowanej Komnaty, lecz nigdy samotnie.

W świetle pojedynczej latarni rysunki na ścianach zdawały się poruszać i przesuwać — owe niezwykłe ludzkie postacie ze zwisającymi skrzydłami, przykucnięte lub stojące, pogrążone w ponadczasowym smutku.

Uklękła i po trochu wlewała wodę w usta więźnia. W końcu zakaszlał i drżącymi dłońmi chwycił butelkę. Pozwoliła mu pić do woli. Leżał potem z wilgotną twarzą, wysmarowaną kurzem i krwią.

Powiedział coś, jakieś słowo czy dwa, w języku, którego nie rozumiała.

Wreszcie wrócił Manan. Ciągnął długi żelazny łańcuch, wielką kłódkę z kluczem i żelazną obręcz, którą zamocował więźniowi na wysokości pasa.

— Jest za luźna. Może się wyśliznąć — burczał zatrzaskując klamrę na końcu łańcucha.

— Wcale nie. Popatrz. — Obcy nie przerażał jej już tak bardzo, więc zademonstrowała Mananowi, że nie potrafi wsunąć dłoni pomiędzy żelazną obręcz a żebra więźnia. — Chyba żeby głodował jeszcze ze cztery dni.

— Panienko — odezwał się prosząco Manan. — Nie sprzeciwiam się, ale… Jaki pożytek będą mieć Bezimienni z takiego niewolnika? To mężczyzna, maleńka.

— A ty jesteś starym głupcem, Manan. Chodź, skończ już z tym narzekaniem.

Więzień obserwował ich lśniącymi, choć znużonymi oczami.

— Gdzie jego laska, Manan? Tam. Zabiorę ją. Są w niej czary. O, jeszcze to; to też zabiorę. — Szybkim ruchem chwyciła srebrny łańcuch widoczny nad kołnierzem tuniki obcego.

Próbował chwycić ją za ramiona i powstrzymać, ale Manan kopnął go w plecy. Arha pomachała talizmanem nad głową, poza jego zasięgiem.

— To twój talizman, magu? Jest dla ciebie cenny? Nie wygląda imponująco. Nie stać cię na coś lepszego? Przechowam go dla ciebie.

Założyła łańcuch na szyję, chowając wisiorek pod grubym kołnierzem swej wełnianej szaty.

— Nie wiesz, co z nim zrobić — odezwał się chrapliwie. Mówił po kargijsku z fatalnym akcentem, ale dość wyraźnie.

Manan kopnął go znowu. Więzień sieknął z bólu i przymknął oczy.

— Daj spokój, Manan. Idziemy. I wyszła. Burcząc gniewnie, eunuch ruszył za nią. Tej nocy, gdy pogasły wszystkie światła Miejsca, samotnie wspięła się na wzgórze. Napełniła manierkę ze studni w komnacie za Tronem, a potem zaniosła wodę i duży, płaski bochenek gryczanego chleba na dół, do Malowanej Komnaty w Labiryncie. Położyła je w zasięgu ręki więźnia, obok drzwi. Obcy spał i nawet się nie poruszył. Wróciła do Małego Domu i tej nocy ona także spała długo i głęboko.

Wczesnym popołudniem poszła sama do Labiryntu. Chleb zniknął, manierka była pusta, a obcy siedział oparty o ścianę. Jego brudna i podrapana twarz nadal wyglądała strasznie, lecz patrzył Już przytomnie.

Stanęła pod przeciwną ścianą, gdzie skrępowany łańcuchem nie mógł jej dosięgnąć. Przyjrzała mu się. Potem odwróciła wzrok. Coś nie pozwalało jej się odezwać. Serce bito mocno, jakby się bala. Ale nie miała powodów do strachu. Obcy był na jej łasce.

— Miło jest znowu mieć światło — powiedział cichym, lecz dźwięcznym głosem, budząc zamęt w jej myślach.

— Jak ci na imię? — spytała groźnym tonem. Własny głos wydał jej się dziwnie cienki i piskliwy.

— No cóż, najczęściej nazywają mnie Krogulcem.

— Krogulcem? To twoje imię?

— Nie.

— Więc jak masz na imię?

— Tego nie mogę ci powiedzieć. Czy jesteś Jedyną Kapłanką Grobowców?

— Tak.

— A jak cię nazywają?

— Mówią na mnie: Arha.

— Ta, która została pożarta… To oznacza to słowo? — Jego ciemne oczy wpatrywały się w nią z uwagą. Uśmiechnął się lekko. — A jak masz na imię?

— Nie mam imienia. Nie zadawaj mi pytań. Skąd przybyłeś?

— Z Wewnętrznych Krain, z Zachodu.

— Z Havnoru?

To była jedyna znana jej nazwa miasta czy wyspy w Wewnętrznych Krainach.

— Tak, z Havnoru.

— Po co tu przyszedłeś?

— Grobowce Atuanu są sławne wśród mego ludu.

— Przecież jesteś niewiernym, niedowiarkiem. Pokręcił głową.

— Ależ nie, Kapłanko. Wierzę w moce ciemności! Spotkałem już nie nazwanych w innych miejscach.

— Jakich innych miejscach?

— W Archipelagu… w Wewnętrznych Krainach… są miejsca, które należą do Dawnych Potęg Ziemi. Jak to. Ale żadne z nich nie jest równie wielkie. Nigdzie też nie mają świątyni, kapłanki ani tylu wiernych co tutaj.

— Przybyłeś, by złożyć im hołd? — zakpiła.

— Przybyłem, by je okraść — odparł. Spojrzała na jego twarz pełną powagi.

— Samochwał!

— Wiedziałem, że nie będzie to łatwe.

— Łatwe! To niemożliwe. Wiedziałbyś o tym, gdybyś nie był niewiernym. Bezimienni dobrze pilnują tego, co do nich należy.

— To, czego szukam, nie należy do nich.

— Pewnie do ciebie?

— Mam prawo to odebrać.

— Kim niby jesteś? Bogiem? Królem? — Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów: przykutego do ściany, brudnego, wycieńczonego. — Jesteś tylko złodziejem!

Milcząc spojrzał jej w oczy.

— Nie patrz na mnie! — krzyknęła nerwowo.

— O pani — powiedział. — Nie chciałem cię urazić. Jestem obcym, przybyszem. Nie znam waszych zwyczajów ani honorów należnych Kapłance Grobowców. Jestem w twojej mocy i proszę o wybaczenie, jeśli cię dotknąłem.

Stała w milczeniu czując, jak na policzki wypływa jej gorący, głupi rumieniec. On jednak nie patrzył na nią i nie widział tego. Posłusznie odwrócił swe posępne spojrzenie.

Przez chwilę żadne się nie odzywało. Ze wszystkich stron spoglądały na nich ślepymi oczami malowane postacie.

Przyniosła ze sobą kamienny dzban z wodą. Obcy co chwila spoglądał na niego ukradkiem, aż w końcu zezwoliła:

— Pij, jeśli masz ochotę.

Natychmiast chwycił dzban, podniósł go lekko niby kielich wina i pił długo. Potem zwilżył rękaw i najlepiej jak potrafil oczyścił warz i ręce z brudu, zaschniętej krwi i pajęczyn. Dziewczyna przyglądała się temu w milczeniu. Kiedy skończył, wyglądał znacznie lepiej, lecz ta kocia kąpiel odsłoniła blizny na jego twarzy — stare, wygojone blizny, białawe na de smagłej skóry: cztery równoległe szramy sięgające od oka aż do szczęki, jakby ślad pazurów wielkiej łapy.

— Od czego to? — spytała. — Te blizny? Nie odpowiedział od razu.

— Smok? — Starała się, by jej głos zabrzmiał szyderczo. Czyż nie przyszła tu po to, by kpić ze swego więźnia, dręczyć go i napawać się jego bezradnością?

— Nie, to nie smok.

— Więc nie jesteś panem smoków.

— To nie tak — odparł niechętnie. — Jestem panem smoków. Ale te blizny pochodzą z wcześniejszych czasów. Mówiłem ci, że spotykałem się już z Mocami Ciemności… w innych miejscach. To, co widzisz na mojej twarzy, to znak pozostawiony przez krewniaka Bezimiennych. Lecz on sam nie jest już bezimienny, gdyż w końcu poznałem jego imię.

— Co masz na myśli? Jakie imię?

— Tego nie mogę ci powiedzieć — odparł i uśmiechnął się, choć jego twarz zachowała wyraz powagi.

— To nonsens, brednie, bluźnierstwo! Oni są Bezimiennymi! Nie wiesz, o czym mówisz…

— Wiem lepiej od ciebie, Kapłanko — przerwał, a jego głos nabrał głębi. — Przyjrzyj się! — Odwrócił głowę tak, że musiała patrzeć na cztery straszne ślady na jego policzku.

— Nie wierzę ci — oświadczyła drżącym głosem.

— Kapłanko — odezwał się łagodnie. — Jesteś jeszcze młoda. Zapewne niedługo służysz Mrocznym Bóstwom.

— Długo! Bardzo długo! Jestem Pierwszą Kapłanką Odrodzoną. Służę moim władcom od tysiąca lat, a przedtem jeszcze tysiąca. Jestem ich sługą, ich głosem i ich dłońmi. A także ich zemstą na tych, którzy bezczeszczą Grobowce i patrzą na to, co nie ma być widziane! Zostaw swoje kłamstwa i przechwałki. Czy nie pojmujesz, że wystarczy jedno moje słowo, by przyszli tu strażnicy i ścięli ci głowę z ramion? Mogę też stąd wyjść i zamknąć te drzwi. Wtedy nikt już tu nie przyjdzie, nigdy, a ty umrzesz w ciemności. Ci, którym służę, pożrą twoje ciało i duszę, pozostawiając tylko kości wśród kurzu.

W milczeniu pokiwał głową.

Urwała, a nie mając już nic do dodania wyszła i z hukiem zaryglowała za sobą drzwi. Niech myśli, że już nie wróci! Niech się zalewa zimnym potem, niech drży, przeklina i próbuje rzucać te swoje obrzydliwe, bezsensowne czary!

Lecz oczyma duszy widziała, jak on wyciąga się na ziemi do snu, tak jak to zrobił pod żelaznymi wrotami: pogodny niczym owca na łące w słoneczny dzień.

Splunęła na zamknięte drzwi, zrobiła dłonią szybki gest chroniący przed nieczystością i niemal biegiem ruszyła w stronę Podgrobia.

A kiedy szła wzdłuż ściany, zmierzając do klapy w Sali Tronu,

przesuwając palce po powierzchniach i krawędziach skały niby po lodowej koronce, ogarnęło ją pragnienie, by zapalić latarnię i choć na chwilę zobaczyć znowu rzeźbione przez czas kamienie i cudowne migotanie ścian.

Mocno zacisnęła powieki i przyspieszyła kroku.

7. Wielki Skarbiec

Jeszcze nigdy codzienne obowiązki i ceremonie nie wydawały się tak liczne, tak nieważne i tak długie. Małe zalęknione dziewczynki o bladych twarzach, niespokojne nowicjuszki, spoglądające zimno i surowo kapłanki, których życie było gąszczem starannie ukrywanych zawiści, żalów, małych ambicji i zapomnianych namiętności — wszystkie te kobiety, wśród których żyła i które były dla niej całym ludzkim światem, teraz wydawały się godne litości i nudne.

Lecz ona, która służyła Wielkim Potęgom, ona — kapłanka posępnej Nocy, wolna była od ich małostkowości. Nie musiała się przejmować ponurą jednostajnością codziennego życia, dni, których jedyną radością było dostać do soczewicy większy kawałek baraniny… Była wolna od dni jako takich. Pod ziemią dni nie istniały. Trwała tylko i zawsze noc.

A wśród tej nie mającej końca nocy — więzień. Smagły mężczyzna, adept ciemnych kunsztów, przykuty żelazem do kamienia; czekający, czy przyjdzie, czy nie; czy przyniesie mu wodę, chleb i życie, czy nóż, misę ofiarną i śmierć; co podpowie jej kaprys.

Nie mówiła o tym człowieku nikomu prócz Kossil, a Kossil nikomu nie powtórzyła. Od trzech dni już przebywał w Malowanej Komnacie, a ona wciąż o niego nie pytała. Może uznała, że nie żyje, a Arha i Manan przenieśli ciało do Komnaty Kości. To niepodobne do Kossil, by przyjmować cokolwiek na wiarę, lecz Arha przekonywała samą siebie, że milczenie tamtej nie jest niczym niezwykłym. Chciała zachować wszystko w tajemnicy i nienawidziła zadawania pytań. A poza tym Arha zakazała jej mieszać się w nie swoje sprawy. Kossil była po prostu posłuszna.

Z drugiej strony, jeśli Kossil sądziła, że mężczyzna nie żyje, to Arha nie mogła prosić o żywność dla niego. Kradła więc jabłka i cebulę z piwnicy Wielkiego Domu, a oprócz tego starała się obywać bez jedzenia. Poranne i wieczorne posiłki kazała sobie przynosić do Małego Domu pod pozorem, że chce jadać samotnie. Każdej nocy zanosiła do Malowanej Komnaty w Labiryncie wszystko prócz zupy. Przyzwyczajona była do całodziennych, czasem nawet czterodniowych postów, więc nie dbała o to. Człowiek w Labiryncie pochłaniał jej skromne porcje chleba, sera i soczewicy tak, jak żaba potyka muchę: trzask! i po wszystkim. Wyraźnie zjadłby chętnie pięć albo sześć razy więcej. Zawsze jednak dziękował jej uprzejmie, jakby był gościem przy takim stole, jakie znała z opowieści o ucztach w pałacu Boga-Króla: zastawionym pieczonym mięsem, masłem, chlebem i winem w kryształowych pucharach. Był bardzo dziwny.

— Jak tam jest w Wewnętrznych Krainach? Zniosła do Labiryntu

mały składany stołeczek z kości słoniowej, żeby wypytując go nie stać ani siedzieć na ziemi, na jego poziomie.

— Cóż, jest tam wiele wysp. Mówią, że cztery razy po czterdzieści w samym Archipelagu, a są jeszcze Rubieże. Żaden człowiek nie opłynął jeszcze wszystkich Rubieży ani nie policzył wszystkich skrawków lądu. A każda wyspa różni się od innych. Najpiękniejszą z nich jest chyba Havnor, wielki obszar lądu w środku świata. W sercu Havnoru, nad wielką zatoką pełną statków, leży Miasto Havnor. Wieże miasta są z białego marmuru. Dom każdego księcia i kupca ma wieżyczkę, tak że wyrastają jedna ponad drugą. Dachy domów kryje czerwona dachówka, a wszystkie mosty nad kanałami ozdobiono mozaikami: czerwonymi, niebieskimi i zielonymi. Wielobarwne proporce książąt powiewają ze szczytów białych wież. Zaś na najwyższej wieży tkwi miecz Erreth-Akbego, niby iglica sięgający ku niebu. Gdy słońce wschodzi nad Havnorem ,jego promienie odbijają się najpierw w klindze i ostrze lśni jasno. Gdy zachodzi, miecz jest złoty i wznosi się jeszcze chwilę ponad zmierzchem.

— Kim był Erreth-Akbe? — zapytała przebiegle. Spojrzał na nią z uwagą. Milczał, lecz uśmiechnął się lekko. Potem, jakby po namyśle, powiedział:

— To prawda, niewiele możecie tu o nim wiedzieć. Może nic, prócz historii jego pobytu na Wyspach Kargadu .Jak opowiadano ci tę historię?

— Ze stracił magiczną laskę i amulet swej mocy, jak ty — odparła. — Uciekł przed Najwyższym Kapłanem na zachód i smoki go zabiły. Gdyby przyszedł tutaj, do Grobowców, smoki nie byłyby potrzebne.

— To prawda — przyznał więzień.

Nie chciała dłużej rozmawiać o Erreth-Akbem. Czuła, że nie jest to bezpieczny temat.

— Mówią, że był panem smoków. Ty twierdzisz, że też nim jesteś. Kto to jest pan smoków?

Zawsze mówiła szyderczym tonem, a on odpowiadał prosto i szczerze, jakby przyjmował jej pytania za dobrą monetę.

— Ktoś, z kim smoki rozmawiają — wyjaśnił. — To właśnie pan smoków, a przynajmniej to jest najważniejsze. Nie chodzi o rozkazywanie smokom, jak sądzi większość ludzi. Smoki nie słuchają nikogo. Wszystko ogranicza się do jednego: czy smok będzie z tobą rozmawiał, czy cię pożre? Jeśli możesz liczyć, że zdecyduje się na to pierwsze, wtedy jesteś panem smoków.

— Smoki potrafią mówić?

— Oczywiście! W Najstarszej Mowie, języku, którego my, ludzie, uczymy się z takim trudem i używamy tak niewprawnie, by wypowiadać zaklęcia magii i kształtowania. Nikt nie poznał tego

języka nawet w dziesiątej jego części. Nie ma dość czasu, by się go na uczyć. Ale smoki żyją tysiące lat… Domyślasz się chyba, że warto z nimi porozmawiać.

— A czy są jakieś smoki w Atuanie?

— Od wielu wieków już nie, ani na Karego-At. Ale na waszej północnej wyspie, Hur-at-Hur, podobno żyją jeszcze w górach wielkie smoki. W Wewnętrznych Krainach smoki żyją na zachodzie, w dalekiej Zachodniej Rubieży, na wyspach, gdzie nie mieszka nikt z ludzi i niewielu tylko dociera. Kiedy są głodne, ruszają na wschód, ale to zdarza się rzadko. Widziałem wyspę, gdzie przylatują tańczyć. Krążą na swych wielkich skrzydłach, bliżej i dalej od siebie, wciąż wyżej i wyżej ponad zachodnim morzem, niby wir żółtych liści jesienią… — Jego oczy spoglądały poprzez ciemne rysunki na ścianach, poprzez mury, skałę i ciemność, na otwarte morze pod zachodzącym słońcem i złote smoki w złocistym wietrze.

— Kłamiesz — oświadczyła Arha z irytacją. — Wymyślasz sobie to wszystko.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Czemu miałbym to robić, Arho?

— Żebym się czuła prosta, głupia i przestraszona. Żebyś wydawał mi się mądry, odważny, silny, pan smoków i w ogóle. Widziałeś tańczące smoki i wieże Havnoru, i wiesz wszystko o wszystkim. A ja nic nie wiem i nigdzie nie byłam. Ale to, co mówisz, to kłamstwa! Jesteś nikim, tylko złodziejem i więźniem, i nigdy nie opuścisz tego miejsca. Nie ma znaczenia, czy istnieją oceany, smoki, białe wieże i cała reszta, bo nigdy już ich nie zobaczysz, nigdy nie ujrzysz słońca. Ja znam tylko ciemność, noc pod ziemią. Ale to wszystko, co tak naprawdę istnieje, co w końcu się liczy. Cisza i mrok. Ty znasz wszystko, magu. A ja tylko jedno, ale najważniejsze.

Pochylił głowę. Wąskie, miedziano-brązowe dłonie spoczywały bez ruchu na kolanach. Widziała poczwórną bliznę na jego policzku. Dalej niż ona dotarł przez ciemność; lepiej od niej poznał śmierć. Nawet śmierć… Fala nienawiści ogarnęła ją nagle, odbierając oddech. Dlaczego tu siedzi, taki bezbronny i taki potężny? Dlaczego ona, Kapłanka, nie potrafi go pokonać?

— Tylko dlatego pozwalam ci żyć — powiedziała nagle i bez zastanowienia. — Chcę, żebyś mi pokazał, jak wykonuje się magiczne sztuczki. Będziesz żył, dopóki pozostanie ci dość mocy, by mnie zainteresować. Jeśli jej nie masz, jeśli to wszystko tylko bzdury i kłamstwa, skończę z tobą. Rozumiesz?

— Tak.

— Bardzo dobrze. Pokazuj.

Na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Zmienił pozycję. Żelazna obręcz nie pozwalała mu usiąść wygodnie. Mógł tylko położyć się na

wznak.

Wreszcie podniósł głowę.

— Posłuchaj mnie, Arho — oznajmił z powagą. — Jestem magiem, kimś, kogo nazywacie czarownikiem. Zdobyłem pewne umiejętności i pewną moc. To prawda. Lecz prawdą jest także to, że tutaj, w Miejscu Dawnych Mocy, moje siły są nikłe, a sztuka zawodzi. Mógłbym stworzyć dla ciebie iluzje i pokazać wszelkie cuda. To najprostsza część magii. Już jako dziecko potrafiłem tworzyć iluzje; udałoby mi się to nawet tutaj. Jeśli jednak uwierzysz w nie, mogą cię przestraszyć i zechcesz mnie zabić, gdyż lęk wzbudzi twój gniew. A jeśli nie uwierzysz, dostrzeżesz w nich tylko bzdury i kłamstwa, jak to określiłaś, wtedy także stracę życie. A moim głównym celem i pragnieniem jest w tej chwili zachowanie go.

Roześmiała się wtedy.

— Ależ pozostaniesz żywy, przynajmniej przez pewien czas. Nie rozumiesz? Jesteś głupi! No dobrze, pokaż mi te iluzje. Wiem, **że** nie są prawdziwe, więc się nie przestraszę. Zresztą nie bałabym się także wtedy, gdyby były prawdziwe. Do dzieła. Twoja bezcenna skóra jest bezpieczna, przynajmniej do jutra.

Na to on się roześmiał, jak ona przed chwilą. Przerzucali między sobą jego życie niczym piłkę.

— Co chcesz, żebym ci pokazał?

— A co możesz mi pokazać?

— Co zechcesz.

— Ależ się przechwalasz!

— Nie — zaprzeczył, wyraźnie dotknięty. — Wcale nie. Przynajmniej nie świadomie.

— Pokaż mi coś, co uważasz za warte zobaczenia. Cokolwiek. Pochylił głowę i przez chwilę wpatrywał się w swoje dłonie. Nic się nie działo. Wysoka świeca w latarni paliła się równym płomieniem. Ciemne obrazy na ścianach, ptasioskrzydłe, nielotne postacie o zamglonych, białych i czerwonych oczach wznosiły się nad obojgiem. Panowała cisza. Arha westchnęła rozczarowana i jakby zasmucona. Był słaby; mówił o wspaniałych rzeczach, ale nic nie miał. Był tylko dobrym kłamcą, nawet nie dobrym złodziejem.

— No cóż — powiedziała w końcu i chwyciła spódnicę, by wstać. Wełna zaszeleściła dziwnie. Arha spojrzała na siebie i zerwała się oszołomiona.

Zniknęła ciężka czerń, jaką nosiła od lat. Teraz jej suknia była z turkusowego jedwabiu, jasna i delikatna jak wieczorne niebo. Wydymała się na wysokości bioder, a cały dół wyszywany był srebrnymi nićmi, małymi perełkami i drobnymi okruchami kryształu, tak że materiał migotał niczym krople kwietniowego deszczu.

Spojrzała na czarownika, nie mogąc wydobyć głosu.

— Podoba ci się?

— Skąd…

— Taką suknię nosiła księżniczka na Balu Powrotu Słońca w Nowym Pałacu w Havnorze — wyjaśnił, patrząc na nią z satysfakcją. — Prosiłaś, bym ci pokazał coś wartego zobaczenia. Pokazałem ciebie.

— Zrób… Zrób, żeby to zniknęło.

— Oddałaś mi swój płaszcz — odparł jakby z wyrzutem. — Czyja nic nie mogę ci ofiarować? Ale nie martw się, to tylko iluzja… Widzisz?

Zdawało się, *ze* nie *ruszył* nawet palcem, z pewnością nie wyrzekł ani słowa, ale błękitne piękno jedwabiu zniknęło i Arha znów miała na sobie szorstką czarną szatę.

Przez chwilę stała nieruchomo.

— Skąd mam wiedzieć — spytała wreszcie — że jesteś tym, kim się wydajesz?

— Nie wiesz — odparł. — Ja też nie wiem, kim się tobie wydaję. Zastanowiła się.

— Możesz sprawić, że będę cię widzieć jako… — urwała, gdyż podniósł dłoń i szybkim, ledwie widocznym gestem wskazał palcem strop. Sądziła, że rzuca czar i szybko cofnęła się do drzwi. Podążyła jednak wzrokiem w górę i w szarym, łukowym sklepieniu dostrzegła niewielki kwadrat — wizjer ze skarbca w świątyni Bliźniaczych Bóstw.

Przez otwór nie wpadała ani odrobina światła; nic nie widziała, nikogo nie słyszała nad głową. Lecz on wskazał otwór i teraz patrzył na nią pytająco.

Na długą chwilę oboje zamarli w bezruchu.

— Twoja magia to zwykłe sztuczki, dobre dla dzieci — powiedziała głośno i wyraźnie. — Oszustwo i kłamstwa. Dość już widziałam. Zostaniesz rzucony na pożarcie Bezimiennym. Nie przyjdę tu więcej.

Chwyciła latarnię, wyszła i z hukiem zatrzasnęła rygle. Stanęła przed drzwiami i zastanowiła się. Co powinna zrobić?

Ile widziała i słyszała Kossil? O czym właściwie rozmawiali? Nie mogła sobie przypomnieć. Zdawało się, że nie potrafi powiedzieć więźniowi tego, co sobie zaplanowała. Ciągle wytrącał ją z równowagi tymi historiami o smokach, wieżach, nadawaniu imion Bezimiennym, chęci pozostania przy życiu i wdzięczności za płaszcz, na którym leżał. Nigdy nie mówił tego, co powinien. Nie spytała go nawet o talizman, wciąż ukryty na piersi.

I bardzo dobrze, skoro Kossil tego słuchała.

Co to zmieniało? Co mogła zrobić Kossil? Arha znała odpowiedź już w chwili, gdy zadawała sobie to pytanie. Nie ma stworzenia, które

łatwiej zabić niż jastrzębia w klatce. Obcy był bezradny, przykuty do ściany swej kamiennej klatki. Kapłanka Boga-Króla musiała tylko posłać Duby'ego, by nocą zadławił więźnia. Albo, jeśli Duby nie znał tak dobrze Labiryntu, wystarczyło przez otwór nad Malowaną Komnatą wdmuchnąć trujący proszek. Miała przecież u siebie pudełka i buteleczki pełne groźnych substancji. Niektóre służyły do zatruwania żywności i wody, inne truły powietrze i zabijały, gdy ktoś oddychał nimi zbyt długo. Rankiem obcy będzie martwy i wszystko się skończy. Już nigdy nie zapłonie światło pod Grobowcami.

Arha pospieszyła wąskimi kamiennymi korytarzami ku wejściu do Podgrobia, gdzie czekał na nią Manan, cierpliwy i skulony jak stara ropucha wśród nocy. Niepokoił się, gdy odwiedzała więźnia. Ona jednak nie chciała go ze sobą zabierać. Zgodzili się więc na kompromis. Teraz cieszyła się, że jest pod ręką. Jemu przynajmniej mogła zaufać.

— Słuchaj, Manan. Pójdziesz teraz do Malowanej Komnaty. Natychmiast. Powiedz więźniowi, że zabierasz go do Podgrobia, gdzie będzie pogrzebany żywcem pod Kamieniami. — Oczka Manana rozbłysły. — Powiesz to głośno. Potem otworzysz kłódkę na łańcuchu i zaprowadzisz… — urwała, gdyż nie wymyśliła jeszcze, gdzie najlepiej będzie ukryć przybysza.

— Do Podgrobia — podpowiedział ochoczo Manan.

— Nie, durniu. Kazałam ci to powiedzieć, nie zrobić. Zaczekaj… Gdzie można go było ukryć przed Kossil i jej szpiegami? Nigdzie prócz najgłębszych podziemi, najświętszych i najbardziej tajemnych obszarów dziedziny Bezimiennych, których ona sama nie odważyła się jeszcze zbadać. Ale czyż Kossil nie odważy się prawie na wszystko? Owszem, boi się ciemności, ale pokona lęk dla osiągnięcia swych celów. Któż mógł wiedzieć, jak dobrze zna Labirynt, Jak wiele nauczyła się od Thar, od Arhy w jej poprzednim życiu, nawet z własnych sekretnych wypraw. Arha podejrzewała, że Kossil wie więcej, niż się przyznaje. Istniała jednak droga, której nie mogła poznać, najgłębiej chroniona tajemnica.

— Dostarczysz więźnia tam, gdzie ci wskażę. Musisz to zrobić w ciemności. Potem, kiedy wyprowadzę cię znów tutaj, wykopiesz grób, zrobisz trumnę, włożysz pustą do tego grobu i zasypiesz ziemią tak, by można byloją znaleźć, gdyby ktoś szukał. Głęboki grób. Zrozumiałeś?

— Nie — odparł Manan głosem surowym, choć strapionym. — Panienko, nie powinnaś popełniać tego oszustwa. To nie jest słuszne! Ten mężczyzna nie powinien tu przebywać! Kara czeka…

— Owszem, pewien stary głupiec skończy z wyrwanym językiem! Ośmielasz się mówić mi, co jest słuszne? Wykonuję rozkazy Ciemnych Potęg. Idziemy!

— Wybacz mi, panienko. Przepraszam… Wrócili do Malowanej

Komnaty. Arha została w tunelu, gdy Manan wszedł do środka i otworzył klamrę trzymającą łańcuch.

— Dokąd teraz, Manan? — usłyszała głęboki głos i szorstką, posępną odpowiedź:

— Będziesz pogrzebany żywcem, jak każe moja pani. Pod Kamieniami Grobowymi. Wstawaj!

Ciężki łańcuch trzasnął jak bicz.

Więzień wyszedł na zewnątrz z rękami związanymi z tyłu skórzanym pasem Manana. Eunuch szedł z tyłu, prowadząc go na krótkim łańcuchu jak psa na smyczy. Mężczyzna spojrzał na nią, lecz Arha zdmuchnęła świecę i bez jednego słowa ruszyła przez mrok. Natychmiast wpadła w powolny, równy rytm, który utrzymywała zwykle, gdy bez światła przemierzała tunele Labiryntu, stale lekko muskając palcami ścianę po jednej lub drugiej stronie. Manan z więźniem szli za nią, nie tak równym krokiem ze względu na łańcuch. Szurali nogami i potykali się w ciemnościach. Nie mogła jednak zapalić światła — nie chciała, by któryś z nich zapamiętał drogę.

Z Malowanej Komnaty skręcić w lewo, minąć jeden korytarz, skręcić w następny w prawo, potem długi łuk zakończony stopniami prowadzącymi w dół, długimi, śliskimi i o wiele za wąskimi dla normalnych ludzkich stóp. Poza te stopnie nigdy jeszcze nie dotarła.

Powietrze było tu gorsze, przesycone jakąś ostrą wonią. Instrukcje wyraźnie rozbrzmiewały jej w pamięci, słyszała nawet ton głosu Thar, gdy je powtarzała. Schodami w dół (z tylu więzień potknął się w ciemności i syknął z bólu, gdy silnym szarpnięciem łańcucha Manan uratował go od upadku), zaraz za nimi skręcić w lewo. Potem w lewo na dwóch rozwidleniach, na trzecim w prawo i dalej w prawo. Tunele wiły się i skręcały, żaden nie biegł prosto. „Potem musisz przejść obok Otchłani” odezwał się wśród mroków umysłu głos Thar. „A ścieżka jest bardzo wąska”.

Zwolniła, przykucnęła i ręką sprawdzała podłogę przed sobą. Znaleźli się w długim, prostym odcinku korytarza, stwarzającym złudne poczucie bezpieczeństwa. Zupełnie nagle jej palce, kolistymi ruchami bez ustanku badające drogę, trafiły w próżnię. Kamienna krawędź, a potem już nic… Pustka. Po prawej stronie ściana korytarza opadała pionowo w otchłań. Po lewej był próg, wąska półka, szeroka nie więcej niż na dłoń.

— Tu jest przepaść. Stańcie przodem do ściany po lewej stronie, przyciśnijcie się do niej i idźcie bokiem. Przesuwajcie stopy. Trzymaj mocno łańcuch, Manan… Jesteście na półce? Robi się coraz węższa. Nie wolno się opierać na piętach. No, przeszłam. Daj rękę. Ostrożnie…

Potem tunel biegł krótkimi zakosami, mijając wiele bocznych korytarzy. Z niektórych, gdy je mijali, dobiegało niezwykłe, głuche echo ich kroków, a co dziwniejsze, dało się wyczuć słaby powiew. Te

tunele musiały kończyć się przepaściami podobnymi do tej, którą właśnie minęli. Być może pod tą częścią Labiryntu rozciągała się pustka, jaskinia tak głęboka i ogromna, że w porównaniu z nią Podgrobie zdawałoby się nieduże — wielka, czarna, podziemna przestrzeń.

Lecz ponad pustką, tam gdzie się znajdowali, tunele stawały się coraz węższe i niższe, aż wreszcie nawet Arha musiała schylać głowę. Czy ta droga nie miała końca?

Lecz koniec nastąpił: zamknięte drzwi. Maszerując z pochyloną głową i nieco szybciej niż zwykle, Arha zderzyła się z nimi, rozbijając czoło i dłonie. Wymacała dziurkę od klucza, potem znalazła na swoim kółku nigdy nie używany mały kluczyk z piórem w kształcie smoka. Pasował i przekręcił się bez oporu. Arha otworzyła drzwi Wielkiego Skarbca Grobowców Atuanu. Owiało ją suche, stęchłe, kwaśne powietrze.

— Manan, nie możesz tam wejść. Zaczekaj pod drzwiami.

— Jemu wolno, a mnie nie?

— Jeśli tu wejdziesz, Manan, nigdy już nie wyjdziesz. Takie jest prawo dla wszystkich prócz mnie. Poza mną żadna istota śmiertelna nie opuściła żywa tej komnaty. Czy chcesz wejść?

— Zaczekam tutaj — odparł z ciemności głos pełen melancholii. — Panienko, panienko, nie zamykaj drzwi…

Jego strach zirytował ją bardzo, ale zostawiła drzwi otwarte na oścież. W rzeczy samej, to miejsce budziło niewytłumaczalny lęk. W dodatku mimo więzów nie w pełni ufała obcemu. Gdy weszli, zapaliła światło. Ręce jej drżały. Świeca w latarni rozpalała się opornie — powietrze było tu duszne i jakby martwe. Żółtawy płomyk po długiej drodze w ciemności zdawał się niezwykle jaskrawy. Komnata skarbca otworzyła się wokół nich, pełna rozkołysanych cieni.

Stało tu sześć wielkich kamiennych skrzyń, pokrytych grubą warstwą drobniutkiego kurzu. Nic więcej. Ściany były nierówne, sklepienie niskie. Panował chłód — głęboki, bezwietrzny chłód, który zdawał się zatrzymywać bicie serca. I żadnych pajęczyn, tylko kurz. Nie było tu nic żywego, absolutnie nic, nawet rzadko spotykanych, małych białych pająków Labiryntu. Pył zalegał grubą warstwą, a każde jego ziarenko mogło być dniem, co minął tu, gdzie nie istniał czas ani światło: dnie, miesiące, lata, stulecia zmienione w pyl.

— Oto miejsce, którego szukałeś — oznajmiła Arha. Głos jej nie drżał. — Oto Wielki Skarbiec Grobowców Atuanu. Dotarłeś do niego. I nigdy go nie opuścisz.

Nie powiedział ani słowa, a jego twarz pozostała spokojna, lecz w ciemnych oczach dostrzegła coś, co ją poruszyło: żal; wzrok człowieka, który został zdradzony.

— Mówiłeś, że chcesz zostać żywy. To jedyne miejsce, jakie znam,

gdzie jest to możliwe. Kossil zabiłaby cię, Krogulcze, albo zmusiłaby do tego mnie. Tutaj nie może cię dosięgnąć.

Wciąż milczał.

— I tak nie mógłbyś opuścić Grobowców, nie rozumiesz? To żadna różnica. A tak dotarłeś przynajmniej do… do kresu podróży. Tutaj jest to, czego szukałeś.

Usiadł na jednej z wielkich skrzyń. Wyglądał na zmęczonego. Łańcuch brzęknął głośno o kamień. Więzień spojrzał na szare ściany, na cienie. I na nią.

Odwróciła wzrok, przyjrzała się kamiennym skrzyniom. Wcale nie miała ochoty ich otwierać. Nie była ciekawa cudów, jakie gniły w ich wnętrzach.

— Tutaj łańcuch nie będzie już potrzebny — podeszła i odpięła kłódkę, potem rozwiązała skórzany pas Manana. — Muszę zamknąć 'drzwi, ale kiedy wrócę, zaufam ci. Wiesz, że nie możesz, naprawdę nie możesz stąd wyjść? Że nie wolno ci nawet próbować? Ja jestem ich zemstą, narzędziem ich woli; lecz jeśli ich zawiodę… jeśli ty zawiedziesz moje zaufanie… wtedy zemszczą się sami. Nie wolno ci próbować opuścić tej komnaty, ani raniąc mnie, ani oszukując. Musisz mi uwierzyć.

— Zrobię, co mówisz — odpowiedział łagodnym tonem.

— Gdy tylko zdołam, przyniosę jedzenie i wodę. Nie będzie tego wiele. Wody, owszem. Ale jedzenia niedużo, przynajmniej przez pewien czas. Ja też jestem głodna, rozumiesz? Ale wystarczy tego, żebyś nie umarł z głodu. Chyba nie będę się mogła tu zjawić przez dwa dni, może nawet dłużej. Muszę odwrócić podejrzenia Kossil. Ale przyjdę. Obiecuję. Tu masz manierkę. Oszczędzaj wody, bo wrócę nieprędko. Ale wrócę na pewno.

Podniósł głowę i spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

— Uważaj na siebie, Tenar — powiedział.

8. Imiona

Poprowadziła Manana z powrotem krętą drogą w ciemnościach i pozostawiła w Podgrobiu, by wykopał mogiłę. Musiała tam być jako dowód dla Kossil, że złodziej naprawdę poniósł karę. Było już późno, poszła więc prosto do Małego Domu i do łóżka. Zbudziła się nagle wśród nocy; przypomniała sobie, że jej płaszcz został w Malowanej Komnacie. On nie będzie miał się czym okryć w wilgotnej komorze; nie ma nic prócz własnej krótkiej opończy. Zimno, zimno jak w grobie, myślała przejęta litością. Była jednak zbyt zmęczona, by rozbudzić się do końca i po chwili znów zapadła w sen. Wtedy zaczęła śnić. Śniła o duszach umarłych na ścianach Malowanej Komnaty, o postaciach podobnych do wielkich zmokniętych ptaków o ludzkich dłoniach, stopach i twarzach, skulonych w pyle ciemnych miejsc. Nie potrafiły latać. Ziemia była ich pożywieniem, kurz ich napojem. To były dusze tych, którzy się nie odrodzili, starożytnych i niewiernych, których pochłonęli Bezimienni. Siedziały wokół niej w mroku, a od czasu do czasu dobiegały z ich strony słabe skrzeczenia i piski. Jedna podeszła bardzo blisko. Z początku Arha trochę się bała i próbowała cofnąć, ale nie mogła się ruszyć. Ta postać miała ptasią, nie ludzką twarz, lecz jej włosy lśniły niczym złoto.

— Tenar — zawołała ją kobiecym głosem, delikatnie i miękko. — Tenar.

Przebudziła się. Ziemia zatykała jej usta. Leżała pod ziemią, w kamiennym grobie. Całun krępował jej ręce i nogi, nie mogła się poruszyć ani krzyknąć.

Jej desperacja wzrosła tak bardzo, że rozsadziła pierś i niby ognisty ptak skruszyła kamienie, by wzlecieć w światło dnia — szary blask w pozbawionej okien sypialni.

Rozbudzona — tym razem naprawdę — usiadła na posłaniu, zmęczona nocnymi koszmarami i niezbyt jeszcze przytomna. Ubrała się i wyszła do cysterny na ogrodzonym dziedzińcu Małego Domu. Tam zanurzyła w lodowatej wodzie ręce i twarz, a potem całą głowę, aż dygotała z zimna, a krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Odrzuciła do tyłu mokre włosy i stanęła wyprostowana, spoglądając w poranne niebo.

Słońce wzeszło niedawno. Zapowiadał się pogodny zimowy dzień. Wysoko — tak wysoko, że oświetlały go pierwsze promienie słońca — krążył ptak, jastrząb albo pustynny orzeł. Błyszczał jak złoty punkcik.

— Jestem Tenar — powiedziała niezbyt głośno i zadrżała z zimna, ze zgrozy, z podniecenia pod otwartym, jasnym niebem. — Odzyskałam swoje imię. Jestem Tenar!

Złoty punkcik skręcił na zachód, w stronę gór i zniknął. Słońce

błyszczało na okapach Małego Domu. Z zagrody dobiegał dźwięk dzwonków. Lekki wiatr niósł zapach dymu i gryki z kuchennych kominów.

— Jestem taka głodna… Skąd on wiedział? Skąd znał moje imię? Och, muszę coś zjeść, jestem strasznie głodna…

Naciągnęła kaptur i pobiegła na śniadanie.

Po trzech dniach postu jedzenie sprawiło, że czuła się pewniejsza, bardziej spokojna. Nie była już oszołomiona, przestraszona. Czuła, że po śniadaniu da sobie radę z Kossil.

Wychodząc z jadalni w Wielkim Domu zbliżyła się do wysokiej, tęgiej kobiety i oznajmiła cichym głosem:

— Załatwiłam sprawę ze złodziejem… Cóż za piękny dzień! Spod kaptura spojrzały na nią zimne szare oczy.

— Sądziłam, że po złożeniu ofiary Kapłanka musi przez trzy dni powstrzymywać się od jedzenia?

Tak było. Arha zapomniała o tym i wyraz jej twarzy wyraźnie o tym świadczył.

— On jeszcze żyje — stwierdziła w końcu, próbując nadać głosowi ten ton obojętności, który jeszcze przed chwilą przychodził jej bez trudu. — Jest żywcem pogrzebany. Pod Grobowcami. W trumnie. Ma trochę powietrza, bo trumna nie jest szczelna. Drewniana. Będzie umierał powoli. Kiedy umrze, rozpocznę post.

— Skąd będziesz wiedzieć? Zawahała się znowu, zmieszana.

— Będę. Ja… Moi Władcy mi powiedzą.

— Rozumiem. Gdzie jest grób?

— W Podgrobiu. Kazałam Mananowi wykopać go pod Gładkim Kamieniem. — Nie wolno jej odpowiadać tak pospiesznie, tym głupim, uniżonym tonem. Rozmawiając z Kossil musi okazywać godność.

— Żywy, w drewnianej trumnie. To ryzykowne posunięcie, gdy ma się do czynienia z czarownikiem. Czy jesteś pewna, że jego usta zostały zakneblowane, by nie mógł wypowiadać zaklęć? Czy ma związane ręce? Oni potrafią rzucać czary ruchem palca, nawet gdy wyrwie się im języki.

— Ta jego magia to zwykłe sztuczki — odparła podnosząc głos. — Został pogrzebany i moi Władcy czekają na jego duszę. A reszta cię nie dotyczy, kapłanko!

Tym razem posunęła się za daleko. Inni słyszeli: Penthe i kilka dziewcząt. Duby i kapłanka Mebbeth, wszyscy byli w zasięgu głosu. Dziewczęta zmieniły się w słuch, a Kossil wiedziała o tym doskonale.

— Wszystko, co się tu dzieje, jest moją sprawą, pani. Wszystko, co zdarza się w jego dziedzinie, jest sprawą Boga-Króla, Człowieka Nieśmiertelnego, którego jestem sługą. Nawet do miejsc podziemnych i **do** serc ludzkich wkracza i zagląda, a nikt nie broni mu wejścia.

— Ja bronię. Nikt nie wchodzi do Grobowców, jeśli Bezimienni

tego zakazują. Istnieli przed twoim Bogiem-Królem i będą istnieć, gdy on odejdzie. Mów o nich cicho, kapłanko. Nie ściągaj na siebie ich zemsty. Wejdą w twoje sny, wkroczą w mroczne zakamarki twego umysłu. Sprowadzą na ciebie obłęd.

Oczy dziewczyny płonęły. Czarny kaptur osłaniał twarz Kossil. Penthe i inne patrzyły, przestraszone i zasłuchane.

— Są starzy — odezwał się głos Kossil, cicha, świszcząca nić dźwięku z głębi kaptura. — Bardzo starzy. Wiara w nich przetrwała tylko w tym miejscu. Ich potęga się rozwiała. Są tylko cieniami. Nie mają żadnej mocy. Nie próbuj mnie zastraszyć. Pożarta. Jesteś Pierwszą Kapłanką; czy nie oznacza to również, że jesteś ostatnią? Nie oszukasz mnie. Ciemność nie ma przede mną tajemnic. Strzeż się, Arho!

Odwróciła się i odeszła ciężkim, równym krokiem. Obute w sandały stopy zgniatały oszronione źdźbła trawy na drodze do otoczonej białymi kolumnami świątyni Boga-Króla.

Szczupła, ciemna postać dziewczyny pozostała jak wmarznięta w ziemię na dziedzińcu Wielkiego Domu. Wszyscy zamarli. Nic się nie poruszało aż do krańców widnokręgu, na podwórcu i koło świątyń, na wzgórzach, w pustyni i w górach.

Jedynie Kossil.

— Niech Mroczne Bóstwa pożrą twoją duszę, Kossil! — zawołała głosem jak krzyk jastrzębia i podniósłszy wyprostowaną sztywno rękę cisnęła klątwę ku szerokim plecom kapłanki, gdy ta stawiała nogę na stopniach swej świątyni. Kossil zachwiała się, ale nie zatrzymała ani nie odwróciła. Szła dalej, przez bramę Boga-Króla.

Arha spędziła resztę dnia siedząc na najniższym stopniu Pustego Tronu. Nie śmiała wracać do Labiryntu, nie miała ochoty na towarzystwo innych kapłanek. Dziwna ociężałość ogarnęła ją i nie pozwalała ruszyć się z miejsca. Godzina za godziną mijały w chłodnym półmroku wielkiej sali. Arha patrzyła na szeregi podwójnych, potężnych, jasnych kolumn, znikające w cieniu na końcu sali, na skośne promienie światła wpadające przez dziury w dachu, na pasma gęstego dymu z brązowego trójnogu, na którym płonął węgiel drzewny. Na marmurowym stopniu układała wzory z mysich kości. Siedziała z pochyloną głową. Jej umysł pracował, choć w stanie jakby oszołomienia.

Kim jestem? zapytywała samą siebie i nie otrzymywała odpowiedzi.

Nadszedł Manan. Powłócząc nogami zbliżał się między podwójnymi szeregami kolumn. Światło dnia nie rozjaśniało już mroku Sali, a chłód stawał się coraz bardziej przenikliwy. Krągła twarz eunucha wyrażała głęboki smutek. Stanął przed nią zwieszając swe wielkie dłonie. Oddarty skraj rdzawego płaszcza zwisał mu do

stóp.

— Panienko…

— O co chodzi, Manan? — spojrzała na niego z sympatią.

— Maleńka, pozwól mi zrobić to, o czym mówiłaś… co powiedziałaś, że się stało. On musi zginąć, maleńka. Zaczarował cię. Ona się zemści. Jest stara i okrutna, a ty zbyt młoda. Nie masz dość siły.

— Nic mi nie może zrobić.

— Gdyby cię zabiła, nawet otwarcie, na oczach wszystkich, nikt w Imperium nie ośmieliłby się jej ukarać. Jest przecież Najwyższą Kapłanką Boga-Króla, a Bóg-Król włada Kargadem. Ale ona nie zabije cię otwarcie. Zrobi to ukradkiem, trucizną, pod osłoną nocy.

— Wtedy odrodzę się na nowo. Manan zacisnął dłonie.

— Może cię nie zabijać — szepnął.

— Co to znaczy?

— Może cię zamknąć w komnacie w… na dole. Jak ty zamknęłaś jego. Będziesz tam żyła, nawet całe lata. Lata… I nie urodzi się nowa Kapłanka, bo ty nie umrzesz. Ale nie będzie już Kapłanki Grobowców i nikt nie odtańczy tańców o nowiu księżyca, nikt nie złoży ofiary, nie wyleje krwi. Wiara Mrocznych Bóstw zostanie zapomniana na zawsze. Ona i jej Pan chcieliby, żeby tak się stało.

— Bogowie mnie uwolnią, Manan.

— Nie, jeśli będą się gniewać, panienko — szepnął Manan.

— Gniewać?

— Przez niego… Nie pomszczone świętokradztwo. Och, maleńka, maleńka! Oni nie wybaczają!

Siedziała z pochyloną głową w kurzu pokrywającym najniższy stopień. Patrzyła na mały przedmiot, trzymany w dłoni — na maleńką czaszkę myszy. Wśród krokwi ponad Tronem zaczynały się budzić sowy — nadchodziła noc.

— Nie schodź dziś do Labiryntu — odezwał się Manan bardzo cicho. — Wracaj do domu i śpij. Rankiem idź do Kossil i powiedz, że odwołujesz klątwę. To wszystko. Nie musisz się martwić. Pokażę jej dowód.

— Dowód?

— Ze czarownik nie żyje.

Siedziała nieruchomo. Wolno zacisnęła palce, a krucha czaszka trzasnęła i rozsypała się. Kiedy otworzyła dłoń, były tam tylko odłamki kości i pył.

— Nie — rzekła. Strzepnęła pył z palców.

— On musi umrzeć. Rzucił czar na ciebie. Jesteś zgubiona, Arho!

— Nie rzucił na mnie czaru. Jesteś stary i tchórzliwy, Manan. Boisz się starych kobiet. Jak chcesz do niego trafić i zabić go, by zdobyć swój „dowód”? Czy pamiętasz drogę do Wielkiego Skarbca,

którą przeszedłeś w ciemności poprzedniej nocy? Czy potrafisz odliczać zakręty, dojść do stopni, potem do przepaści i do drzwi? Czy umiesz je otworzyć? Biedny Mananie, na starość tracisz rozum. Ona cię przeraziła. Sam idź do Małego Domu i śpij. Zapomnij o tych sprawach. Nie irytuj mnie więcej opowieściami o śmierci. Ja przyjdę później. Idź już, idź, ty głupcze, stary grubasie. — Wstała i delikatnie pchnęła go w szeroką pierś. Poklepywała go i wypychała do wyjścia. — Dobrej nocy. Dobrej nocy!

Odwrócił się ciężko, niechętnie, pełen złych przeczuć, ale posłuszny. Poczłapał przez ciemną salę pod kolumnami i zniszczonym dachem. Odprowadziła go spojrzeniem.

A kiedy odszedł, odczekała chwilę, po czym odwróciła się, wyminęła stopnie i zniknęła w mroku za Tronem.

9. Pierścień Erreth-Akbego

W Wielkim Skarbcu Grobowców Atuanu czas stał w miejscu. Nie było tu światła, nie było życia, nawet najmniejszy pająk nie poruszał się wśród kurzu ani robak w chłodnej ziemi. Byty tylko skały, ciemność i czas, który nie płynął.

Wyciągnięty na kamiennej pokrywie wielkiej skrzyni, podobny do rzeźby na sarkofagu, leżał na wznak złodziej z Wewnętrznych Krain. Nie ruszał się. Wzniecony przez niego pył osiadał mu na ubraniu.

Szczęknął zamek. Otworzyły się drzwi. Światło rozdarło martwą ciemność, świeży powiew poruszył martwym powietrzem. Mężczyzna leżał nieruchomo.

Arha zamknęła drzwi, przekręciła klucz od wewnątrz, postawiła latarnię na skrzyni i wolno podeszła do bezwładnej postaci. Szła nieśmiało, szeroko otwierając oczy o źrenicach wciąż jeszcze rozszerzonych po długiej wędrówce przez ciemność.

— Krogulcze!

Dotknęła jego ramienia i zawołała znowu, i jeszcze raz. Poruszył się i jęknął. Potem usiadł, ze ściągniętą twarzą i pustym wzrokiem. Spojrzał na nią nie poznając.

— To ja, Arha… Tenar. Przyniosłam ci wodę. Masz, pij. Wyciągnął jakby pozbawioną czucia rękę, chwycił manierkę i wypił kilka łyków.

— Jak długo to trwało? — spytał, z trudem wymawiając słowa.

— Dwa dni minęły, odkąd tu wszedłeś. Teraz jest trzecia noc. Nie mogłam przyjść wcześniej. Musiałam ukraść jedzenie. Tutaj, masz. — Z przyniesionej sakwy wyjęła płaski, ciemny bochenek, lecz on pokręcił głową.

— Nie jestem głodny. To… to śmiertelne miejsce. — Siedział nieruchomo z głową wspartą na dłoniach. — Nie zimno ci? Przyniosłam płaszcz z Malowanej Komnaty.

Milczał.

Odłożyła płaszcz i stała, patrząc na niego. Drżała lekko, a oczy miała ciemne i szeroko otwarte. Nagle opadła na kolana i rozpłakała się. Głęboki szloch wstrząsał jej ciałem, ale nie przynosił łez.

Zesztywniały, zszedł ze skrzyni i pochylił się nad nią.

— Tenar…

— Nie jestem Tenar. Nie jestem Arha. Bogowie umarli, umarli. Oparł jej dłonie na głowie, zrzucając kaptur, i przemówił łagodnym tonem. Słowa nie należały do żadnego języka, jaki kiedykolwiek słyszała. Niby krople deszczu zapadały jej w serce. Łkania cichły powoli.

Kiedy była już spokojna, podniósł ją i jak dziecko posadził na

skrzyni, gdzie przedtem leżał. Ujął ją za ręce.

— Dlaczego płakałaś, Tenar?

— Powiem ci. Nie ma znaczenia, co usłyszysz. I tak nie możesz nic zrobić. Nie możesz pomóc. Ty też umierasz, prawda? Więc to nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Kossil, Kapłanka Boga-Króla, zawsze była okrutna… Chciała mnie zmusić, żebym cię zabiła. Tak jak tamtych. A ja nie chciałam. Nie miała prawa. Ona lekceważyła Bezimiennych i drwiła z nich, a ja rzuciłam na nią klątwę. I od tego czasu bałam się jej, bo prawdą jest, co mówił Manan, że ona nie wierzy w bogów. Chciałaby, żeby o nich zapomniano… I na pewno zabiłaby mnie we śnie. Więc nie spałam. Nie wróciłam do Małego Domu, ale zostałam w Sali przez całą noc: w schowku, gdzie są stroje do tańca. Zanim zrobiło się widno, poszłam do Wielkiego Domu i ukradłam trochę jedzenia. Potem wróciłam do Sali i zostałam tam cały dzień. Starałam się coś wymyślić. A wieczorem… Wieczorem byłam taka zmęczona… I pomyślałam, że mogę pójść do świętego miejsca i tam się przespać, bo ona będzie się bała tam przyjść. Więc zeszłam do Podgrobia. To ta wielka grota, w której pierwszy raz cię zobaczyłam. I… I ona tam była. Musiała wejść przez bramę w czerwonej skale. Była tam z latarnią. Rozgrzebywała grób, który wykopał Manan. Chciała sprawdzić, czy jest w nim ciało. Jak szczur cmentarny, wielki, tłusty, czarny szczur grzebiący w ziemi. Światło paliło się w Świętym Miejscu, w dziedzinie ciemności. A Bezimienni nie zrobili nic. Nie zabili jej ani nie sprawili, by oszalała. Są starzy, tak jak mówiła. Umarli. Nie ma ich. Nie jestem już kapłanką.

Mężczyzna słuchał, lekko pochylając głowę. Wciąż trzymał jej dłonie w swoich. Wyraz jego twarzy i postawa wskazywały, że siły mu wracają, choć blizny na policzku ciągle były sine, a ubranie i włosy pokryte kurzem.

— Przeszłam obok niej przez Podgrobie. Jej świeca dawała więcej cienia niż światła. Nie usłyszała mnie. Chciałam wejść do Labiryntu, żeby od niej uciec. Ale kiedy już tam byłam, wydało mi się, że idzie za mną. We wszystkich korytarzach słyszałam za sobą czyjeś kroki. Nie wiedziałam, dokąd mam pójść. Pomyślałam, że tutaj będę bezpieczna. Ze moi Władcy będą mnie chronić i osłaniać. Ale oni tego nie robią… Nie ma ich, są martwi.

— I dlatego płakałaś? Dlatego, że umarli? Ale oni tu są, Tenar, są tutaj.

— Skąd możesz wiedzieć? — spytała słabym głosem.

— Ponieważ przez cały czas, odkąd wkroczyłem do groty pod Kamieniami Grobowymi, staram się utrzymywać ich w nieświadomości, w spokoju. Używam do tego całej swej sztuki, na to tracę swoją siłę. Oplotłem te tunele nieskończoną siecią czarów: czarów snu, spokoju, ukrycia. A jednak wiedzą, że tu jestem, na pół

świadomi, na wpół śpiący, na wpół tylko czuwający. I mimo to jestem całkowicie wyczerpany stawianiem im oporu. Tutaj jest najstraszniejsze miejsce. Dla jednego człowieka, samotnego, nie ma tu żadnej nadziei. Konałem z pragnienia, kiedy przyniosłaś mi wodę, a przecież nie sama woda mnie ocaliła, lecz moc rąk, które ją podały.

Mówiąc to na chwilę obrócił jej dłonie wnętrzem do góry i przyjrzał się im uważnie. Potem odwrócił się, przeszedł kilka kroków i znowu stanął przed nią.

— Naprawdę myślisz, że są martwi? Twoje serce wie lepiej. Oni nie umierają. Są mroczni i nigdy nie umierają, i nienawidzą światła: przelotnego, jasnego płomyka naszej śmiertelności. Są nieśmiertelni, ale nie są bogami. Nigdy nie byli. Niegodni są czci okazywanej im przez choćby jedną ludzką duszę.

Słuchała z otwartymi szeroko oczyma, wpatrzona w migoczący płomyk latarni.

— Czy dali ci coś kiedykolwiek, Tenar?

— Nie — szepnęła.

— Nie mają nic do dania. Nie mają mocy tworzenia. Wszystkie ich siły służą zaciemnianiu, niszczeniu. Nie mogą opuścić tego miejsca… Oni są tym miejscem i im należy je zostawić. Nie można zaprzeczyć ich istnieniu ani o nich zapomnieć, ale nie wolno ich czcić. Ziemia jest piękna, jasna i dobra, ale to nie wszystko. Ziemia jest także straszna, ciemna i okrutna. Ginący królik krzyczy wśród zielonych łąk. Góry zaciskają potężne dłonie, pełne ukrytego ognia. W morzu żyją rekiny, w oczach ludzi nienawiść. A gdzie ludzie oddają temu cześć, tam kwitnie zło, powstają miejsca całkowicie oddane Tym, których zwiemy Bezimiennymi: pradawnym, potężnym siłom Ziemi sprzed nadejścia Światła, siłom ciemności, zniszczenia i szaleństwa… Myślę, że już dawno pozbawili rozumu twoją kapłankę, Kossil. Myślę, że wiele razy przeszukiwała te groty tak, jak przeszukuje labirynt własnego umysłu, a teraz nie potrafi już zobaczyć światła dnia. Powiedziała ci, że Bezimienni są martwi… Tylko stracona dusza, stracona dla prawdy, może w to uwierzyć. Oni istnieją. Ale nie są twoimi Władcami. Nigdy nie byli. Jesteś wolna, Tenar. Nauczono cię być niewolnicą, lecz wyrwałaś się na swobodę.

Siedziała zasłuchana. Nie powiedział ani słowa więcej. Milczeli, lecz to milczenie było inne niż cisza, jaka panowała w komnacie przed jej przyjściem. Teraz wypełniały ją ich oddechy, płynąca w żyłach krew, skwierczenie świecy w cynowej latarni… Mikroskopijne, żywe dźwięki.

— Jak to się stało, że znasz moje imię? Krogulec spacerował tam i z powrotem. Rozprostowywał ramiona i barki, by strząsnąć z siebie paraliżujący chłód.

— Znać imiona to mój zawód. Moja sztuka. Rozumiesz, żeby

upleść czar wokół czegoś, trzeba znać prawdziwe tego imię. W krajach, skąd przybyłem, przez całe życie ukrywamy nasze imiona przed wszystkimi prócz tych, którym ufamy całkowicie. Wielka bowiem siła i wielkie niebezpieczeństwo tkwi w imieniu. Kiedyś, u zarania czasu, gdy Segoy wydźwignął z głębin oceanu wyspy Ziemiomorza, wszystkie rzeczy nosiły swoje prawdziwe imiona. I wszystkie czary, cała magia, zależą od znajomości, poznania na nowo, pamiętania tego prawdziwego, pradawnego języka Tworzenia. Naturalnie, są zaklęcia, których się trzeba nauczyć, są sposoby używania słów. Trzeba też rozumieć ich konsekwencje. Ale swe życie mag poświęca poznawaniu imion *rzeczy* i poznawaniu sposobów poznawania imion rzeczy.

— A jak poznałeś moje?

Patrzył na nią przez chwilę — głębokie, czyste spojrzenie poprzez dzielący ich mrok. Wahał się.

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Jesteś jak latarnia: przykryta, schowana w ciemnym miejscu. A jednak światło lśni. Oni nie mogą go zgasić, nie mogą cię ukryć. Kiedy dostrzegłem to światło, kiedy poznałem ciebie, wtedy znałem twoje imię. Więcej nie mogę powiedzieć. Ale ty powiedz: co teraz zrobisz?

— Nie wiem.

— Kossil na pewno już wie, że grób jest pusty. Co zrobi?

— Nie wiem. Jeśli wrócę, może kazać mnie zabić. Dla Najwyższej Kapłanki kłamstwo to śmierć. Jeśli zechce, może złożyć mnie w ofierze na stopniach Tronu. Tym razem Manan będzie musiał naprawdę uciąć mi głowę, zamiast po prostu podnieść miecz i czekać, aż Czarna Postać go powstrzyma. Tym razem jej nie będzie.

Miecz spadnie i odetnie mi głowę.

Mówiła powoli, głuchym głosem. Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Jeżeli zostaniemy tu dłużej — powiedział — oszalejesz, Tenar. Gniew Bezimiennych ciąży na twoich myślach. Moich także. Teraz jest lepiej… Dużo lepiej, od kiedy przyszłaś. Ale długo byłem sam i zużyłem większą część swojej mocy. Nikt samotny nie zdoła się długo opierać Siłom Ciemności. Są potężne.

Umilkł. Jego glos ścichł, jakby mówiący stracił nagle wątek. Przesunął dłonią po czole i raz jeszcze napił się z manierki. Potem ułamał kawałek chleba, usiadł na skrzyni naprzeciw niej i zaczął jeść.

Mówił prawdę. Czuła jakiś ciężar napierający na jej umysł, zaciemniający, gmatwający każdą myśl, każde uczucie. Mimo to nie bała się tak jak wtedy, gdy samotnie przemierzała korytarze. Jedynie absolutna cisza na zewnątrz komnaty wydawała się straszna. Dlaczego? Nigdy przedtem nie lękała się ciszy podziemi. Lecz nigdy przedtem nie była nieposłuszna, nigdy nie sprzeciwiła się Bezimiennym.

Roześmiała się niewesoło.

— Siedzimy tutaj na największym skarbie Imperium — powiedziała. — Król-Bóg oddałby wszystkie swoje żony, by móc stąd zabrać choć jedną skrzynię. A my nawet nie uchyliliśmy pokrywy, żeby popatrzeć.

— Ja to zrobiłem — odparł Krogulec żując chleb.

— Po ciemku?

— Zrobiłem trochę światła. Niby-światła. To było trudne. Byłoby trudne nawet gdybym miał swoją laskę. Bez niej przypominało rozpalanie ognia z mokrego drzewa w czasie deszczu. W końcu jednak dokonałem tego. I znalazłem to, po co przyszedłem.

Podniosła wolno głowę i spojrzała na niego.

— Pierścień?

— Pół pierścienia. Ty masz drugą połowę.

— Ja? Druga połowa zaginęła…

— I została odnaleziona. Nosiłem ją na łańcuchu na szyi. Zabrałaś mija i spytałaś, czy nie stać mnie na lepszy talizman. Jedyny talizman lepszy od potowy Pierścienia Erreth-Akbego to cały Pierścień. Ale cóż, lepszy rydz niż nic, jak powiadają. Teraz więc ty masz moją połowę, a ja twoją.

Posłał jej uśmiech poprzez mrok skarbca.

— Powiedziałeś wtedy, że nie będę wiedziała, co z nim zrobić.

— I tak było.

— A ty wiesz? Kiwnął głową.

— Powiedz mi. Powiedz, czym jest ten Pierścień i jak odnalazłeś zagubioną część, i jak dotarłeś tutaj, i dlaczego. Muszę to wiedzieć, a wtedy może dowiem się, co powinnam uczynić.

— Może się dowiesz. Bardzo dobrze. Czym jest Pierścień Erreth-Akbego? No cóż, jak sama widzisz, nie wygląda na cenny i chyba nawet nie jest Pierścieniem Jest za duży. Może raczej bransoleta, ale na to z kolei jest chyba za mały. Żaden z ludzi nie wie, dla kogo został zrobiony. Nosiła go Elfarran Piękna, zanim wyspa Solea znikła pod falami morza; już wtedy był stary. W końcu trafił do rąk Erreth-Akbego… Wykuty jest z litego srebra i ma dziewięć otworów. Na zewnętrznej powierzchni wyryte są jakby fale, a wewnątrz dziewięć Run Mocy. Na tej połowie, która jest u ciebie, są cztery runy i kawałek piątej, na mojej podobnie. Pęknięcie przeszło dokładnie przez symbol i zniszczyło go. To właśnie ten znak nazywano od owego czasu Zaginioną Runą. Pozostałe osiem znane jest Magom: runa Pirr, chroniąca od szaleństwa, wiatru i ognia. Runa Gęś, która daje wytrzymałość. I tak dalej. Ale pęknięta runa była tą, która wiązała państwa. To była Runa Więzi, symbol panowania i pokoju. Żaden władca nie mógł rządzić dobrze, jeśli nie rządził pod jej znakiem. Nikt nie wie, jak należy ją pisać. Od kiedy zaginęła, w Havnorze nie było

wielkich królów. Byli książęta i tyrani, były kłótnie i wojny między krajami Ziemiomorza. Mądrzy władcy i Magowie Archipelagu pragnęli więc Pierścienia Erreth-Akbego, by odtworzyć Zaginioną Runę. W końcu jednak przestali wysyłać ludzi na poszukiwania, gdyż nikt nie potrafił odzyskać jednej części, która spoczywała w Grobowcach Atuanu, a druga, którą Erreth-Akbe podarował kargijskiemu władcy, zaginęła bardzo dawno temu. Twierdzili, że nic dobrego z tych poszukiwań nie wynika. Działo się to setki lat temu.

Zastanowił się.

— Potem ja się pojawiłem. Kiedy byłem tylko trochę starszy niż ty teraz, prowadziłem… pościg, rodzaj łowów na morzu. Ten, którego ścigałem, zwiódł mnie i zostałem wyrzucony na pustą wysepkę, niezbyt odległą od brzegów Karego-At i Atuanu, na południe i na zachód stąd. To była mała wyspa, niewiele większa od ławicy piasku. W środkowej części miała podłużne, porośnięte trawą wydmy, źródło słonawej wody i nic więcej. A jednak żyło tam dwoje ludzi: stary mężczyzna i kobieta, brat z siostrą, jak przypuszczam. Bali się mnie. Nie widzieli twarzy innego człowieka przez… jak długo? Lata, dziesiątki lat. Ale byłem w potrzebie, a oni byli dla mnie dobrzy. Mieli chatę z drzewa wyrzuconego przez fale i mieli ogień. Staruszka przyniosła mi jedzenie, małże zbierane na skałach w czasie odpływu i suszone mięso morskich ptaków, które zabijali rzucając w nie kamieniami. Bała się, ale nakarmiła mnie. Potem, kiedy nie robiłem nic, co mogłoby ją wystraszyć, nabrała do mnie zaufania i pokazała swój skarb. Ona także miała swój skarb… To była mała sukienka. Cała z jedwabiu, wyszywana perłami. Sukienka małego dziecka, sukienka księżniczki. Sama miała na sobie niewyprawione focze futro.

Nie mogliśmy rozmawiać. Wtedy nie znałem jeszcze mowy kargijskiej, a oni żadnego spośród języków Archipelagu, a i własny dość słabo. Ktoś musiał ich przywieźć na tę wyspę, gdy byli małymi dziećmi i zostawić tam na śmierć. Nie wiem dlaczego i wątpię, by oni sami wiedzieli. Znali tylko wyspę, wiatr i morze. Ale kiedy odpływałem, ona dała mi prezent. Dała mi zaginioną połowę Pierścienia Erreth-Akbego.

Przerwał na chwilę.

— Nie wiedziałem, co to jest, ani ona nie wiedziała. Najwspanialszy dar tej ery, a dała go głupia kobieta w foczej skórze tępemu prostakowi, który wepchnął go do kieszeni, mruknął „Dzięki” i odpłynął… Tak więc wyruszyłem i zrobiłem, co miałem do zrobienia. Potem zająłem się innymi sprawami, podążyłem na Smocze Stado, na zachód i jeszcze dalej. Cały czas jednak miałem ten przedmiot przy sobie. Czułem bowiem wdzięczność dla starej kobiety, która dała mi jedyną rzecz, jaką miała do ofiarowania. Przeciągnąłem łańcuch przez otwór, powiesiłem na szyi i więcej o tym nie myślałem. Aż pewnego

dnia, na Selidorze, Najdalszej Wyspie, w krainie, gdzie tocząc bój ze smokiem Ormem zginął Erreth-Akbe… Otóż na Selidorze rozmawiałem ze smokiem, jednym z rodu Orma. On mi powiedział, co noszę. Wydało mu się bardzo zabawne, że tego nie wiem. Smoki uważają nas za śmiesznych. Ale pamiętają Erreth-Akbego; mówią o nim tak, jakby był smokiem, nie człowiekiem. Kiedy wróciłem na Wyspy Wewnętrzne, trafiłem w końcu do Havnoru. Urodziłem się na Goncie, który leży niezbyt daleko od waszych krain, i sporo wędrowałem od tego czasu. Wreszcie przyszła kolej na Havnor. Zobaczyłem białe wieże, mówiłem z wielkimi ludźmi, kupcami i książętami, władcami pradawnych dziedzin. Powiedziałem im, co posiadam. Powiedziałem, że jeśli zechcą, wyruszę szukać w Grobowcach Atuanu brakującej części Pierścienia, by znaleźć Zaginioną Runę, klucz do pokoju. Nie skąpili mi pochwał, a jeden z nich dał nawet pieniądze na zaopatrzenie łodzi. Nauczyłem się więc twojego języka i przybyłem na Atuan. Zamilkł spoglądając w ciemność.

— Czy ludzie w naszych miastach nie rozpoznali w tobie człowieka Zachodu? Twoja skóra, twój język…

— Och, łatwo jest oszukać ludzi — odparł niedbale. — Wystarczy znać odpowiednie sztuczki. Zmieniasz się z pomocą iluzji i za jej zasłoną nie rozpozna cię nikt z wyjątkiem innego maga. A wy tutaj, w krajach Kargadu, nie macie czarnoksiężników ani magów. To dziwne. Wypędziliście ich dawno temu i zakazaliście praktykowania Sztuki Magii, a teraz prawie w nią nie wierzycie.

— Nauczono mnie w nią nie wierzyć. To przeczy naukom Królów-Kapłanów. Ale wiem, że tylko czary mogły doprowadzić cię do Grobowców i przez bramę w czerwonej skale.

— Nie tylko czary. Także dobra rada. Jak sądzę, częściej od was używamy pisma. Czy umiesz czytać?

— Nie. Czytanie to jeden z czarnych kunsztów. Kiwnął głową.

— Ale użyteczny — stwierdził. — Jakiś dawny, pechowy złodziej pozostawił opis Grobowców Atuanu, a także instrukcje dotyczące wejścia, wystarczające dla kogoś, kto potrafi użyć jednego z Wielkich Zaklęć Otwierania. Wszystko było opisane w księdze leżącej w skarbcu księcia Havnoru. Pozwolił mi ją przeczytać. I tak doszedłem aż do wielkiej groty…

— Do Podgrobia.

— Złodziej, który opisał drogę, sądził, że skarb jest właśnie tam, w Podgrobiu. Tam więc szukałem, choć miałem przeczucie, że musi być ukryty lepiej, głębiej wśród korytarzy. Znalazłem wejście do Labiryntu i wszedłem tam, kiedy cię zobaczyłem. Myślałem, że się . schowam i poszukam Pierścienia. To byt błąd, oczywiście. Bezimienni pochwycili mnie już i zmącili moje myśli. Od tego czasu stawałem się

coraz słabszy i coraz głupszy. Nie można się im poddawać, trzeba stawiać opór tak, by duch pozostawał wciąż silny i pewny. Tego nauczyłem się już dawno. Ale to trudne tutaj, gdzie są tak potężni. Oni nie są bogami, Tenar, lecz są silniejsi od każdego z ludzi. Przez długi czas oboje siedzieli w milczeniu.

— Co jeszcze znalazłeś w skrzyniach? — zapytała stłumionym głosem.

— Śmiecie. Złoto, klejnoty, korony, miecze… Nic, do czego miałby prawo ktokolwiek z żywych. Powiedz, Tenar, jak zostałaś wybrana na Kapłankę Grobowców?

— Kiedy umiera Pierwsza Kapłanka, wyruszają, żeby w całym Atuanie szukać dziewczynki urodzonej w dniu jej śmierci. I zawsze znajdują. Dlatego, że to jest Odrodzona Kapłanka. Kiedy skończy pięć lat, przywożą ją tutaj, do Miejsca. A kiedy skończy sześć, zostaje oddana Bezimiennym, a oni pożerają jej duszę. Wtedy już do nich należy, jak należała od zarania dziejów. I nie ma imienia.

— Wierzysz w to?

— Zawsze wierzyłam.

— Czy wierzysz w to teraz?

Nie odpowiedziała. Znów zapadła cisza.

— Opowiedz mi… — rzekła po długiej chwili. — Opowiedz mi o smokach na zachodzie.

— Tenar, co zamierzasz uczynić? Nie możemy tu siedzieć i opowiadać sobie historii, aż wypali się świeca i znowu zapadną ciemności.

— Nie wiem, co robić. Boję się. — Siedziała wyprostowana na kamiennej skrzyni, mocno splatała palce i mówiła głośno jak ktoś, kto cierpi. — Boję się ciemności.

— Musisz dokonać wyboru — powiedział miękko. — Albo mnie zostawisz, zamkniesz drzwi, wrócisz do swoich ołtarzy i oddasz mnie swoim władcom… Wtedy powinnaś pójść do kapłanki Kossil i zawrzeć z nią pokój. To będzie koniec tej historii. Albo musisz otworzyć drzwi i wyjść razem ze mną. Opuścić Grobowce, opuścić Atuan i ruszyć ze mną przez morze. I to będzie dopiero początek. Będziesz Arhą albo będziesz Tenar. Nie możesz być obiema.

Głęboki głos zdawał się delikatny, lecz brzmiał pewnie. Spojrzała poprzez mrok na jego twarz, surową i poznaczoną bliznami, w której jednak nie było okrucieństwa ani fałszu.

— Jeżeli porzucę służbę Ciemnych Sił, zabiją mnie. Jeżeli opuszczę to miejsce, umrę.

— Ty nie umrzesz. Umrze Arha.

— Nie mogę…

— Aby się odrodzić, trzeba umrzeć, Tenar. To nie takie trudne, gdy na to spojrzeć z drugiej strony.

— Oni nie pozwolą nam wyjść. Nigdy.

— Może nie. Jednak warto spróbować. Ty masz wiedzę, ja umiejętności, a między nami jest… Przerwał.

— Jest Pierścień Erreth-Akbego.

— Tak, on także. Myślałem jednak o czymś innym. Nazwijmy to zaufaniem… To jedna z jego nazw. Choć każde z nas z osobna jest słabe, mając je jesteśmy silni, silniejsi od Mocy Ciemności. — Oczy jaśniały mu czystym blaskiem na pooranej bliznami twarzy. — Posłuchaj mnie, Tenar — powiedział. — Przyszedłem tu jako złodziej, wróg, uzbrojony przeciw tobie. Ty okazałaś mi litość i zaufałaś mi. Ja ufałem ci, odkąd pierwszy raz zobaczyłem twoją twarz, przez jedną chwilę, w grocie pod Grobowcami, jakże piękną pośród ciemności. Ty pokazałaś, że mi ufasz. Ja nic w zamian nie uczyniłem. Ofiaruję ci to, co mogę ci ofiarować. Moje prawdziwe imię brzmi Ged. Teraz należy do ciebie.

Wstał i wyciągnął ku niej półokrąg z rzeźbionego srebra.

— Niech Pierścień znów się połączy.

Wzięła kawałek metalu z jego dłoni. Zsunęła z szyi srebrny łańcuch, na którym wisiała druga potowa. Rozpięła go. Trzymała teraz na dłoni obie części. Brzegi pęknięcia stykały się i Pierścień wyglądał, jakby był jedną całością.

Nie podniosła głowy.

— Pójdę z tobą — rzekła.

10. Gniew ciemności

Kiedy to powiedziała, mężczyzna imieniem Ged położył dłoń na jej ręce trzymającej pęknięty talizman. Spojrzała zaskoczona i spostrzegła, że uśmiecha się upojony tryumfem i życiem. Nagle poczuta się zmieszana i przestraszona.

— Uwolniłaś nas oboje — powiedział. — Samotnie nikt nie wywalczy wolności. Dalej więc, nie marnujmy czasu, jaki nam pozostał. Potrzymaj go jeszcze przez chwilę.

Zamknęła w dłoni oba kawałki srebra, ale na jego prośbę wyciągnęła rękę. Krawędzie złamania stykały się.

Nie wziął Pierścienia, lecz położył na nim palce i wymówił kilka słów. Pot zalał mu twarz. Poczuła, że na dłoni coś zadrżało jej delikatnie, jak gdyby poruszyło się śpiące tam zwierzątko. Ged odetchnął, odprężył się i otarł czoło.

— Już — powiedział wkładając Pierścień Erreth-Akbego na palce jej prawej ręki. Potem przesunął go przez dłoń, na nadgarstek. — Tutaj. — Przyjrzał się z satysfakcją. — Pasuje. To musiała być bransoleta kobiety albo dziecka.

— Będzie się trzymał? — szepnęła nerwowo czując, jak delikatna i chłodna srebrna obręcz przesuwa się po jej szczupłej ręce.

— Będzie. Nie mogłem dla Pierścienia Erreth-Akbego wykorzystać zwykłego uroku reperacji, jak wiejska czarownica naprawiająca garnek. Musiałem użyć Zaklęcia Wzorców i uczynić go całością. Teraz jest cały, tak jakby nigdy nie byt złamany. Tenar, musimy stąd odejść. Przyniosę sakwę i manierkę. Okryj się płaszczem. Coś jeszcze? Kiedy męczyła się z zamkiem, dodał:

— Szkoda, że nie mam mojej laski. A ona, wciąż szeptem, odparła:

— Leży zaraz za drzwiami. Przyniosłam ją.

— Dlaczego to zrobiłaś? — zdziwił się.

— Myślałam, że… że zaprowadzę cię do wyjścia. Że pozwolę ci odejść.

— Tego uczynić nie mogłaś. Mogłaś zatrzymać mnie tu, w niewoli i sama pozostać niewolnicą albo uwolnić mnie i odejść wolna wraz ze mną. Dalej, maleńka, odwagi. Przekręć klucz.

Obróciła klucz z piórem w kształcie smoka i otworzyła drzwi na niski, ciemny korytarz. Potem wyszła ze Skarbca Grobowców Atuanu, niosąc na ręku Pierścień Erreth-Akbego. Mężczyzna ruszył za nią.

Drżenie poruszyło skalnymi ścianami, podłogą i sklepieniem, zbyt niskie, wręcz niesłyszalne. Było jak odległy grzmot, jak upadek czegoś ogromnego bardzo daleko stąd.

Włosy zjeżyłyjej się na głowie; bez zastanowienia, bez chwili

wahania zdmuchnęła świecę w maleńkiej latarni. Z tyłu, za sobą, usłyszała jego kroki.

— Zostaw latarnię — powiedział spokojnym głosem. Stał tak blisko, że czuła jego oddech na włosach. — W razie potrzeby będziemy mieli światło. Która godzina jest teraz na górze?

— Kiedy tu przyszłam, północ dawno minęła.

— A więc trzeba iść.

Nie poruszył się jednak. Zrozumiała, że musi go prowadzić. Ona jedna znała drogę do wyjścia z Labiryntu; czekał, by iść za nią. Ruszyła pochylona, gdyż korytarz był bardzo niski. Utrzymywała równe, całkiem dobre tempo. Z niewidocznych odgałęzień tunelu czuła zimne tchnienie: ostry, wilgotny powiew pustki kryjącej się po obu stronach. Potem korytarz stał się wyższy i mogła się wyprostować.

Szła teraz trochę wolniej. Liczyła kroki, gdyż zbliżali się do przepaści. Ged podążał tuż za nią, szybkonogi, zważający na wszelkie jej poruszenia. Kiedy się zatrzymała, w tej samej chwili on stanął także.

— Tu jest przepaść — szepnęła. — Nie mogę znaleźć krawędzi. O, jest. Bądź ostrożny, kamienie chwieją się chyba coraz bardziej. Nie, nie, czekaj… Ten się rusza. — Odstąpiła na bezpieczną odległość, gdy kamień zadrżał jej pod stopami. Mężczyzna chwycił ją za ramię i przytrzymał. Serce biło jej mocno. — Krawędź nie jest bezpieczna. Kamienie się obluzowały.

— Zrobię trochę światła i obejrzę. Może właściwe słowo zdoła je związać. Nie martw się, maleńka.

Pomyślała, że to dziwne: nazywał ją tak samo, jak Manan. A kiedy na końcu swej laski zapalił maleńką iskierkę, podobną do drzazgi próchna albo gwiazdy za mgłą, i wszedł na wąską dróżkę obok czarnej otchłani, zobaczyła jakiś kształt wyłaniający się z ciemności. Wiedziała wtedy, że to Manan. Głos zamarł jej w krtani, jakby ściśniętej pętlą. Nie potrafiła krzyknąć.

Kiedy Manan wyciągał ręce, by zepchnąć Geda z niepewnej półki w przepaść, ten odwrócił głowę, .dostrzegł go i z krzykiem zaskoczenia, a może wściekłości, wyciągnął laskę w jego stronę. Na ów krzyk prosto w twarz eunucha rozbłysło światło, białe i nie do zniesienia. Manan uniósł dłoń, by osłonić oczy, rozpaczliwie próbował jeszcze pochwycić Geda, chybił i runął w dół.

Nie krzyczał, gdy spadał. Z czarnej otchłani nie doleciał ani jego głos, ani dźwięk uderzającego o dno ciała. Żaden odgłos oznaczający śmierć, nic. Ged i Tenar klęczeli nieruchomo niebezpiecznie blisko brzegu, tuż przy krawędzi. Nasłuchiwali; nie słyszeli niczego.

Światło zmieniło się w ledwie widoczny szary punkcik.

— Chodź — powiedział Ged wyciągając rękę. Chwyciła ją. Trzema szybkimi krokami przeprowadził ją nad przepaścią i zgasił

światło. Znowu ruszyła przodem. Była oszołomiona, nie mysiata o niczym. Dopiero po pewnym czasie zastanowiła się: teraz w prawo czy w lewo? Zatrzymała się.

— Co się stało? — zapytał cicho, przystając kilka kroków za nią.

— Zgubiłam się. Zapal światło.

— Zgubiłaś?

— Ja… straciłam rachubę zakrętów.

— Ja liczyłem — powiedział podchodząc bliżej. — Zakręt w lewo zaraz za przepaścią, potem w prawo i jeszcze raz w prawo.

— Więc następny znowu będzie w prawo — stwierdziła automatycznie, lecz nie ruszyła się z miejsca. — Zapal światło.

— Światło nie wskaże nam drogi, Tenar.

— Nic jej nie wskaże. Jesteśmy zgubieni! Martwa cisza zamknęła w sobie i pochłonęła jej szept. Poczuła ruch tuż obok siebie, w lodowatej czerni. Ged odszukał i ujął jej dłoń.

— Idź, Tenar. Na następnym zakręcie w prawo.

— Zapal światło — poprosiła. — Tunele są takie kręte.

— Nie mogę. Nie mogę tracić siły. Tenar, oni są… Oni wiedzą, że opuściliśmy Skarbiec. Wiedzą, że jesteśmy za przepaścią. Szukają nas, szukają naszej woli, naszego ducha, chcą go stłumić i pochłonąć. Muszę go podtrzymywać; na to zużywam całą swoją moc. Z twoją pomocą muszę ich powstrzymać. Musimy iść dalej.

— Stąd nie ma wyjścia — odpowiedziała, lecz zrobiła krok do przodu, potem następny, z wahaniem, jakby za każdym razem pod jej stopami otwierała się pustka. Czuła na ręce jego dłoń, ciepłą i silną. Szli naprzód.

Po bardzo długim, zdawało się, czasie doszli do schodów. Stopnie niewiele szersze od nacięć w skale nigdy przedtem nie wydawały się tak strome. Pokonali je jednak, a potem ruszyli szybciej, gdyż pamiętała, że w tym kolistym korytarzu na długim odcinku nie ma żadnych rozgałęzień. Po chwili palce, dotykające ściany po lewej stronie, natrafiły na otwór — wylot korytarza biegnącego w lewo.

— Tutaj — szepnęła.

On jednak jakby próbował ją powstrzymać, jakby coś w jej ruchach budziło wątpliwości.

— Nie — szepnęła zmieszana. — Nie ten. To następny zakręt w lewo. Nie wiem. Nie potrafię. Stąd nie ma wyjścia.

— Idziemy do Malowanej Komnaty — odezwał się z ciemności jego spokojny głos. — Jak tam trafić?

— Następny zakręt w lewo.

Prowadziła. Za jednym ze ślepych korytarzy zatoczyli długi łuk, aż do prawego odgałęzienia wiodącego do Malowanej Komnaty.

— Prosto — szepnęła. Orientacja w ciemności była teraz łatwiejsza, gdyż znała drogę do żelaznych wrót i setki razy przeliczała

jej zakręty. Dziwny ciężar, jaki odczuwała, nie przeszkadzał, póki nie starała się myśleć. Jednak przez cały czas zbliżali się do tego, co jej ciążyło, co przytłaczało. Zmęczone nogi stawały się tak ciężkie, że poruszając nimi raz czy dwa jęknęła z wysiłku. Idący obok mężczyzna oddychał głęboko i co chwila wstrzymywał oddech jak ktoś, kto dokonuje czynu pochłaniającego całą energię. Czasem ostrym, choć przyciszonym głosem rzucał jakieś słowo czy fragment słowa. Tak dotarli do żelaznych wrót i wtedy z nagłym przerażeniem wyciągnęła przed siebie rękę.

Wrota stały otworem.

— Prędko — powiedziała i przeciągnęła przez nie czarodzieja. Potem, już po drugiej stronie, zatrzymała się.

— Dlaczego są otwarte? — spytała.

— Ponieważ twoi Władcy potrzebują twoich rąk, by je dla nich zamknęły.

— Dochodzimy do… — Jej głos załamał się.

— Do ośrodka ciemności. Wiem. Wyszliśmy jednak z Labiryntu. Gdzie są wyjścia z Podgrobia?

— Jest tylko jedno. Drzwi, przez które tu przyszedłeś, nie otwierają się od wewnątrz. Droga prowadzi przez grotę i w górę, do klapy za Tronem. W Sali Tronu.

— Więc musimy pójść tamtędy.

— Ale ona tam jest — szepnęła. — Tam, w Podgrobiu. W grocie. Rozkopuje pusty grób. Nie przejdę obok niej, nie potrafię przejść jeszcze raz…

— Na pewno już odeszła.

— Nie mogę tam iść.

— Tenar, w tej chwili podtrzymuję sklepienie nad naszymi głowami. Podtrzymuję ściany, by nie runęły na nas, i grunt, by nie rozstąpił się nam pod nogami. Robię to odkąd przekroczyliśmy Otchłań, gdzie czekał na nas sługa ciemności. Jeśli ja mogę powstrzymać trzęsienie ziemi, to czy ty lękasz się w mojej obecności spotkać jedną ludzką duszę? Zaufaj mi, Tenar, jak ja ci zaufałem. Chodź ze mną.

Ruszyli.

Nieskończony tunel rozszerzył się. Wyczuli przed sobą większą przestrzeń, głębszą ciemność — weszli do wielkiej groty pod Kamieniami Grobowymi. Zaczęli ją okrążać trzymając się ściany po prawej ręce. Tenar przeszła tylko kilka kroków i stanęła.

— Co się dzieje? — szepnęła. Słowa z trudem wydobywały się z krtani.

W ogromnej, martwej czarnej bańce powietrza powstał jakiś hałas, drżenie, dźwięk słyszany poprzez krew, wyczuwany przez kości. Wyrzeźbione przez czas ściany drżały i wibrowały pod jej palcami.

— Idź — męski głos był suchy, pełen napięcia. — Szybciej, Tenar. A gdy potykając się szła dalej, wykrzyknęła w głębi swej duszy ciemnej i drżącej jak ta podziemna krypta: „Przebaczcie mi. O moi Władcy, o nie nazwani, pradawni, wybaczcie mi, wybaczcie!” Nie było odpowiedzi. Nigdy nie było odpowiedzi. Dotarli do przejścia pod Salą, wspięli się na schody, podeszli do ostatnich stopni i do klapy. Była zamknięta, zawsze zostawiała ją zamkniętą. Nacisnęła sprężynę zamka. Bez efektu.

— Coś się stało — stwierdziła. — Jest zamknięta. Czarodziej wyminął dziewczynę i naparł na klapę ramieniem. Nawet nie drgnęła.

— Nie jest zamknięta, ale przyciśnięta czymś ciężkim.

— Możesz ją otworzyć?

— Być może. Myślę, że ona tam czeka. Czy ktoś z nią będzie?

— Duby i Uahto; może jacyś inni dozorcy. Mężczyznom nie wolno tam wchodzić…

— Nie mogę równocześnie rzucać czaru otwierania, powstrzymywać ludzi, którzy tam czekają i opierać się woli ciemności — oświadczył spokojnie, rozważając sytuację. — Musimy więc spróbować drugiego wyjścia: tej bramy w skałach, przez którą tu wszedłem. Czy ona wie, że od środka nie można jej otworzyć?

— Wie. Raz dała mi spróbować.

— Mogła ją zatem pominąć. Chodźmy. Zeszła po schodach, które drżały i wibrowały, jak gdyby w głębinach pod nimi ktoś szarpał cięciwę olbrzymiego łuku.

— Co to jest… te drgania?

— Chodź — odparł głosem tak pełnym siły i pewności, że posłuchała i powlokła się w dół, schodami i korytarzami, z powrotem do budzącej grozę jaskini.

U wejścia przygniótł ją ciężar strasznej, ślepej nienawiści, wielki jak ciężar samej ziemi. Skulona krzyknęła, nie wiedząc nawet, że krzyczy:

— Oni są tutaj! Są tutaj!

— A więc niech wiedzą, że i my tu jesteśmy — rzekł Ged, a z jego palców i laski trysnęły białe promienie, załamujące się na tysiącach diamentów w sklepieniu i w ścianach, jak światło słońca załamuje się na morskiej fali: gloria blasku, w której pędzili na przełaj przez grotę. Ich cienie biegły ku białym ornamentom, jaśniejącym szczelinom, ku pustej, rozkopanej mogile. Przebiegli przez niskie przejście, potem pochyleni wzdłuż tunelu, ona pierwsza, on tuż za nią. Skały dudniły i kołysały się. Wciąż jednak towarzyszyło im jaskrawe światło. Kiedy zobaczyła przed sobą ślepą, skalną ścianę, poprzez grzmot ziemi usłyszała jego głos, wypowiadający jedno tylko słowo. A gdy osunęła się na kolana, wyciągnął laskę ponad jej głową i uderzył w czerwony głaz zamkniętej bramy. Skaty błysnęły bielą, jakby stanęły w ogniu. I

rozstąpiły się.

Za nimi było szarzejące przed świtem niebo, na którym lśniło jeszcze kilka zimnych, bladych gwiazd.

Tenar dostrzegła je, poczuła na twarzy delikatny dotyk wiatru. Nie podniosła się jednak. Pozostała skulona na kolanach, podparta na rękach, zawieszona pomiędzy ziemią a niebem.

Mężczyzna — dziwna, ciemna postać rysująca się słabo w szarym blasku przedświtu — odwrócił się i ujął jej ramię, by ją podnieść. Twarz miał czarną i wykrzywioną jak demon. Odsunęła się od niego i krzyknęła obcym, grubym głosem, jakby w jej ustach poruszał się martwy język:

— Nie! Nie! Nie dotykaj mnie… Zostaw… Odejdź! Zaczęła się czołgać: byle dalej od niego, ku rozkruszonej jamie Grobowców.

Silny uścisk jego palców osłabł.

— Na więź, którą nosisz, Tenar, przyzywam cię! — powiedział spokojnym głosem.

W srebrnym pierścieniu na ręce dostrzegła gwiazdy i nie spuszczając z nich wzroku chwiejnie wstała. Wsunęła palce w dłoń mężczyzny. Nie mogła uciekać. Ruszyli w dół zbocza. Spomiędzy skał, z czarnego otworu, który za sobą zostawili, dobiegło długie, przeciągłe wycie, pełne nienawiści i rozpaczy. Wokół osuwały się kamienie, drżała ziemia. Szli dalej, ona wciąż wpatrzona w odbicie światła gwiazd na swej ręce.

Dotarli do mrocznej kotliny na zachód od Miejsca. Zaczęli wspinać się w górę, gdy nagle kazał jej się obejrzeć.

— Spójrz…

Odwróciła się i zobaczyła. Byli po drugiej stronie kotliny, na poziomie Kamieni Grobowych, dziewięciu wielkich monolitów wznoszących się nad grotą diamentów i mogił. Stojące Kamienie poruszały się, kołysały i kładły powoli jak maszty okrętów. Jeden z nich zatrząsł się i jakby wzniósł do góry, potem zadrżał i runął. Inny upadł na niego. Za nimi kołysał się niski, czarny w żółtym blasku wschodzącego słońca, dach Sali Tronu. Wybrzuszały się ściany. Cala ta wielka masa kamieni i zaprawy zapadała się w siebie, aż wśród huku i deszczu odłamków przechyliła na bok i runęła. Powierzchnia kotliny marszczyła się i drżała; coś jakby fala przepłynęło w górę zbocza. Wśród Kamieni, odsłaniając skrytą za nimi czerń, rozwarta się szeroka szczelina, z której niby szary dym wznosiły się kłęby kurzu. Stojące jeszcze Kamienie runęły w nią i zniknęły. Wtedy z hukiem, który zdawał się odbijać echem od samego nieba, zamknęły się czarne brzegi szczeliny. Wzgórze drgnęło raz jeszcze i nastał spokój.

Tenar odwróciła wzrok od grozy trzęsienia ziemi i spojrzała na stojącego obok mężczyznę, którego twarzy nie widziała jeszcze w świetle dnia.

— Ty to zatrzymałeś — powiedziała. Po ogłuszającym wyciu i ryku ziemi jej głos był cichy jak wiatr wśród trzcin. — Powstrzymałeś trzęsienie ziemi, gniew ciemności.

— Musimy iść dalej — odparł, odwracając się od wschodzącego słońca i leżących w gruzach Grobowców. — Jestem zmęczony… Zimno mi…

Potknął się, więc wzięła go za rękę. Zdolni byli jedynie wolno powłóczyć nogami. Jak dwa małe pająki na wysokim murze, z mozołem pokonali szerokie zbocze. Na wierzchołku stanęli na suchym gruncie, ozłoconym promieniami wschodzącego słońca i przecinanym rzadkimi pasmami cienia rzucanego przez rosnącą tu bylicę. Przed nimi wznosiły się zachodnie góry ze stopami w purpurze i szczytami w złocie. Oboje przystanęli na chwilę, po czym, tracąc z oczu Miejsce Grobowców, przekroczyli grzbiet i zniknęli.

11. Zachodnie góry

Tenar z całych sil wyrywała się z nocnego koszmaru, z miejsc, po których chodziła tak długo, że opadło z niej dato i widziała podwójne kości swych ramion połyskujące słabo w mroku. Otworzyła oczy i poczuła silny zapach ziół. Ogarnęło ją dziwnie słodkie uczucie, rozkosz wolno i całkowicie wypełniająca umysł, aż w końcu się przelała i Tenar usiadła wyciągając ramiona w czarnych rękawach. Rozejrzała się dookoła z wszechogarniającym zachwytem.

Był wieczór. Słońce kryło się za górami, które wyrastały wysokie i bliskie; lecz poświata rozjaśniała jeszcze ziemię i niebo: nieskończone zimowe niebo i nieskończony, nagi, złocisty kraj szczytów i szerokich dolin. Wiatr zamarł. Panował chłód i absolutna cisza. Nic się nie poruszało. Liście niskich zarośli byty wyschnięte i szare, źdźbła drobnych, wysuszonych ziół kłuty jej dłoń. Niepojęta, milcząca gloria światła płonęła na każdej gałązce, pomarszczonym liściu i łodyżce, na wzgórzach i w powietrzu.

Spojrzała w lewo. Mężczyzna leżał na ziemi owinięty płaszczem, z ramieniem pod głową. Spał mocno. Jego twarz we śnie była surowa, niemal gniewna; lecz lewa dłoń spoczywała na ziemi obok małego ostu, wciąż przybranego w podartą opończę szarego puszku, wciąż jeżącego swą żałosną osłonę kolców i cierni. Człowiek i maleńki pustynny oset; oset i śpiący człowiek…

Jego moc należała do tego rodzaju i była równie wielka, jak potęga Pradawnych Sit Ziemi; to on byt tym, który rozmawiał ze smokami i słowem wstrzymywał trzęsienia ziemi. A teraz leżał uśpiony, a maty oset rósł przy jego dłoni. To niezwykłe. Normalne życie okazało się czymś o wiele wspanialszym i bardziej zdumiewającym, niż mogła sobie wyobrazić. Przepych nieba dotknął jego zakurzonych włosów i na chwilę przemienił oset w złoto.

W miarę jak światło dnia gasło, chłód stawał się coraz bardziej przenikliwy. Tenar wstała i zaczęła zbierać suche krzewy, podnosić opadłe gałązki i odłamywać twarde pędy, które w swojej skali wyrosły tak sękate i masywne jak konary dębów.

Zatrzymali się tutaj około południa, gdy było jeszcze ciepło. Zmęczenie nie pozwoliło im iść dalej. Kilka skarłowaciałych jałowców i zachodni stok grzbietu, z którego zeszli, dawały wystarczającą osłonę. Wypili trochę wody z manierki, położyli się i usnęli.

Pod niskimi drzewami leżały grubsze gałęzie. Zebrała kilka, wygrzebała niewielką jamę w zakątku między przysypanymi ziemią kamieniami, ułożyła drewno i skrzesała iskrę. Wyschnięte liście i drobne gałązki zajęły się od razu. Potem suche gałęzie rozkwitły pachnącym żywicą jasnym płomieniem. Zdawało się, że dalej od ognia

jest już zupełnie ciemno; na przepastnym niebie znowu pojawiły się gwiazdy.

Trzask płomieni przebudził śpiącego. Usiadł, przetarł rękami brudną twarz, potem wstał sztywno i podszedł do ognia.

— Nie jestem pewien… — zaczął sennie.

— Wiem, ale bez ognia nie przetrwamy nocy. Jest za zimno. — A po chwili dodała: — Chyba że znasz jakieś czary, które by nas ogrzały albo ukryły płomienie…

Usiadł tuż przy ogniu i splótł ręce na kolanach.

— Brr! — Zadrżał. — Ogień jest o wiele lepszy od czarów. Stworzyłem dookoła drobną iluzję; gdyby ktoś tędy przechodził, wydamy mu się patykami i kamieniami. Jak sądzisz, będą nas ścigać?

— Boję się tego, ale nie przypuszczam, by próbowali. Nikt prócz Kossil nie wiedział o twojej obecności. Kossil i Manana. Oboje nie żyją. Ona z pewnością była w Sali, gdy ta runęła. Czekała przy klapie. A inni, cala reszta, myśli pewnie, że byłam w Sali albo przy Grobowcach, i zginęłam podczas trzęsienia ziemi. — Także objęła ramionami kolana i zadrżała. — Mam nadzieję, że inne budynki ocalały. Ze wzgórza trudno było coś zobaczyć w tym kurzu. Na pewno nie wszystkie domy i świątynie są zniszczone. W Wielkim Domu sypiały dziewczęta.

— Chyba tylko Grobowce pochłonęły same siebie. Kiedy odchodziliśmy, zauważyłem złoty dach jakiejś świątyni. Stała jeszcze. A na wzgórzu widziałem uciekających ludzi.

— Co powiedzą, co sobie pomyślą… Biedna Penthe! Pewnie zostanie teraz Najwyższą Kapłanką Boga-Króla. A przecież to ona zawsze chciała stąd uciec, nie ja. Może teraz ucieknie… — Tenar uśmiechnęła się. Wypełniała ją radość, której nie mogła przytłumić żadna myśl smutna czy ponura; ta sama radość, którą odczuła budząc się w złotym blasku. Otworzyła sakwę i wyjęła dwa małe, płaskie bochenki. Jeden podała Gedowi, w drugi wgryzła się sama. Chleb był twardy, kwaśny i bardzo smaczny.

Przez chwilę przeżuwali w milczeniu.

— Jak daleko jesteśmy od morza?

— Dwa dni i dwie noce trwało, zanim tu dotarłem. Powrót zajmie nam więcej czasu.

— Jestem silna — oświadczyła.

— Jesteś. I dzielna. Ale twój towarzysz podróży jest zmęczony — odparł z uśmiechem. — I nie mamy już chleba.

— Czy znajdziemy wodę?

— Jutro, w górach.

— A czy możesz zdobyć dla nas jedzenie? — spytała niepewnie i nieśmiało.

— Polowanie wymaga czasu. I broni.

— Myślałam, wiesz, że czarami…

— Mógłbym przywołać królika — mruknął, grzebiąc w ognisku krzywą gałęzią jałowca. — Wszędzie wokół nas króliki wychodzą teraz ze swoich jam. Wieczór to ich pora. Mógłbym zawołać któregoś jego imieniem i przyszedłby. Ale czy potrafiłabyś zabić, obedrzeć ze skóry i ugotować królika, którego przywołałaś w ten sposób? Mnie wydaje się to nadużyciem zaufania.

— Owszem. Myślałam, że mógłbyś po prostu…

— Sprowadzić kolację? — dokończył. — Och, mógłbym. Na złotych półmiskach, jeśli masz ochotę. Ale to iluzja, a jedząc iluzje człowiek kończy bardziej głodny, niż kiedy zaczynał. To równie posilne jak jedzenie własnych stów. — Widziała, jak w mroku błysnęły jego białe zęby.

— Dziwna jest twoja magia — stwierdziła z godnością, należną w rozmowie między równymi sobie, gdy Kapłanka przemawia do Maga. — Można odnieść wrażenie, że nadaje się tylko do wielkich spraw.

Dołożył drewna do ognia i płomienie rozbłysły pachnącymi jałowcem fajerwerkami iskier i trzasków.

— Naprawdę potrafisz przywołać królika? — spytała nagle Tenar.

— Chcesz, żebym to zrobił? Kiwnęła głową.

Odwrócił się plecami do ognia i zawołał cicho w niezmierzony, rozświetlony gwiazdami mrok:

— *Kebbo… Okebbo…*

Cisza. Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu. Ale po chwili, na samym skraju kręgu światła ogniska, zobaczyła: okrągłe oko jak czarny kamyk, tuż przy ziemi. Krzywizna kosmatego grzbietu; ucho, długie, uniesione, czujne.

Ged przemówił znowu. Ucho drgnęło, nagle z cienia wynurzyło się drugie. Tenar przez moment widziała zwierzątko w całości, gdy odwracało się, by cichym, zgrabnym susem powrócić do swoich nocnych spraw. — Ojej — zawołała wypuszczając oddech. — Jak ślicznie! Czyja też mogłabym to zrobić? — zainteresowała się.

— Cóż…

— To pewnie sekret — domyśliła się.

— Sekretem jest imię królika. A przynajmniej nie należy się nim posługiwać bez powodu. Ale moc przywoływania nie jest tajemnicą. Raczej darem czy może talentem.

— Aha. I ty ją posiadasz. Wiem! — W jej głosie brzmiała pasja, źle skrywana pod udawaną ironią.

Ged spojrzał na nią, ale nie odpowiedział.

Naprawdę był jeszcze bardzo zmęczony starciem z Bezimiennymi; zużył swe siły w dygocących tunelach. Zwyciężył wprawdzie, ale nie

miał ochoty na radość. Po chwili zwinął się znowu jak najbliżej ogniska i zasnął.

Tenar dokładała do ognia i wpatrywała się w lśnienie jaśniejących od horyzontu po horyzont zimowych gwiazdozbiorów. Wreszcie jej głowa stała się ciężka od wspaniałości nieba i ciszy. Zapadła w drzemkę.

Zbudzili się oboje. Ogień zgasł. Gwiazdy, na które patrzyła, lśniły teraz ponad szczytami gór, a nowe wznosiły się od wschodu. To chłód ich obudził, suche zimno pustynnej nocy, wiatr niby lodowe ostrze. Z południowego zachodu nadciągała zasłona chmur.

Drewno wypaliło się niemal do końca.

— Chodźmy — rzekł Ged. — Wkrótce będzie świtać. Szczękał zębami tak, że z trudem go rozumiała. Ruszyli, wspinając się długim zboczem ku zachodowi. Krzaki i kamienie były czarne w świetle gwiazd i szło się łatwo jak w dzień. Po chwili, rozgrzani marszem, przestali dygotać. Szli z większą swobodą. O wschodzie słońca stanęli u stóp gór, które do tej chwili niby mur zamykały życie Tenar.

Zatrzymali się w zagajniku drzew, których złote, drżące liście wciąż lgnęły do gałęzi. Ged powiedział, że to osiki. Dotąd znała tylko jałowce i słabowite topole rosnące przy źródłach rzeki, i jeszcze czterdzieści jabłoni z sadu Miejsca. Jakiś ptaszek wśród gałęzi wołał cienko: dii, dii. Pod drzewami płynął wąski, lecz bystry strumyk, szumiący, przelewający się po kamieniach i progach zbyt szybko, by zamarznąć. Tenar niemal się go bała. Przyzwyczaiła się do pustyni, gdzie wszystko było wielkie i poruszało się wolno: leniwe rzeki, cienie chmur, krążące w górze sępy.

Na śniadanie podzielili między siebie resztki chleba i ostatni, zaschnięty kawałek sera. Odpoczęli chwilę i ruszyli dalej.

Wieczorem byli już wysoko. Chmury zasnuły niebo, wiat wiatr i było zimno. Na noc zatrzymali się w dolinie innego strumienia, gdzie było dość drzewa. Tym razem rozpalili duże ognisko, przy którym mogli się grzać aż do rana.

Tenar była szczęśliwa. Znalazła zapasy wiewiórki, odsłonięte upadkiem drzewa, w którym była dziupla: kilka funtów orzechów o gładkich skorupkach, które Ged — nie znając kargijskiego słowa — nazywał *ubir*. Rozbijała je na płaskim kamieniu i podawała mu co drugi.

— Chciałabym, żebyśmy tu zostali — oznajmiła spoglądając na krętą, pogrążoną w mroku kotlinę. — Podoba mi się tutaj.

— To dobre miejsce — przyznał.

— Ludzie nigdy by tu nie przyszli.

— Nieczęsto… Urodziłem się w górach — powiedział. — Na Górze Gontu. Miniemy ją, płynąc do Havnoru, jeśli wybierzemy szlak północny. Zimą jest piękna. Wyrasta z morza cała biała, niby wielka

fala. Moja wioska leżała nad takim właśnie strumieniem. A ty, Tenar, gdzie się urodziłaś?

— W północnej części Atuanu, w Entat. Tak sądzę. Nie pamiętam.

— Byłaś taka mała, kiedy cię zabrali?

— Miałam pięć lat. Pamiętam ogień na kominku i… i nic więcej. Potarł dłonią szczękę, na której pojawiły się wprawdzie zaczątki rzadkiej brody, lecz przynajmniej była czysta; mimo zimna oboje myli się w górskich potokach. Patrzył na nią w zamyśleniu i z powagą. Przyglądała mu się wiedząc, że nigdy nie zdołałaby wypowiedzieć tego, co miała w sercu — tutaj, gdy siedziała obok niego w blasku ogniska, o zmierzchu wśród gór.

— Co będziesz robić w Havnorze? — spytał, zwracając się do ognia, nie do niej. — Jesteś naprawdę odrodzona, bardziej niż zdawałem sobie sprawę.

Skinęła głową z lekkim uśmiechem. Czuła się jak narodzona na nowo.

— Powinnaś przynajmniej nauczyć się języka.

— Twojego języka?

— Tak.

— Chciałabym.

— Dobrze. To jest *kabat* — rzucił jej na kolana maty kamyk.

— Kabat. Czy to w smoczej mowie?

— Nie, nie. Przecież nie chcesz rzucać zaklęć, tylko rozmawiać z ludźmi.

— Ale jak się nazywa kamyk w mowie smoków?

— *Tolk* — odparł. — Ale nie chcę z ciebie robić początkującego czarownika. Uczę cię mowy, jakiej używają w Archipelagu, w Wewnętrznych Krainach. Ja też musiałem poznać twój język, zanim tu przybyłem.

— W dziwny sposób go używasz.

— Na pewno. Teraz *arkemmi kabat* — i wyciągnął rękę, by podała mu kamyk.

— Czy muszę płynąć do Havnoru?

— Gdzie jeszcze mogłabyś pójść, Tenar? Zawahała się.

— Havnor to piękne miasto — zapewnił. — A ty przyniesiesz mu Pierścień, znak pokoju. Powitają cię tam jak księżniczkę. Będą cię szanować z wdzięczności za wspaniały dar, jaki im ofiarujesz, będą cię witać i gościć. Mieszkają tam ludzie szlachetni i wielkoduszni.

Dla twojej jasnej skóry nazwą cię Białą Panią i będą kochać jeszcze bardziej, ponieważ jesteś tak młoda. I tak piękna. Dostaniesz setki sukni podobnych do tej, którą ci pokazałem w iluzji, tyle tylko że prawdziwych. Czeka cię szacunek, wdzięczność i miłość. Ciebie, która znałaś jedynie samotność, zazdrość i mrok.

— Był przecież Manan — zaprotestowała i wargi jej zadrżały. —

Kochał mnie i zawsze był dla mnie dobry. Chronił mnie najlepiej jak potrafił, a ja go zabiłam; spadł w czarną otchłań. Nie chcę płynąć do Havnoru. Ani nigdzie. Chcę zostać tutaj.

— Tutaj? Na Atuanie?

— W górach. Tu, gdzie jesteśmy.

— Tenar — powiedział swym poważnym, spokojnym głosem. — Zostaniemy, jeśli chcesz. Nie mam noża, a jeśli spadnie śnieg, będzie ciężko. Ale dopóki można znaleźć coś do jedzenia…

— Nie. Wiem, że nie możemy zostać. Jestem głupia. — Tenar wstała, rozrzucając skorupki orzechów. Dołożyła drew do ogniska i stanęła wyprostowana, szczupła w swej podartej, brudnej szacie i czarnym płaszczu. — Wszystko, co wiem, na nic mi się już nie przyda — stwierdziła. — A niczego innego nie potrafię. Spróbuję się nauczyć.

Ged odwrócił głowę i skrzywił się, jakby z bólu.

Następnego dnia przekroczyli grzbiet górskiego pasma. Wiatr dął mocno, niosąc kłujące zimnem, oślepiające płatki śniegu. Dopiero gdy zeszli w dół po przeciwnej stronie, z dala od śnieżnych chmur wokół szczytów, Tenar po raz pierwszy zobaczyła ziemię poza ścianą gór. Była zielona zielenią sosen, zielenią trawiastych równin, obsianych pól i ugorów. Nawet w środku zimy, gdy gąszcze stały nagie, a w lesie królowały szare gałęzie, była to kraina zielona, łagodna i przyjazna. Przyglądali się jej z wysoka, stojąc na stromym, skalistym zboczu. Ged bez słowa wyciągnął rękę na zachód, gdzie za kłębowiskiem chmur opadało słońce. Nie było go widać, lecz na horyzoncie dostrzegła jakiś blask, podobny trochę do oślepiającego lśnienia kryształowych ścian Podgrobia — jakby radosne migotanie na skraju świata.

— Co to jest? — spytała dziewczyna, a on odpowiedział:

— Morze.

Wkrótce miała zobaczyć je z bliska, już nie tak piękne, lecz jak na jej oczekiwania wystarczająco wspaniałe.

Dotarli do drogi i poszli wzdłuż niej. Doprowadziła ich do wioski — dziesięciu czy dwunastu chatek stojących przy szlaku. Tenar z lękiem spojrzała na swego towarzysza, gdyż zdała sobie sprawę, że wchodzą pomiędzy ludzi. Spojrzała i nie dostrzegła go. Obok niej, w ubraniu Geda, w jego butach, jego krokiem sunął inny mężczyzna. Nie miał brody, a jego skóra była biała. Kiedy na nią popatrzył, zauważyła, że ma niebieskie oczy. Mrugnął porozumiewawczo.

— Uda się ich oszukać? — spytał. — Co powiesz na swoje ubranie?

Spojrzała na siebie. Miała na sobie brązową spódnicę i bluzę wieśniaczki, a do tego szeroki, czerwony wełniany szal.

— Och — zawołała zdumiona. — Ty jesteś… jesteś Ged! I kiedy wypowiedziała jego imię, zobaczyła go wyraźnie: ciemną, poznaczoną

bliznami, znajomą twarz, ciemne oczy… A jednak obok stał obcy o skórze jak mleko.

— Nie wymawiaj przy ludziach mego prawdziwego imienia. Ja nie wypowiem twojego. Jesteśmy bratem i siostrą. Przybywamy z Tenacbah. Kiedy zauważymy jakąś życzliwą twarz, poproszę chyba o kolację.

Wziął ją za rękę i razem weszli do wioski.

Opuścili ją rankiem z pełnymi brzuchami i wypoczęci po nocy spędzonej na stryszku.

— Czy magowie często żebrzą? — zapytała Tenar.

Droga wiodła między zielonymi łąkami, gdzie pasły się kozy i małe łaciate krowy.

— Czemu pytasz?

— Zdawało mi się, że znasz się na żebraniu. Prawdę mówiąc, szło ci to całkiem dobrze.

— Właściwie tak. Jeśli spojrzeć na to od tej strony, to żebrałem przez całe życie. Magowie nie posiadają zbyt wiele. Podczas wędrówki praktycznie nic, prócz swojej laski i ubrania. Większość ludzi przyjmuje ich chętnie i karmi. Zwykle dają coś w zamian.

— Co?

— No, na przykład ta kobieta we wsi. Wyleczyłem jej kozy.

— A co im było?

— Obie miały zakażone wymiona. Pasałem kozy, gdy byłem ma-tym chłopcem.

— Powiedziałeś jej, że je wyleczyłeś?

— Nie. Jak mógłbym? I po co?

— Widzę — stwierdziła po chwili milczenia — że twoja magia nadaje się nie tylko do rzeczy wielkich.

— Gościnność… — odparł — uprzejmość okazana obcemu to rzecz wielka. Naturalnie, wystarczyłoby podziękować. Ale żal mi było kóz.

Po południu dotarli do sporego miasteczka. Zbudowane było z cegły i otoczone murem na sposób kargijski, z przewieszonymi blankami, wieżami strażniczymi w czterech rogach i jedną tylko bramą, przez którą poganiacze przepędzali duże stado owiec. Czerwone dachy stu lub więcej domów wystawały zza murów z żółtawej cegły. Przy bramie stało dwóch strażników w hełmach z czerwonymi pióropuszami sług Boga-Króla. Ludzi w takich hełmach Tenar widywała mniej więcej raz do roku, gdy eskortowali niewolników lub złoto składane w darze dla świątyni Boga-Króla. Gdy przechodzili obok zewnętrznych murów, powiedziała o tym Godowi.

— Ja też ich widziałem, jako chłopiec — odparł. — Przybyli do mojej wsi, by ją splądrować. Odpędzono ich. Potem była bitwa pod Armouth; wielu ludzi zginęło, podobno setki. Cóż, może teraz, gdy

Pierścień jest cały i Zaginiona Runa odtworzona, nie będzie już napadów i walk między Imperium Kargadu a Wewnętrznymi Krainami.

— Byłoby głupio, gdyby takie rzeczy ciągle się powtarzały — stwierdziła Tenar. — Zresztą, co mógłby zrobić Bóg-Król z taką masą niewolników?

Jej towarzysz zastanawiał się przez chwilę.

— To znaczy, gdyby Wyspy Kargadu podbiły Archipelag? Przytaknęła.

— Nie sądzę, by to mogło się zdarzyć.

— Ale popatrz tylko, jak potężne jest Imperium, jak wielkie to miasto ze swymi murami i wszystkimi ludźmi. Jak twoje ziemie mogłyby się obronić, gdyby zostały zaatakowane?

— To nie jest bardzo wielkie miasto — stwierdził ostrożnie i delikatnie. — Mnie też wydało się olbrzymie wtedy, kiedy dopiero co zszedłem ze swojej góry. Ale w Ziemiomorzu jest wiele, wiele miast, przy których to jest zaledwie mieściną. Jest wiele, bardzo wiele wysp. Zobaczysz je, Tenar.

Nie odpowiadała. Kroczyła sztywno z zaciśniętymi ustami.

— To wspaniały widok, gdy nowe wyspy wynurzają się z morza, a twoja łódź zbliża się do nich. Pola i lasy, miasta z portami i pałacami, targi, gdzie sprzedają towary z całego świata.

Skinęła głową. Wiedziała, że chce jej dodać odwagi, ale cała jej radość pozostała w górach, w tamtej cienistej dolince nad strumieniem. Teraz czuła lęk narastający z każdą chwilą. Wszystko, co ją czekało, było nieznane. Znała tylko pustynię i Grobowce. Co jej z tego przyjdzie? Pamiętała zakręty w zrujnowanym Labiryncie, tańce przed ołtarzem, który runął. Nie wiedziała nic o lesie, miastach, o sercach mężczyzn.

— Czy zostaniesz tam ze mną? — spytała nagle. Nie patrzyła na niego. Nie chciała go widzieć w iluzorycznym przebraniu wieśniaka. Lecz jego głos pozostał taki sam jak wtedy, gdy odzywał się do niej z ciemności Labiryntu.

Odpowiedział nie od razu.

— Tenar, idę tam, gdzie zostałem posłany. Podążam za głosem, który mnie wzywa. Nie pozwolił mi jeszcze pozostać na długo w jednym miejscu. Rozumiesz? Robię to, co muszę robić. Tam, gdzie idę, muszę iść sam. Zostanę przy tobie w Havnorze, dopóki będę ci potrzebny. Jeśli potem będziesz mnie kiedyś potrzebować, zawołaj. Przybędę. Choćbym miał wstać z grobu, przyjdę na twoje wezwanie, Tenar. Ale nie mogę z tobą zostać.

Milczała.

— Niedługo przestanę ci być potrzebny — stwierdził po chwili. — Będziesz tam bardzo szczęśliwa.

Kiwnęła głową, pogodzona z losem i milcząca. Ramię przy ramieniu szli w stronę morza.

12. Podróż

Ukrył łódź w jaskini na brzegu skalistego cypla, zwanego Chmurnym Przylądkiem przez miejscowych, z których jeden dal im na kolację miskę duszonej ryby. W ostatnich blaskach szarego dnia zeszli urwiskiem na sam brzeg. Jaskinia była wąską szczeliną sięgającą jakieś trzydzieści stóp w głąb skaty, wysypaną piaskiem — wilgotnym, gdyż dno leżało tuż powyżej poziomu przypływu. Wylot jaskini był widoczny z morza i Ged uznał, że nie powinni palić ognia, by rybacy w swoich małych łódkach nie dostrzegli go i nie zainteresowali się nimi. Leżeli więc na piasku, miękkim pod palcami, lecz dla zmęczonego ciała twardym jak kamień. Tenar słuchała, jak morze huczy i pluszcze wśród kamieni, ledwie o kilka sążni od wylotu jaskini, jak grzmi wzdłuż plaży ciągnącej się całe mile na wschód. Raz za razem powtarzały się te same, a jednak nie takie same odgłosy. Morze nigdy nie odpoczywało. U wszystkich brzegów wszystkich wysp na całym świecie wznosiło się niespokojną falą, nigdy nie ustającą, zawsze w ruchu. Pustynia i góry trwały nieruchomo, milczące. Morze zaś mówiło bez przerwy, lecz jego język był dla niej obcy. Nie rozumiała go.

Przebudziła się z niespokojnego snu o pierwszym szarym brzasku dnia i zobaczyła, że czarownik wychodzi z jaskini. Patrzyła, jak idzie na brzeg: bosy, w płaszczu spiętym pasem, pomiędzy głazy porośnięte czarnym włosem mchu. Szukał czegoś. Po chwili wrócił i stanął w wejściu, rzucając cień na jaskinię.

— Masz — powiedział, podając jej garść mokrych, obrzydliwych przedmiotów podobnych do purpurowych kamieni o pomarańczowych wargach.

— Co to jest?

— Małże, ze skał. A te dwie to ostrygi, jeszcze lepsze. Popatrz, trzeba tak… — Podważył muszlę małym sztyletem z jej kółka na klucze i zjadł pomarańczowego małża w sosie z morskiej wody.

— Nawet ich nie gotujesz? Zjadłeś go żywcem!

Nie mogła patrzeć, jak — zakłopotany, lecz nie zniechęcony — jedną po drugiej otwiera muszle i wyjada mięczaki.

Kiedy skończył, wszedł do groty i zajął się łodzią. Leżała dziobem na zewnątrz, podtrzymywana przez kilka wyrzuconych przez fale kloców. Tenar przyjrzała się jej poprzedniego dnia, nieufnie i bez zrozumienia. Łódź była o wiele większa, niż jej zdaniem być powinna, długości potrojonego wzrostu Tenar. Pełno w niej było przedmiotów, o których zastosowaniu dziewczyna nie miała pojęcia. I wyglądała groźnie. Po obu stronach przedniej części (nazywał ją dziobem) wymalowano oko i śpiąc niespokojnie cały czas miała wrażenie, że

łódź na nią patrzy.

Ged poszperał wewnątrz i po chwili wrócił niosąc paczkę twardego chleba, zapakowanego szczelnie, by nie zamókł. Podał jej spory kawałek.

— Nie jestem głodna. Spojrzał na jej ponurą twarz.

Odłożył chleb, zawijając go równie dokładnie, po czym siadł u wylotu jaskini.

— Mamy jeszcze dwie godziny do najwyższego przypływu — stwierdził. — Potem możemy odbijać. Nie wyspałaś się w nocy, więc może teraz się zdrzemniesz?

— Nie jestem śpiąca.

Nie odpowiedział. Siedział bokiem do niej, ze skrzyżowanymi nogami pod ciemnym łukiem skały; za nim było lśniące kołysanie i ruch morza, które obserwowała z głębi jaskini. Nie poruszał się. Był jak same kamienie. Spokój promieniował od niego niby koliste fale od kamyka rzuconego w wodę. Jego milczenie wydawało się nie zwyczajnym brakiem słów, lecz czymś, co istnieje samo w sobie, jak milczenie pustyni.

Po długim czasie Tenar wstała i zbliżyła się do wylotu jaskini.

Nie drgnął nawet. Spojrzała mu w twarz. Była jak odlana z miedzi: sztywna, ciemne oczy otwarte, ze wzrokiem wbitym w ziemię, zaciśnięte usta.

Byt równie nieosiągalny jak morze.

Gdzie teraz przebywał, którą drogą podążał jego duch? Nigdy nie będzie mogła z nim wyruszyć.

A jednak zmusił ją, by za nim poszła. Zawołał ją jej imieniem i wybiegła do jego ręki, jak ten dziki pustynny królik, który wyszedł z ciemności. A teraz miał już Pierścień, Grobowce leżały w gruzach, a ich kapłanka została przeklęta na wieki. Teraz już jej nie potrzebował i odszedł tam, gdzie nie może za nim podążyć. Oszukał ją i zostawi samą.

Wyciągnęła rękę i szybkim ruchem wysunęła zza jego pasa maty stalowy sztylet, który mu dała. Mężczyzna pozostał nieruchomy, niby okryty szatami posąg.

Ostry z jednej strony sztylet miał tylko cztery cale długości; był miniaturą noża ofiarnego. Stanowił część stroju Kapłanki Grobowców i musiała go nosić razem z kółkiem na klucze, pasem z końskiego włosia i innymi przedmiotami; nikt nie wiedział, do czego służą niektóre z nich. Używała sztyletu wyłącznie podczas jednego z tańców, jakie wykonywała przed Tronem o nowiu: podrzucała go do góry i chwytała. Lubiła ten taniec, dziki rytm wybijany stopami o podłogę. Z początku kaleczyła sobie palce i dopiero po pewnym czasie nauczyła się chwytać zawsze za rękojeść. Niewielka klinga była dość ostra, by przeciąć ciało aż do kości albo rozciąć arterie szyjne. Może jeszcze

posłużyć swym Władcom, choć ją zdradzili i porzucili. Pokierują jej dłonią w tym ostatnim dziele ciemności. Przyjmą ofiarę.

Stanęła przed mężczyzną, unosząc sztylet do wysokości biodra. Wtedy on wolno podniósł głowę i spojrzał. Wyglądał jak ktoś, kto wrócił z daleka i widział rzeczy straszne. Jego twarz pozostała spokojna, choć malował się na niej ból. Kiedy patrzył, zdawało się, że widzi ją coraz wyraźniej i z wolna odzyskuje świadomość.

— Tenar — powiedział w końcu, jakby na powitanie, wyciągnął rękę i dotknął obręczy rzeźbionego srebra na jej nadgarstku. Zrobił to, jakby chciał się uspokoić… Ufnie. Jakby nie widział sztyletu w jej dłoni. Potem odwrócił wzrok ku falom kołyszącym się między skałami w dole.

— Czas nadszedł — rzekł z wysiłkiem. — Pora ruszać. Jego głos sprawił, że gniew ją opuścił. Czuła już tylko lęk.

— Zostawiasz ich, Tenar. Odchodzisz na wolność — powiedział i wstał z nieoczekiwanym wigorem. Przeciągnął się i spiął płaszcz pasem. — Pomożesz mi przy łodzi. Stoi na klocach, posłużą za rolki. O tak, pchaj… Jeszcze raz. Już, już, wystarczy. Bądź gotowa wskoczyć do środka, kiedy tylko zawołam. Nie jest łatwo z tego miejsca spuścić łódź na wodę. Teraz uwaga! Wskakuj! — Skoczył zaraz za nią, przytrzymał, by nie straciła równowagi i usadził na dnie. Sam stanął przy wiosłach i mocnymi pchnięciami wyprowadził łódź na grzbiecie fali odpływu ponad skalami poza ryczący, spieniony pas wód, na morze.

Gdy znaleźli się daleko od przybrzeżnej płycizny, wciągnął wiosła i postawił maszt. Teraz, gdy Tenar była w środku, a morze dookoła, łódź wydawała się bardzo mała.

Ged wciągnął żagiel. Osprzętu używano najwyraźniej od dawna i w ciężkich warunkach, choć czerwony żagiel połatano z wielką starannością, a łódź była czysta i oporządzana. Przypominała swego pana: podróżowała daleko i po trudnych wodach.

— No… — odezwał się Ged. — Odpłynęliśmy, odeszliśmy, nie ma nas tam, Tenar. Czujesz to?

Czulą. Mroczna dłoń zwolniła uchwyt, w którym więziła ją przez cale życie. Nie odczuwała jednak takiej radości jak wtedy, w górach. Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała, a jej policzki były mokre i słone. Płakała nad latami, które zmarnowała służąc bezużytecznemu złu. Płakała z bólu, ponieważ była wolna.

Zaczynała dopiero poznawać ciężar swobody. Wolność to wielkie brzemię, niezwykłe i trudne do zrozumienia dla ducha. Nie jest łatwa. Nie jest darem otrzymanym, lecz dokonanym wyborem. I ten wybór wcale nie jest prosty. Droga wiedzie w górę, do światła, lecz zmęczony podróżnik może nigdy nie dotrzeć do jej końca.

Ged pozwolił jej płakać i nie próbował pocieszać. Kiedy łzy

obeschły, siedziała patrząc na niski błękitny ląd Atuanu. Wtedy także się nie odezwał. Twarz miał czujną i surową, jakby był tu sam; pilnował żagla i steru, poruszał się szybko i cicho, i wciąż patrzył przed siebie.

Kiedy minęło południe, wskazał dłonią trochę na prawo od słońca, ku któremu teraz płynęli.

— To jest Karego-At — oznajmił.

Tenar podążyła wzrokiem za jego ręką. Dostrzegła w dali wzgórza falujące niczym chmury na wielkiej wyspie Boga-Króla. Stracili już z oczu Atuan. Czuła dziwny ciężar na sercu. Słońce biło jej w oczy jak zloty młot.

Na kolację zjedli suchy chleb i suszoną wędzoną rybę, która Tenar wydała się obrzydliwa. Wodę pili z beczułki; Ged napełnił ją poprzedniego wieczoru ze strumyka na Chmurnym Przylądku. Zimowa, chłodna noc zapadła szybko. Daleko na północy widzieli drobne światełka, żółte ogniki w odległych nadbrzeżnych wioskach Karego-At. Zniknęły we mgle, jaka uniosła się nad wodą. Pozostali sami wśród bezgwiezdnej nocy nad głębiną wód.

Skuliła się na rufie; Ged leżał na dziobie, mając za poduszkę beczułkę z wodą. Łódź płynęła spokojnie, niewielkie fale uderzały o burty, choć wiatr stał się tylko lekkim tchnieniem z południa.

Tutaj, z dala od skalistych brzegów, morze także ucichło; tylko dotykając łodzi szemrało delikatnie.

— Jeśli wiatr wieje z południa — spytała Tenar szeptem, gdyż morze także szeptało — czy łódź nie powinna płynąć na północ?

— Tak, chyba żebyśmy halsowali. Ale wypełniłem żagiel magicznym wiatrem wiejącym na zachód. Jutro rano powinniśmy opuścić wody Kargadu. Wtedy pozwolę jej płynąć ze zwykłym wiatrem.

— Czy ona sama steruje?

— Tak — odparł z powagą Ged. — Jeśli otrzyma właściwe instrukcje. Nie potrzebuje ich wiele. Była już na otwartym morzu, poza najdalszą wyspą Wschodniej Rubieży; była na Selidorze, gdzie zginął Erreth-Akbe, na najdalszym Zachodzie. To mądra, piękna łódź, moje „Bystre oko”. Możesz jej zaufać.

Dziewczyna leżała nieruchomo w popychanej magią łodzi i wpatrywała się w ciemność ponad niezmierzoną głębiną. Przez całe życie wpatrywała się w ciemność, lecz ta noc na oceanie była potężniejsza. Nie miala kresu. Nie miała granic. Sięgała dalej niż gwiazdy. Nie kierowały nią żadne ziemskie Potęgi. Istniała przed światłem i będzie istniała po nim. Trwała, zanim powstało życie i będzie trwała, gdy ono się skończy. Była ponad wszelkie zło.

Tenar przemówiła z mroku:

— Ta mała wysepka, gdzie dano ci talizman… Czy leży na tym

morzu?

— Tak — odpowiedział z mroku jego głos. — Gdzieś. Może na południu. Nie mogłem jej odnaleźć.

— Wiem, kim była kobieta, która dała ci Pierścień.

— Wiesz?

— Znam tę historię. To część wiedzy Pierwszej Kapłanki. Thar mija opowiedziała, najpierw przy Kossil, a potem, dokładniej, kiedy jej nie było. Wtedy rozmawiała ze mną ostatni raz; potem umarła. W Hupun żył szlachetny ród, walczący przeciwko władzy Najwyższych Kapłanów w Awabath. Założycielem rodu był król Thoreg, a wśród skarbów, jakie pozostawił spadkobiercom, znajdowała się potowa pierścienia, którą podarował mu Erreth-Akbe.

— Rzeczywiście, tak właśnie jest powiedziane w „Czynach Erreth-Akbego". Mówi się tam… W twoim języku mówi się: „Kiedy Pierścień został złamany, połowa została w rękach Najwyższego Kapłana Intathina, połowa w dłoni bohatera. Najwyższy Kapłan posłał odłamaną część Bezimiennym, Pradawnym tej Ziemi, na Atuan, gdzie zniknęła w ciemności, w zapomnianych miejscach. Lecz Erreth-Akbe włożył swoją część w ręce Tiarach, córki mądrego króla, mówiąc: Niech pozostanie w jasności, w posagu panieńskim, niech pozostanie w tej ziemi, póki znów się nie połączy. Tak przemówił bohater, zanim odpłynął na zachód".

— Musiał więc przez wszystkie te lata przechodzić z córki na córkę tego rodu. Nie zaginął, jak sądzono. Lecz potem Najwyżsi Kapłani zmienili się w Kapłanów-Królów, a Kapłani-Królowie stworzyli Imperium i zaczęli nazywać się Bogami-Królami… A przez cały ten czas ród Thorega stawał się coraz biedniejszy i słabszy. W końcu, jak opowiadała mi Thar, pozostało tylko dwoje potomków Thorega, chłopiec i dziewczynka. Bóg-Król w Awabath był ojcem tego, który rządzi dzisiaj. Kazał wykraść dzieci z pałacu w Hupun. Lękał się, gdyż przepowiednia mówiła, że jeden ze spadkobierców Thorega spowoduje upadek Imperium. Porwał dzieci i przewiózł je na samotną wyspę gdzieś na środku morza. Tam je porzucił. Zostawił im tylko ubrania, które nosiły, i odrobinę żywności. Bał sieje zabijać czy to nożem, czy przez uduszenie, czy trucizną; pochodziły z królewskiego rodu, a królobójstwo ściąga klątwę nawet na bogów. Byli to Ensar i Anthil. I Anthil dała ci połowę złamanego Pierścienia.

Milczał przez długą chwilę.

— I tak historia staje się całością — powiedział w końcu. — Tak jak stał się całością Pierścień. Ale to okrutna historia, Tenar. Małe dzieci, ta wysepka, stary mężczyzna i kobieta, których widziałem… Prawie nie znali ludzkiej mowy.

— Chcę cię o coś prosić.

— Proś.

— Nie chcę płynąć do Wewnętrznych Krain, do Havnoru. Nie tam jest moje miejsce, nie w wielkich miastach wśród obcych ludzi. W żadnym kraju nie ma dla mnie miejsca. Zdradziłam swój lud i teraz nie należę do żadnego. I uczyniłam coś bardzo złego. Zostaw mnie na wyspie, jak zostawiono dzieci króla, na samotnej wyspie, gdzie nie żyją ludzie… Gdzie nie ma nikogo. Zostaw mnie i zabierz Pierścień do Havnoru. Należy do ciebie, nie do mnie. Ze mną nie ma nic wspólnego. Tak jak twój lud. Zostaw mnie samą!

Powoli i stopniowo, lecz zaskakując ją mimo to, pośród czerni niby maty księżyc zajaśniało światło: magiczne światło, płonące na jego rozkaz. Lśniło na końcu laski, którą trzymał pionowo, siedząc na dziobie zwrócony twarzą do Tenar. Oświetlało srebrzystym blaskiem dolną krawędź żagla, deski nadburcia i jego twarz. Patrzył prosto na nią.

— Jakie zło uczyniłaś, Tenar?

— Rozkazałam zamknąć trzech ludzi w komnacie pod Tronem, by zginęli. Umarli z głodu i pragnienia. Umarli i zostali pochowani w Podgrobiu. Kamienie Grobowe runęły na ich mogiły.

Umilkła.

— Czy jeszcze coś?

— Manan.

— Ta śmierć obciąża moją duszę.

— Nie. Zginął, ponieważ mnie kochał i był wierny. Myślał, że mnie chroni. Trzymał miecz nad moją głową. Kiedy byłam mała, zawsze był dobry… Kiedy płakałam… — Przerwała, gdyż łzy wezbrały w jej oczach, a nie chciała więcej płakać. Zaciskała dłonie na czarnych fałdach swej szaty. — Nigdy nie byłam dla niego dobra — powiedziała. — Nie popłynę do Havnoru. Nie chcę płynąć z tobą. Znajdź jakąś wyspę, gdzie nikt nie mieszka, wysadź mnie na niej i zostaw. Muszę zapłacić za zło. Nie jestem wolna. Między nimi migota} szary od morskiej mgły delikatny brzask.

— Posłuchaj, Tenar. Uważaj. Byłaś naczyniem zła, lecz zło zostało wylane. Już go nie ma. Leży we własnym grobie. Nie zostałaś stworzona do okrucieństw i mroku; istniejesz, by przechowywać światło, jak latarnia przechowuje je i oddaje. Odszukałem tę latarnię zgaszoną i nie zostawię jej na jakiejś pustej wyspie niczym coś, co się znajduje i wyrzuca. Zabiorę cię do Havnoru i powiem książętom Ziemiomorza: „Patrzcie! W siedlisku ciemności odnalazłem światło: jej duszę. Dzięki niej pradawne zło zmieniło się w nicość. Dzięki niej wyszedłem z grobu. Dzięki niej złamane stało się całością, a tam, gdzie była nienawiść, zapanuje pokój”.

— Nie — odparła z bólem Tenar. — Nie mogę. To nieprawda!

— A potem — mówił dalej — zabiorę cię od książąt i bogatych panów, gdyż to prawda, że nie ma tam dla ciebie miejsca. Jesteś zbyt

młoda i zbyt mądra. Zabiorę cię do mojego kraju, na Gont, gdzie się urodziłem, do mojego dawnego mistrza Ogiona. Jest już starcem, wielkim Magiem i człowiekiem spokojnego serca. Nazywają go Milczącym. Mieszka w małym domku na urwiskach Re Albi, wysoko ponad falami. Trzyma kilka kóz i ma mały ogródek. Jesienią wędruje samotnie po wyspie, po lesie i górach, wzdłuż dolin rzek. Mieszkałem z nim kiedyś, gdy byłem młodszy niż ty teraz. Nie zostałem długo… Nie miałem dość rozumu, by tam zostać. Wyruszyłem na poszukiwanie zła i znalazłem je, oczywiście… Ale ty przybywasz uciekając przed złem; szukasz wolności; szukasz ciszy potrzebnej ci, póki nie znajdziesz własnej drogi. Tam czeka cię spokój i cisza, Tenar. Tam latarnia może się palić z dala od wichrów. Pojedziesz tam?

— Tak — westchnęła. I po chwili dodała: — Och, chciałabym jak najszybciej… Żebyśmy mogli od razu tam płynąć…

— To nie potrwa długo, maleńka.

— Odwiedzisz mnie kiedyś?

— Gdy tylko będę mógł, przybędę.

Światło zgasło; wokół nich zaległa ciemność.

Po wielu wschodach i zachodach, po spokojnych dniach i lodowatych wichrach zimowej podróży, dotarli w końcu na Wewnętrzne Morze. Wśród wielkich statków przepłynęli zatłoczonymi kanałami aż do Cieśniny Ebavnor, do zatoki leżącej w samym sercu wyspy i przez nią do Wielkiego Portu Havnoru. Zobaczyli białe wieże i całe miasto białe i lśniące od śniegu. Białe płatki okrywały okapy nad mostami i czerwone dachy domów, a w zimowym słońcu połyskiwały lodem olinowania setki statków w porcie. Wieści o ich przybyciu wyprzedziły ich, gdyż połatany czerwony żagiel „Bystrego oka” znany był dobrze na tych wodach. Tłum zebrał się na ośnieżonym nabrzeżu, a kolorowe proporce trzepotały nad głowami w czystym, zimnym wietrze.

Tenar siedziała wyprostowana w swym wystrzępionym czarnym płaszczu. Z powagą spoglądała na Pierścień. Potem przeniosła wzrok na zatłoczony, wielobarwny brzeg, na pałace i wysokie wieże. Podniosła prawe ramię i słońce błysnęło w srebrze Pierścienia. Rozległy się radosne okrzyki, zimnym wiatrem niesione nad wodą. Ged podpłynął do brzegu. Rzucił cumę i setka rąk wyciągnęła się po nią. Zeskoczył na molo i odwrócił się.

— Chodź — powiedział z uśmiechem, a ona wstała i poszła. Z powagą szła obok niego białymi ulicami Havnoru, trzymając go za rękę, jak dziecko wracające do domu.

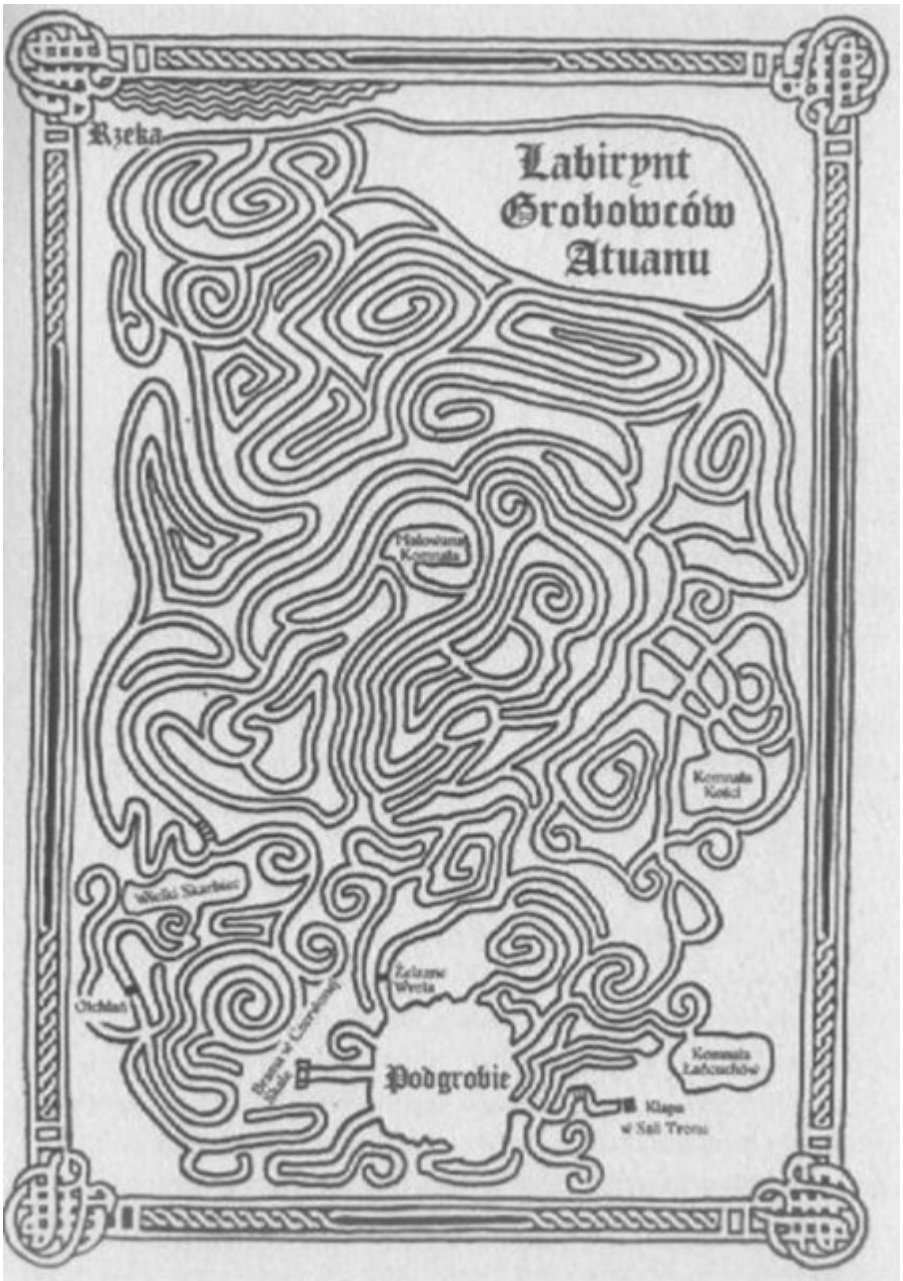
Rzeka
Labirynt Grobowców Atuanu
Podgrobie
Podgrobie
Klątwa w Sali Tronu

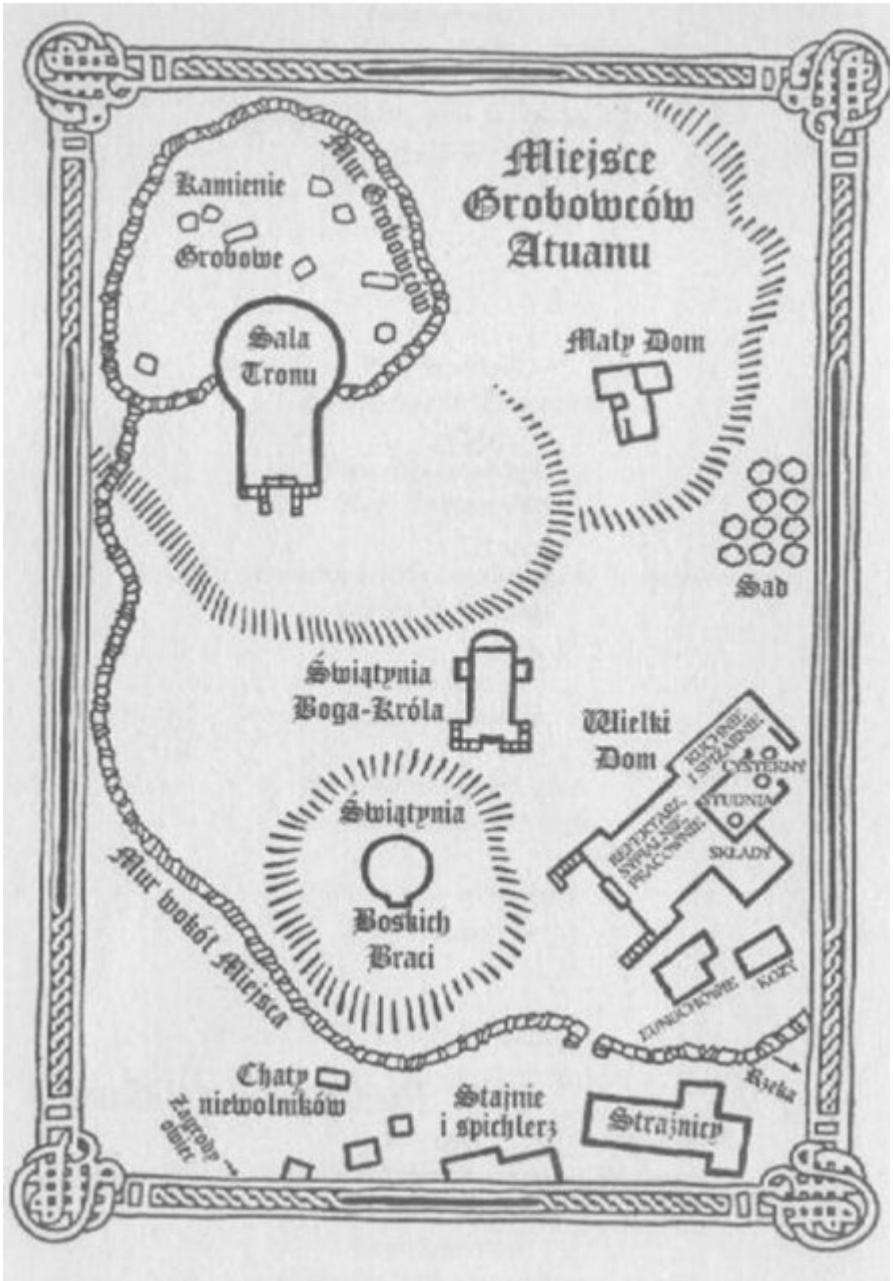
Miejsce Grobowców Atuanu
Kamienie Grobowe
Mur Grobowców
Sala Tronu
Mały Dom
Sad
Świątynia Boga-Króla
Wielki Dom
CYSTERNY
STUDNIA
SKŁADY
Świątynia Boskich Braci
Mur wokół Miejsca
Chaty niewolników
Zagroda dla bydła
Stajnie i spichlerz
Strażnicy
Rzeka